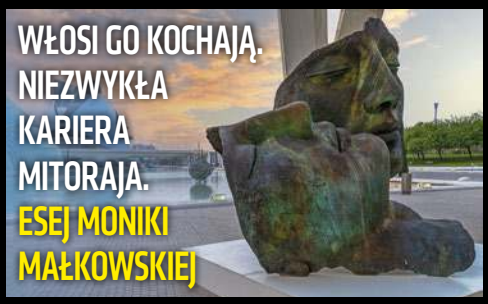
RAPORT „DO RZECZY”

Jak Donald Tusk niszczy opozycję – analiza Piotra Semki



Czy ceny benzyny muszą być tak wysokie?



Lekarze łupią polskie państwo na potęgę

TYGODNIK LISICKIEGO

DO RZECZY

NR 39/699 21–27 WRZEŚNIA 2026
CENA **14,90 ZŁ** (W TYM 8% VAT)

MOCNA ROZMOWA Z WITOLDEM GADOWSKIM

Z AfD można się dogadać



ISSN 2299-8500 Nr indeksu 288 829

epirasa.pl dd77bf3fed

OPEN TEXAS HORIZONS

MISJA POLSKIEGO BIZNESU DO TEXASU

30.11 - 4.12 2026

Jak zrobić **biznes w Texasie** i znaleźć partnera biznesowego?
Co musisz wiedzieć o inwestycjach?

Y TEXAS

- Weź udział w 3 dniowej konferencji YTEXAS w Bryan / Collage Station
- Spotkaj się z Victoria Economics Development Corporation
- Zobacz największą fabrykę SPACE X TeraFab
- Spotkaj się ze środowiskiem biznesowym podczas Polish American Chamber of Commerce w Texasie

ORGANIZATOR

INSTYTUT MIĘDZYMORZA

PATRONAT NAD MISJĄ

wprost · TYGODNIK SOLIDARNOŚĆ · tysol · Radio Wnet · DO RZECZY

DOWIEDZ SIĘ WIĘCEJ! WWW.INSTYTUTMIEDZYMORZA.PL

691 502 025 SEKRETARIAT@INSTYTUTMIEDZYMORZA.PL

eprasa.pl dd77bf8fed



PAWEŁ LISICKI

W RZECZY SAMEJ

Z Rosją sobie poradzimy?

Nasz minister kulom się nie kłania i jeden jedyny potrafi rzucić Kreml na kolana – tak przynajmniej wynika z doniesień większości polskich mediów. Doprawdy, niebywała jest zdolność odwracania kota ogonem i przekonuję się o tym, obserwując kolejne reakcje na wypowiedź Radosława Sikorskiego. Zaczęło się od jego stwierdzenia, że w przypadku ataku Rosji „pokonalibyśmy ją bardzo szybko". I dalej: „Mamy gigantyczną przewagę, jeśli chodzi o lotnictwo, nawet jeśli do tego potencjału nie wliczymy sił amerykańskich". Minister Sikorski dodał, że „jeśli Ukraina wyłączyła połowę rosyjskich rafinerii w ciągu sześciu miesięcy, to my wyłączylibyśmy drugą połowę w ciągu sześciu tygodni". Wypowiedź ta zasługuje na uwagę, obrazuje bowiem niebywałe wręcz zadufanie polskiego polityka.

Po pierwsze i oczywiste: Sikorski mówi o tym, co zrobiła Ukraina Rosji po sześciu miesiącach, ale nie wspomina o tym, co Rosja zrobiła Ukrainie. Czy polski minister chce powiedzieć, że Europa Zachodnia, na czele z Polską, żeby „wyłączać Rosji kolejne rafinerie", ma wyglądać tak jak obecnie Ukraina – państwo faktycznie zniszczone, w którym codziennie bombardowane są miasta, węzły komunikacyjne, porty, lotniska?

Po drugie, na czym owo „szybkie pokonanie Rosji" miałoby polegać? Na masowych atakach na rafinerie? Ale jest rzeczą oczywistą (nie dla ministra Sikorskiego i wspierających go w tromtadracji polskich mediów), że Rosja, gdyby faktycznie groziło jej pokonanie, użyłaby swojej największej przewagi, a więc broni nuklearnej. Konflikt Rosji z NATO na pewno nie wyglądałby tak jak wojna Ukrainy z Rosją, i to z bardzo prostego powodu – ukraińskie ataki są dotkliwe, ale nie stanowią śmiertelnego zagrożenia.
Co więcej, im mocniej Ukraińcy uderzają w rosyjskie rafinerie, tym mocniej, pośrednio, dostaje rykoszetem europejska gospodarka. Wojna z NATO byłaby wojną o życie i można zakładać, że Moskwa użyłaby wówczas wszystkich dostępnych środków. Wojna NATO z Rosją najwięcej szkód przyniosłaby bowiem państwom położonym najbliżej granicy z Rosją, Białorusią i Ukrainą – a takim państwem jest Polska. Jak widać, wszystkie te problemy ministrowi Sikorskiemu nie przeszkadzają. Co tam Polska, ważne, że Rosja zostałaby pokonana (albo i nie).

Trudno się dziwić takiemu podejściu, skoro w innym programie stwierdził, że „widzimy, że Rosja eskaluje i państwo polskie będzie miało na to taką nieprowokującą, ale poważną odpowiedź, która wzmocni nasze bezpieczeństwo". Wspaniale. Jednak tak jak w przypadku opowieści o „szybkim pokonaniu Rosji" w rozumowaniu ministra Sikorskiego brakuje elementarnej logiki.

Nie zauważa on (albo raczej nie chce zauważyć), że to, co nazywa „eskalowaniem przez Rosję", jest reakcją na działania zbrojne Ukrainy, a więc właśnie na owo „wyłączanie rafinerii". Ukraina może uderzać, bo korzysta ze wsparcia logistycznego, militarnego i finansowego Zachodu, w tym Polski. Innymi słowy: im lepszej broni Zachód (w tym Polska) dostarcza Ukrainie, im dokładniejsze dane wywiadowcze przekazuje, im bardziej zachęca do atakowania celów wewnątrz Rosji, z tym mocniejszą odpowiedzią musi się liczyć. Polska sponsoruje wojnę, która to prędzej czy później może uderzyć w nią samą, a kiedy pojawiają się tego wyraźne oznaki, polscy politycy krzyczą, że to ich nie dotyczy. Dziecinada? Być może. A może świadoma strategia, której celem ostatecznym ma być wciągnięcie nas do wojny. Mówię „wciągnięcie", bo wszystkie znaki na niebie i na ziemi pokazują, że ogół polskiego społeczeństwa wojny nie chce.

Mimo to ogół polskich mediów robi, co może, żeby po pierwsze wzbudzić prowojenny zapał. Tak jak minister Sikorski donoszą one tylko o wspaniałych sukcesach Ukrainy, o takim czy innym ciosie, pomijając koszty, jakie ponosi to państwo. Po drugie, w czym celują pojawiający się w polskich mediach amerykańscy znawcy, media roztaczają przed Polakami wizje szybkiego i łatwego podboju. „Putin się skończył", „Putin już przegrał", „Rosja jest złamana" – krzyczą tytuły. Jeśli tak jest, to przecież należy się włączyć do zwycięskiej operacji, czyż nie?

Kolejnym sposobem „podłączania" nas do wojny jest zacieranie podstawowej różnicy między Ukrainą a Polską, tak żeby powstało wrażenie, że Polacy już właściwie w wojnie uczestniczą. Doskonałym przykładem był tu tytuł z „Gazety Wyborczej": „Atak na pociąg z Kijowa do Warszawy. Putin wysyła sygnał, że jest gotów zabijać naszych obywateli". No, skoro tak, to nie można na to pozwolić i wojna staje się nieuchronna.

Nieuchronność wojny z Rosją – to stała mantra powtarzana od lat przez różnej maści podżegaczy wojennych. Skoro coś jest nieuchronne, to musi się wydarzyć. A jak się musi wydarzyć, to dlaczego czekać, aż się wydarzy? Czy nie lepiej samemu być akuszerem nieuchronnej przyszłości? ©℗

eprasa.pl dd77bf8fed



TEMAT TYGODNIA

16 ROZMOWA Z WITOLDEM GADOWSKIM
Z AFD MOŻNA SIĘ DOGADAĆ
Co łączy Alternatywę dla Niemiec z Konfederacją Korony Polskiej Grzegorza Brauna?

KRAJ

22 PIOTR SEMKA
KRAJOBRAZ Z PAŁKĄ W TLE
Jak premier niszczy opozycję

26 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ
CUDOWNA BROŃ DONALDA TUSKA

30 ZUZANNA DĄBROWSKA-PIECZYŃSKA
(NIE)DOBRY DUCH PARTII

32 ŁUKASZ WARZECHA
CENZORSKIE PRZEPISY

34 JAKUB WOZINSKI
LEKARZE ŁUPIĄ POLSKIE PAŃSTWO

KULTURA

38 MONIKA MAŁKOWSKA
SKÓRKA ZDARTA Z KLASYKI
Niezwykła kariera Igora Mitoraja

42 PIOTR GOCIEK
DOROCIŃSKI LEPSZY NIŻ REYNOLDS



NIE PRZEGAP

44 NASZ PRZEWODNIK
FILMY, GRA, WYSTAWA, KSIĄŻKI

OPINIE

48 ADAM WIELOMSKI
PAŃSTWO ABSOLUTNIE SUWERENNE
Jak Chiny opierają się ekspansji Zachodu

51 MARCIN SKALSKI
POLSKA HISTORIA WROCŁAWIA

54 PAWEŁ CHMIELEWSKI
BISKUPI USA WALCZĄ Z ABORCJĄ

56 FILIP MEMCHES
INACZEJ NIŻ ADAM MICHNIK. POŻEGNANIE JÓZEFA DAJCZGEWANDA

HISTORIA

58 SERGIUSZ MUSZYŃSKI
PIUS XII A TEORIA EWOLUCJI: JAK BYŁO NAPRAWDĘ?
Papieskie prawo do dyskusji

ŚWIAT

62 WITOLD REPETOWICZ
IDĄ WYBORY, WIĘC TRZEBA WOJNY
Izrael kontra Turcja?

66 MACIEJ PIECZYŃSKI
UKRAIŃSKA WOJNA DOMOWA

EKONOMIA

68 JACEK PRZYBYLSKI
JEŹDŹCY APOKALIPSY NA... EUROPEJSKICH STACJACH PALIW
Przez kumulację kryzysów drożeją nie tylko ropa i gaz

72 ROZMOWA Z DR. JAKUBEM BOGUCKIM
CZY CENY BENZYNY MUSZĄ BYĆ TAK WYSOKIE?

SPORT

74 TOMASZ ZBIGNIEW ZAPERT
DYWIZJE PIŁKARSKIE NA START
Piąta edycja Ligi Narodów UEFA

FELIETONY:

SEMKA (6), GMYZ, GOCIEK (12), ZIEMKIEWICZ, POSPIESZALSKI (8), JASTRZĘBOWSKI (9), ŻEBROWSKI, KOPER (61), PRZYBYLSKI (65), GABRYEL, WARZECHA (71), KOMUDA (76), KOWALCZUK, KARWELIS (79), WIEROMIEJCZYK (80), KRATIUK (81), CEJROWSKI (82)

eprasa.pl dd77bf8fed

TYGODNIK LISICKIEGO
DO RZECZY

ADRES: TYGODNIK **DO RZECZY**
Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 529 12 00
e-mail: listy@dorzeczy.pl, www.DORZECZY.PL

REDAKCJA: Redaktor naczelny: **Paweł Lisicki**
Zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Gabryel**

SEKRETARIAT REDAKCJI: **Jacek Przybylski** (I sekretarz redakcji),
Filip Memches, Anna Zalewska

KOLEGIUM KOMENTATORÓW:
Cezary Gmyz, Piotr Gociek, Krzysztof Masłoń, Piotr Semka, Łukasz Warzecha, Rafał A. Ziemkiewicz

STALI WSPÓŁPRACOWNICY I FELIETONIŚCI:
Olivier Bault, Joanna Bojańczyk, Grzegorz Brzozowicz, Wojciech Cejrowski *(korespondent z USA)*, **Wiesław Chełminiak, Dominika Ćosić** *(Bruksela)*, **Tomasz Cukiernik, Łukasz Czarnecki, Wojciech Golonka, Ryszard Gromadzki, Marek Jurek, Jerzy Karwelis, Jacek Komuda, Sławomir Koper, Piotr Kowalczuk** *(Rzym)*, **Grzegorz Kucharczyk, Michał Krupa, Andrzej Krzystyniak, Piotr Litka, Łukasz Majchrzyk, Monika Małkowska, Andrzej Nowak, Jacek Pałkiewicz, Maciej Pieczyński, Jan Pospieszalski, Witold Repetowicz, Wojciech Roszkowski, Joanna Siedlecka, Teresa Stylińska, Artur Szeremeta, Błażej Torański, Piotr Włoczyk, Adam Wielomski, Dariusz Wieromiejczyk, Jakub Wozinski, Tomasz Zbigniew Zapert, Łukasz Zboralski**

PORTAL DORZECZY.PL redaguje **Karol Gac** z zespołem: **Zuzanna Dąbrowska-Pieczyńska, Lidia Lemaniak, Alina Piekarz, Małgorzata Puzyr, Anna Skalska, Anna Szczepańska, Marcin Bugaj, Damian Cygan, Jan Fiedorczuk, Grzegorz Grzymowicz, Aleksander Majewski, Dawid Sieńkowski**

STUDIO GRAFICZNE: **Wojciech Niedzielko** (kierownik studia), **Marta Michałowska, Jakub Tański** (skład), **Jacek Nadratowski** (obróbka zdjęć)
Fotoedycja: **Edyta Bortnowska, Przemysław Traczyk**
Korekta: **Agata Błaszczyk-Stefaniak, Agnieszka Szpak, Weronika Trzeciak**

RYSOWNICY: **Andrzej Krauze, Cezary Krysztopa**
Okładka: **Artur Barbarowski/East News**

WYDAWCA: **Do Rzeczy SA**
Batory Office Building II, Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 347 50 00

Wydawca tytułu, Do Rzeczy SA, wchodzi w skład Grupy Kapitałowej PMPG Polskie Media SA, notowanej na GPW.

Zarząd PMPG Polskie Media SA:
Katarzyna Gintrowska, Jolanta Kloc
Zarząd Spółki Do Rzeczy SA
Katarzyna Gintrowska, Paweł Lisicki

MARKETING: **Piotr Pech** tel. +48 500 112 377, marketing@dorzeczy.pl
BIURO REKLAMY: reklama@dorzeczy.pl; tel.: +48 508 040 890
PUBLIC RELATIONS: (PR manager), pr@pmpg.pl

DYSTRYBUCJA I PRODUKCJA:
Joanna Nowakowska, Joanna Gosek,
dystrybucja@pmpg.pl, tel. 539 953 631, 508 040 664

DRUK: **Walstead Starachowice**

PRENUMERATA WYDAWNICZA:
Joanna Gosek, Joanna Nowakowska
+48 508 040 664, +48 539 953 631, Od pn.-pt. w godz. 10:00-16:00
e-mail: prenumerata@pmpg.pl, https://subskrypcja.dorzeczy.pl/

PRENUMERATA KOLPORTERSKA:
Kolporter sp. z o.o. (instytucjonalna), tel.: +48 (41) 367 88 88
e-mail: prenumerata.warszawa@kolporter.com.pl, www.kolporter.com.pl
Garmond tel.: +48 (12) 422 14 85, e-mail: prenumeratаprasy@poczyta.pl, www.poczyta.pl/prenumerata#prasa
GLM sp. z o.o. tel.: +48 (22) 649 41 61, www.glm.pl
Poczta Polska https://prenumerata.poczta-polska.pl/

ISSN nakładu podstawowego 2299-8500
Nr indeksu 288 829

Sprzedaż egzemplarzy aktualnych i archiwalnych po cenie innej niż cena detaliczna ustalona przez wydawcę jest zabroniona.

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adiustacji tekstów oraz zmiany ich tytułów. Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa autorskiego wydawca wyraźnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie materiałów opublikowanych w tygodniku „Do Rzeczy" jest zabronione. © Ⓟ Wszystkie materiały w tygodniku chronione są prawem autorskim. Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułu tylko za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania materiałów prasowych na www.dorzeczy.pl/regulamin

Drodzy Czytelnicy!

Dziękujemy za wszystkie Państwa listy i e-maile. Przypominamy, by korespondencję elektroniczną kierować na adres: listy@dorzeczy.pl.

Armagedon nie dla AI

W ostatnim czasie dociera do nas coraz więcej doniesień o ryzyku wybuchu trzeciej wojny światowej. Skłania to do pesymistycznych wniosków, zwłaszcza że publikacje te stają się coraz częstsze i opisują przebieg potencjalnego konfliktu ze szczegółami. Kluczową pozycją w tej dyskusji jest książka Annie Jacobsen pt. „Wojna nuklearna. Scenariusz możliwego rozwoju wydarzeń". Wnioski z niej płynące są jednoznaczne: z powodu obecnej technologii do globalnego starcia może dojść w dowolnym momencie, a raz rozpoczętego procesu nie da się już zatrzymać. Przykładem jest czas lotu rakiety z Rosji do USA, wynoszący zaledwie ok. 30 minut. Co kluczowe, prezydent Stanów Zjednoczonych ma zaledwie sześć minut na podjęcie decyzji o kontruderzeniu.

Wszystkie przewidywania wskazują, że życie na powierzchni Ziemi praktycznie zakończy się w ciągu siedemdziesięciu kilku godzin, a ci, którzy przeżyją pierwsze chwile – jak powiedział Chruszczow – będą zazdrościli tym, którzy zginęli w pierwszym momencie wybuchu. Po tym dojdzie do tego, co określa się jako zima nuklearna, gdzie promienie Słońca zostaną zahamowane przez unoszące się w obłokach zanieczyszczenia wywołane wybuchami, co z kolei spowoduje śmierć nie tylko istot zwierzęcych, lecz także roślin. W efekcie po paru miesiącach nastąpi globalna śmierć wywołana brakiem pożywienia. Wygląda na to, że przeżyją tylko małe organizmy głębiej pod powierzchnią Ziemi, a także pod powierzchnią oceanu.

Należy w tym momencie przypomnieć historię Ziemi, która została ugodzona 66 mln lat temu przez potężny meteor, który zmiótł z jej powierzchni żyjące organizmy – a to, co nam utkwiło najbardziej w pamięci, to to, że zginęły dinozaury.

Potrzeba było sześćdziesięciu kilku milionów lat, aby z tych resztek życia, które przetrwały, rozwinęły się bardziej skomplikowane organizmy, którymi w końcu jesteśmy my sami. Należy zatem zakładać, że szanse na odrodzenie się życia w tej formie, w jakiej ono istnieje obecnie, w dającej się przewidzieć przyszłości praktycznie nie istnieją.

Natomiast wytwory ludzkie w postaci sztucznej inteligencji mają większe szanse przetrwania tej apokalipsy, jeżeli będą na tyle rozwinięte, że będą potrafiły się samoorganizować. Mogą stworzyć nową erę w życiu Ziemi, a mianowicie erę sztucznej inteligencji, co jest oczywiście bardzo dalekosiężnym przypuszczeniem.

Można by założyć zatem, że następna era po wojnie nuklearnej będzie erą robotów i sztucznej inteligencji, która będzie bardziej odporna na tego typu kataklizmy. A zatem perspektywy nie są optymistyczne.

Ludzie jednak wolą zajmować się problemem ceny paliwa do samochodów, aferą Zondacrypto itd., ale nie chcą myśleć o tym, że wystarczy kilka minut, żeby przestali istnieć.

Czy istnieje zatem możliwość, aby takiej wojny nuklearnej uniknąć? Można odpowiedzieć, że teoretycznie istnieje, ale znając sytuację ogólnoświatową, można również dodać, że na to się nie zanosi i nie wygląda, by świat mógł podjąć taką inicjatywę.

Ryszard Jankiewicz

„Niebo nad Normandią"

Szanowni Państwo,
„– Fajny film wczoraj widziałem.
– Momenty były?
– Masz! Najlepiej...", jak dwóch światowej sławy meteorologów usiłuje wywróżyć pogodę na dzień desantu aliantów w Normandii w czerwcu 1944 r. Kreślą mapy, puszczają sondy, całą dobę obserwują niebo, niemal czytają z fusów, lecz mimo nacisków sztabu generalnego oraz napadów furii gen. Eisenhowera nie są w stanie podać jednoznacznej prognozy najpierw trzy dni przed D-day, potem dwa, a w końcu nawet trzy godziny przed desantem! Gdyby mieli do dyspozycji ogromną wiedzę pana Ala Gore'a oraz jego pilnej uczennicy, przewodniczącej von der Leyen, to mogliby opracować plany wojny trzydziestoletniej, ba nawet stuletniej.

Z poważaniem
Ewa Kowynia

eprasa.pl dd77bf8fed

NA PIERWSZY OGIEŃ

No to co, że (nie) ze Szwecji?



PIOTR SEMKA

Czy mobilizacja wyborców o korzeniach imigranckich odegrała kluczową rolę w bardzo wyrównanym wyniku niedawnych wyborów parlamentarnych w Szwecji? Przebieg dyskusji na ten temat pokazuje, jak w wypadku sytuacji niezręcznych dla lewicy – bardzo trudne jest spokojne dyskutowanie o faktach.

Nikt nie przeczy, że blok partii centrolewicowych pod przywództwem socjaldemokratów zdobył minimalną przewagę nad dotychczas rządzącą centroprawicą.

W Polsce TVN24 wyśmiał Sławomira Mentzena za to, że ten powoływał się na fakt kolportowania przez szwedzkie władze instrukcji o tym, jak głosować po arabsku, argumentując, że takie same ulotki przygotowano też po polsku.

Problem w tym, że TVN24 pomija istotny fakt, że migrantów z krajów islamskich, którzy otrzymali w ostatniej dekadzie szwedzkie obywatelstwo, jest dziś w Szwecji wielokrotnie więcej niż z Polski.

Według oficjalnych danych z sondażu exit poll telewizji publicznej SVT aż 70 proc. wyborców pochodzenia pozaeuropejskiego oddało swój głos na partie bloku lewicowego (Socjaldemokratów, Partię Lewicy oraz Zielonych). Dla porównania: blok prawicowy (Tidö) uzyskał w tej grupie zaledwie 27 proc. poparcia.

Media donoszą też o rekordowych wynikach lewicy w takich dzielnicach imigranckich, jak słynna sztokholmska dzielnica Rinkeby czy Örtagården – islamska dzielnica Malmö, gdzie poparcie dla centrolewicy sięgało ponad 90 proc., co przełożyło się na ogólny wynik wyborów.

Część szwedzkich mediów stosuje inteligentniejszą metodę zaprzeczania faktom. Przyznaje, że doszło do mobilizacji wyborców imigranckich, ale obwinia o to poprzedni rząd. Przypomina, że prawica w trakcie swojej kadencji zaostrzyła przepisy migracyjne, a w kampanii wyborczej zapowiadała m.in. zakazy noszenia hidżabów oraz programy wysokich odpraw (350 tys. koron) dla imigrantów, którzy dobrowolnie zdecydowaliby się na repatriację i opuszczenie Szwecji.

I wtedy pada egzaltowane pytanie: Czy można się dziwić, że wobec tego imigranci się zmobilizowali? Towarzyszy temu obłudna porada: „Jak prawica będzie bardziej otwarta na imigrantów, to też będzie mieć szansę zdobycia ich głosów".

Wszystko to jednak stanowi ucieczkę od podstawowej konstatacji wielu Szwedów – wzrost liczby naturalizacji działa na korzyść lewicy i staje się to z wolna czynnikiem przesądzającym o wyborczym uprzywilejowaniu partii obozu postępu.

Prawica nie ma szans w rywalizacji o głosy imigrantów, gdyż to lewica na wszystko przymyka oko. Niby postępowcy powinni być wyczuleni na laickość, ale w praktyce nie przeszkadzają im ani hidżaby, ani burki. Nie wzrusza ich też zbytnio, że homoseksualiści wyprowadzają się z dzielnic imigranckich w trosce o swe bezpieczeństwo. Deklarują feminizm, ale rozkładają bezradnie ręce wobec skarg kobiet, że boją się wychodzić z domów po zmroku.

Lewica bywa pryncypialna, ale wobec islamu staje się dziwnie bezradna. Czy można się więc dziwić, że islamistom progresiści podobają się najbardziej? ©℗

ORĘDZIE URSULI VON DER LEYEN

„Był to najlepszy z czasów, był to najgorszy z czasów" – od cytatu z Charlesa Dickensa przewodnicząca Komisji Europejskiej Ursula von der Leyen rozpoczęła w ubiegłą środę w Strasburgu orędzie o stanie UE. Przewodnicząca KE zapowiedziała m.in. zbliżenie z Kanadą. Wskazała również na nowego wroga Unii: Chiny. Tegoroczne wystąpienie zdominowały również takie tematy jak zmiany klimatu, migracja oraz wojna hybrydowa. – Mamy do czynienia z otwarcie wrogim światem – podkreślała Niemka. ©℗



FOT. FRED MARVAUX/EP/EU

POLSKI PARK ROZRYWKI LEPSZY NIŻ DISNEYLAND

Energylandia w Zatorze zwyciężyła w rankingu portalu Travelcircus najlepszych parków rozrywki w Europie. Drugie miejsce zajął Europa-Park w niemieckim Rust, a trzecią lokatę przyznano paryskiemu Disneylandowi. Polski obiekt pokonał m.in. tak znane parki, jak Ogrody Tivoli w Kopenhadze, Parc Astérix w Plailly we Francji czy Heide Park w niemieckim Soltau. ©℗

eprasa.pl dd77bf8fed

Oferta promocyjna

TYGODNIK LISICKIEGO DO RZECZY

PÓŁROCZNA PRENUMERATA

TYGODNIKA „DO RZECZY" I MIESIĘCZNIKA „HISTORIA DO RZECZY"



W PREZENCIE

KSIĄŻKA

SERHIJ RUDENKO:
„ZEŁENSKI. POZA SCENARIUSZEM"

ORAZ DOSTĘP DO E-WYDANIA

~~751 ZŁ~~

307,00 ZŁ

OSZCZĘDNOŚĆ 444 ZŁ

Oferta prenumeraty z dostawą za pośrednictwem Poczty Polskiej

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:

- Wpłata na konto bankowe: Do Rzeczy S.A., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa, nr konta: 33 1600 1462 1816 5874 1000 0006. W tytule przelewu prosimy o podanie danych adresowych oraz adresu e-mail
- Na stronie: www.subskrypcja.dorzeczy.pl.

TERAZ MOŻLIWOŚĆ ZAMÓWIENIA PRENUMERATY RÓWNIEŻ Z DOSTAWĄ DO PACZKOMATU INPOST

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:
Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy kurierem.

CO ZYSKUJESZ W PRENUMERACIE?

Niższą cenę od ceny w kiosku (nawet o 40%) | Nie przegapisz żadnego wydania | Atrakcyjne oferty z dodatkowymi produktami | W cenie dostęp do e-wydania, dzięki temu możesz czytać tygodnik już w niedzielę

ZOBACZ NASZE OFERTY: SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: **prenumerata@pmpg.pl** TELEFON: **508 040 664, 539 953 631 (pon-pt od 10:00 do 16:00)** INTERNET: **subskrypcja.dorzeczy.pl**

eprasa.pl dd77bf8fed



RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ

PŁYWANIE W KISIELU

Breżniew redivivus

Tylko ten, kto żył w schyłkowym PRL i pamięta specyfikę ówczesnego dyskursu publicznego, jest w stanie docenić środowy „State of the Union Address" Ursuli von der Leyen. Kluczem do zrozumienia wszystkiego jest sztuka retoryczna operowania antynomią. Przemowa przewodniczącej KE musiała oddać immanentne sprzeczności „idei europejskiej".

Przypominała mi przemówienia – skądinąd zawsze starannie dopracowane – gen. Jaruzelskiego: „Linia naszej partii to linia kontynuacji i odnowy, linia porozumienia i walki, linia tradycji i nowoczesności". „Potrzebujemy więcej dyscypliny i demokracji", „konsekwentnie stawiamy na wzrost roli państwa w gospodarce i samodzielności przedsiębiorstw". Nic nie znaczyło? Ale jak brzmiało! Pani von der Leyen podobnie: „Europa nigdy nie była tak silna i tak niepewna swej pozycji jak dzisiaj". „Musimy zapewnić wzrost konkurencyjności europejskiej gospodarki", konsekwentnie wdrażając harmonogram osiągania zeroemisyjności i rozszerzając system ETS. Przewodnicząca zapowiedziała dalsze likwidowanie barier dzielących jednolity unijny rynek (przypomnę: ich likwidowanie rozpoczęto 74 lata temu i wciąż niestety okazują się hamulcem wytęsknionego wzrostu!) poprzez wprowadzenie nowych ceł i opłat oraz dalsze uwalnianie przedsiębiorczości przez wzmocnienie mechanizmów unijnego nadzoru.

Zapowiedziała też zwiększenie bezpieczeństwa przez wypchnięcie z Europy wojsk amerykańskich. I, żeby już nie dłużyć, bo wyliczanie wszystkiego zajęłoby zbyt wiele miejsca, obiecała, że Unia obroni europejskie kobiety przed odbieraniem im praw, pozostając szeroko otwartą na „ubogacanie" przez „uchodźców".

Powiem szczerze, gdy tak słuchałem, serce ścisnęło mi się wzruszeniem przywołanej młodości. Wzmocnimy socjalistyczną demokrację przez umocnienie kierowniczej roli partii i urynkowimy ją, zwiększając rolę centralnego planowania i mechanizmy nadzoru! Na etapie przemówień nie ma nierozwiązywalnych sprzeczności.

Dopiero w praktyce… ©℗



JAN POSPIESZALSKI

#WARTO

Szkoła i suwerenność

Kolejne fakty potwierdzają, że regulacje wdrażane przez resorty edukacji i zdrowia to operacja na milionach polskich dzieci, realizowana przez tzw. aktorów zewnętrznych. Uzyskane przez posła Grzegorza Płaczka informacje z Ministerstwa Zdrowia dowodzą, że przymus szczepień na HPV (przeciw chorobie, która najbardziej dotyka prostytutki), od 2027 r. obejmujący dzieci od 9. do 15. roku życia, nie jest wynikiem analizy sytuacji epidemiologicznej, lecz arbitralną decyzją władz resortu.

MZ przyznaje, że GIS nie ma żadnych analiz, nie zna poziomu wykrywalności raka szyjki macicy u zaszczepionych, nie zna liczby zgonów wśród zaszczepionych i niezaszczepionych. Podstawą przymusu jest rekomendacja Rady Sanitarno-Epidemiologicznej, w której zasiadają osoby otrzymujące honoraria od firm farmaceutycznych, w tym producenta szczepionki na HPV.

Równie bulwersujący jest przymus stosowania w stołówkach szkolnych przez dwa dni w tygodniu diety roślinnej i wegańskiej. To efekt lobbingu Fundacji ProVeg Polska (polskiego oddziału berlińskiej ProVeg International) i Green REV Institute. Jak ustalił dziennikarz obywatelski Krzysztof Strobel, tzw. dietę planetarną narzuca finansowana przez fundacje Rockefellera i Wellcome Trust fundacja EAT-Lancet z Oslo. Wśród jej darczyńców są też Danone, Nestlé, PepsiCo, Kellogg, Unilever – producenci przetworzonej żywności, w tym rosnącego segmentu roślinnego. Pejzaż wpływów „aktorów zewnętrznych" na polski system szkolnictwa uzupełniają OECD i jej program „Learning Compass 2030". To na tej matrycy powstała główna reforma Nowackiej nazwana Reforma26. Kompas Jutra. Jeśli wrażliwy segment polskiej państwowości, którym jest oświata, oddany jest pod wpływy globalnej organizacji gospodarczej OECD, a odżywianie i zdrowie polskich dzieci oddane ponadnarodowym koncernom, to pytania o suwerenność są chyba bezzasadne. ©℗

eprasa.pl dd77bf8fed

RYSUJE CEZARY KRYSZTOPA



ĆWIERKOT

Zabawy dziecięce



SŁAWOMIR JASTRZĘBOWSKI

No nie, no, poszła do radia, na wywiad, znów to zrobiła, no ludzie! Stop. Urszula Zielińska, wiceminister klimatu i środowiska, była pytana w radiu m.in. o to, czy jej ministerstwo jest w stanie pomóc w ewentualnej obronie wschodniej granicy. Stop. Pani Urszula powiedziała, że owszem, że tak, że będzie robić bagna, żeby armia najeźdźcy w razie czego zatonęła. Że ma na to pół miliarda złotych, znaczy na te bagna. Stop. Dopytywana, ile czasu potrzeba, żeby zrobić bagno, rzekła, że różnie to może być, że to zależy np. od pobliskich cieków wodnych, że może to być kilka dni, ale mogą to być niestety nawet miesiące. Stop. Znając Urszulę Zielińską, nie wykluczałbym, że w następnym wywiadzie poinformuje opinię publiczną o zaawansowanych pracach nad bojowym tornadem oraz bombardowaniem wroga kulistym gradem. Stop. Jakie to wszystko innowacyjne.

Kancelaria Prezydenta Karola Nawrockiego poprosiła uprzejmie marszałka Sejmu Włodzimierza Czarzastego o przekazanie informacji o tym, czy Maciej Berek spełnia wymogi formalne dotyczące w jego przypadku 10 lat wykonywania (!) zawodu radcy prawnego, bo bez tego ciężko będzie pana Berka zaprosić do złożenia ślubowania wobec prezydenta. Stop. A bez ślubowania wobec prezydenta zgodnie z ustawą pan Berek nie może podjąć obowiązków sędziego Trybunału Konstytucyjnego. Stop. Niby łatwe dla Czarzastego i reprezentującego go Marka Siwca, ale się nie do końca udało. Stop. Zamiast dokumentów (po prostu ich nie ma) pan Siwiec napisał, że oczekuje niezwłocznego ślubowania. Stop. Zapowiada się powtórka hecy z Czarzastym, jakimś chyba notariuszem i Berkiem, który będzie udawać, że ślubuje kolumnom. Stop. „Zabawy dziecięce" to tytuł słynnego obrazu flamandzkiego mistrza Pietera Bruegla z XVI w. Stop. Dzieci ubrane jak dorośli bawią się na obrazie w najróżniejsze gry. Stop. Obraz to metafora bezmyślności działań dorosłych. Stop. Dzieci na obrazie jest ponad 200. Na Macieja Berka w Sejmie głosowało 226 posłów. Stop.

Barbarę Mróz-Gorgoń premier Tusk przedstawił jako jedną z najwybitniejszych specjalistek od marki. Stop. Po raporcie, który napisała sztuczna inteligencja i po wyrzuceniu jej z pracy do jej domu weszła policja, żeby zabezpieczyć dowody. Stop. Strzeżcie się Tuska, nawet jak chwali. ©℗

eprasa.pl dd77bf8fed



ZUZANNA DĄBROWSKA-PIECZYŃSKA

GWIAZDOBZDUR

INTELIGENTNY JAK DZIK

Dziki na ulicach, w parkach, na torowiskach. Dziki wszędzie. Problem dotyczy głównie Warszawy, choć nie tylko. W obronie zwierząt wystąpiła aktorka Maja Ostaszewska, znana z obrony wszystkiego, czego zazwyczaj się nie broni, w szczególności właśnie dzików. – Ostatnio dużo mówiło się o tym, że dziki przeniosły się w dużej mierze do miast i że to jest zdecydowanie problem. Ale dlaczego tak się dzieje? – zagaiła w wywiadzie dla Onetu. Maja pospieszyła z odpowiedzią, która może zaskakiwać. – Dzik jest bardzo inteligentnym zwierzęciem. Na taką skalę, tak masowo są odstrzeliwane dziki w lasach, że te mądre zwierzęta zorientowały się, że jest większa szansa przeżyć w mieście. I mówią o tym naukowcy, którzy są znawcami dzikich zwierząt, ich zachowań. Naprawdę posłuchajmy ich i zastanówmy się, jak naprawdę zapobiegać tym wszystkim problemom, które oczywiście pojawiają się w chwili, kiedy rozwija się cywilizacja. Coraz większe tereny przyrody zasiedlamy i wszystko jest do rozwiązania, ale szukajmy prawdziwych przyczyn problemu – przekonywała. Luźna propozycja: ludzie wyprowadzają się do lasu, a dziki zajmują nasze siedziby. Pasuje?



FOT. TOMASZ JASTRZĘBOWSKI/REPORTER

AFFORDABLE PO POLSKU

Aktorka Maja Bohosiewicz obecnie bardziej niż aktorką jest bizneswoman. W 2018 r. powołała do życia autorską markę odzieżową Le Collet, która ma dziś swoje butiki w Warszawie, Gdańsku i Poznaniu. Czy Le Collet to ubrania dla każdego? Niekoniecznie, chyba że ma się w portfelu grube pliki. W rozmowie z reporterem portalu Pomponik Bohosiewicz została skonfrontowana z opiniami, że ubrania jej marki przewyższają możliwości finansowe przeciętnego Polaka. Co ciekawe, celebrytka ma inne zdanie. – Zawsze mój mąż powtarza, że coś nie jest drogie, tylko za mało zarabiasz – stwierdziła bez mrugnięcia okiem. – Mnie się wydaje, że nie jesteśmy jakoś wyjątkowo drodzy, raczej jesteśmy takim affordable luxury, jak na polskie standardy, oczywiście. Przeliczając te ceny w euro, no to nadal to jest dość tania marka, patrząc na Europę czy nawet na świat, a jak na Polskę to jesteśmy tacy affordable, upper premium – podsumowała. Affordable upper co?

SKALPEL NA WSZELKI WYPADEK

Czy 27-latka potrzebuje operacji plastycznych mających odwracać skutki „starości"? Jeszcze kilka lat temu odpowiedź na to pytanie była oczywista i przecząca. Dziś świat wygląda inaczej. Znana tiktokerka Agata Lewandowska (ponad 570 tys. obserwujących) wywołała niemałą aferę po tym, jak poddała się liftingowi skroniowemu. Jako dorosła osoba może oczywiście robić, co chce, jednak pytaniem pozostaje, jak jej „twórczość" wpłynie na tysiące obserwujących Agatę młodych dziewczyn. – Ja zapłaciłam 23 tys. zł. To nie jest cała kwota, którą musicie wydać, bo oprócz tego jest oczywiście konsultacja przedoperacyjna, są leki, za które zapłaciłam prawie 1 tys. zł. Dużo, dużo kosztów. Potem jest jeszcze rehabilitacja, jakieś tam masowanki, komory baryczne, żeby to wszystko wyglądało tak, jakbym chciała – wyznała. Jednak „naciągnięcie brwi" to już kolejna ingerencja w wygląd – wcześniej influencerka przeszła dwie operacje nosa. Jedyna nadzieja w tym, że większości ludzi nie stać na takie rzeczy. Na szczęście.

OCZY SZEROKO OPEROWANE

Niestety, plaga operowania się przez młode, piękne kobiety zabiera kolejne ofiary. Modelka Sandra Kubicka ma za sobą bardzo popularną ostatnio blefaroplastykę, czyli usunięcie rzekomego nadmiaru skóry z górnych powiek. Trzy tygodnie po zabiegu podkreśla, że zwalczyła swój duży kompleks. „Zrobiłam ją, bo to był mój kompleks. Zawsze chciałam mieć duże, otwarte oczy. Nie będę ukrywać, że nie było mi miło słyszeć na planach zdjęciowych „otwórz oczy", kiedy one już były otwarte. Za każdym razem coś we mnie siadało. Taka niestety moja genetyka. Mam to po mamie, a mama po babci" – zaczęła instagramowy wpis. Dalej Sandra podkreśla, że operację przeszła sama dla siebie, a nie po to, aby zadowolić innych. „Długo myślałam, że kompleks to coś, czego trzeba się wstydzić. Że albo się z nim godzisz, albo o nim milczysz. A prawda jest taka, że prawie każdy z nas ma coś takiego. Różnica polega tylko na tym, co z tym robimy. Ja podjęłam decyzję. Świadomie, dla siebie, nie dla nikogo innego. I nie żałuję" – przekonuje celebrytka. „Nie namawiam nikogo do operacji. Namawiam do jednego: przestańmy oceniać ludzi za to, jak radzą sobie ze swoimi kompleksami. Jedna osoba pójdzie na terapię, druga na salę, trzecia nauczy się z tym żyć. Każda z tych dróg jest w porządku, dopóki jest twoja" – zakończyła Kubicka swoją „spowiedź". Jeden idzie pracować nad swoimi problemami z głową, inny idzie pod nóż. ©℗

eprasa.pl dd77bf8fed



MŁODZI WYKSZTAŁCENI I Z WIELKICH OŚRODKÓW

Kochani, iż zaczął się wrzesień, kolejne roczniki milenialsów posłały dzieci do szkół, często po raz pierwszy, w przestrzeni medialnej pojawiło się wiele porad dotyczących tego, jak uniknąć zaangażowania w tzw. trójki klasowe, jak nie rzucać się w oczy na pierwszym zebraniu z osobą wychowawczą, iżby nie zostać osobą skarbniczą w 1c lub, co gorsza, osobą przewodniczącą takiej trójce.

Jednocześnie pojawiło się wiele głosów krytykujących zebrania w szkołach, iż przecież nie po to Microsoft dał nam Teamsy, iżbyśmy teraz się musieli spotykać z innymi ludźmi w analogowym świecie, w sprawie własnych osobodzieci i to jeszcze kosztem wieczornej sesji w padla lub wyjścia na zajęcia z mindfulnessu. No a już zaangażowanie w trójkę klasową to jest dosłownie koniec świata, bo oznacza dodatkowe zajęcia, konieczność ustalania różnych rzeczy, a przecież nie po to się oddaje osobodziecko do szkoły, iżby potem się musieć zajmować wyborem wycieczki albo kupowaniem prezentów na Winter Holidays.

I my to kochani rozumiemy, iż szkoła nie dość, że jest instytucją konserwatywną, zamkniętą i zacofaną, to jeszcze kultywuje tradycyjne podziały płciowe, zmusza do celebracji świąt zgodnie z porządkiem chrześcijańskim i uczy języka polskiego.

W dodatku w trójkach nie ma parytetów, chociaż idealnie się składa, aby zasiadały w niej: osoba męska, żeńska oraz niebinarna. Jest to po prostu kolejna zaprzepaszczona okazja, iżby stało się nieco postępowiej i normalniej. A zamiast tego pierwszym taskiem dla tradycyjnej konserwatywnej trójki (dwie osobomatki i jeden osobojciec oddelegowany przez osobożonę) jest zakup prezentów i zorganizowanie zabaw z okazji nadchodzącego dnia chłopca,



który – teraz sobie zdaliśmy sprawę – jest w kalendarzu roku szkolnego przed dniem kobiet, a zatem symbolicznie wskazuje na supremację osobochłopców względem osobodziewczynek.

A kolejnym taskiem będzie już niedługo planowanie Winter Holidays, kto przyniesie barszcz, kto ulepi uszka, losowanie prezentów i śpiewanie kolęd, jakby nie można było zorganizować takich zimowych obchodów bez całej religijnej otoczki, która przecież może niektórych urażać. No i sami widzicie, jak to jest, jak ktoś o normalnych i europejskich poglądach miałby chcieć się w coś podobnego angażować.

Kochani, oglądaliście już „Lalkę" na Netflixie? My też nie, ale patrząc na to, jak się oburza środowisko konserwatywnych widzów, możemy domniemywać, iż czeka nas pyszna zabawa pełna nieoczywistych dekonstrukcji, transgresji i nawiązań do współczesności.

W ogóle to znowu beka z literatury tego kraju oraz czytelników z tego kraju, iż – po pierwsze – przez jakieś 500 lat od napisania przez Sienkiewicza „Lalki" (czyli chyba jakoś zaraz po „Krzyżakach") nie powstało żadne inne dzieło, którego ekranizacja wzbudzałaby tyle emocji, a po drugie – że granica percepcji przeciętnego Polaka kończy się na tym tytule.

Ile tytułów powieści współczesnych wymieniłby taki Janusz z Gorlic czy Andrzej z Tarnowa? Wie o „Panu Tadeuszu", ogląda w telewizji co Winter Holidays „Potop" no i słyszał, iż „Lalka" wielką powieścią jest, ale z pewnością nie wie, dlaczego tak myśli, a jedyne co kojarzy, to, iż zła Izabela nie chciała Wokulskiego incela i niewiele więcej XD. ©℗

FASHYSM NIE PRZEJDZIE! BĄDŹ Z NAMI OSOM NA FEJSIKU: *FB.COM/MWIZWO*

PODSŁUCHANE

Nie ze mną te numery, Żurek!

Darku, no nie możesz takich rzeczy robić. A jakbyś się nabił na to ogrodzenie?
Jarku, ja jestem zawsze przygotowany!

Ale jak się można na to przygotować? Ja nawet wolę nie myśleć, co byś tam sobie uszkodził...
Nic!

No jak nic, jak prawie się nabiłeś, za przeproszeniem, kroczem?
Bo ja mam tutaj takie... Popatrz!

Co ty robisz?! Nie ściągaj spodni przy mnie!
Ale nie, tu popatrz, co mam pod spodniami! Pancerzyk taki! Ochraniacz. Nie ze mną te numery, Żurek! ©℗ ***Łukasz Warzecha***

OD RZECZY

„Hołownia powinien stanąć kiedyś przed Trybunałem Stanu za to, że zaprzysiągł Nawrockiego".

ELIZA MICHALIK, *publicystka, w programie „Express Biedrzyckiej"*

eprasa.pl dd77bf8fed

dwaj panowie g

Zmiany, zmiany, zmiany. Tym razem w badaniach. Pamiętacie, jak pisaliśmy o sondażach, z których wynikało, że nawet z Braunem pakt senacki nie ma szans na wygraną? Otóż notowania Złego Donalda i jego wspólników lecą na pysk tak szybko, że aktualnie wedle badań pakt PiS plus obie Konfy i Morawa Plus wygrywa Senat w stosunku 54:46. Bardzo to interesujące, zwłaszcza w kontekście zarzekania się wszystkich zainteresowanych, że żadnego paktu nie ma i nie będzie.

Oj, cofamy wypowiedziane słowo – nie wszyscy mówią, że paktu senackiego nie będzie. Otóż ojciec Mateusz opowiada swoim morawianom, że pakt jest dogadany z prezydentem Karolem Tadeuszem. Co więcej, przekonuje, że na listach znajdzie się głównie miejsce dla działaczy wielce zasłużonych, jak np. Ryszard Terlecki. Ale i dla średniego pokolenia, czyli Marii Koc.

W ramach komentarza do powyższych manewrów mamy taką oto ciekawą wiadomość: kilka dni temu Naczelnik i zarazem szeregowy poseł Jarosław Kaczyński spotkał się był z osobą głowy państwa, znaczy z prezydentem Karolem Tadeuszem. Było to ich pierwsze spotkanie od trzech miesięcy. My też uważamy, że przypadków w polityce nie ma.

Ciekawa rzecz, morawianie w osobie ojca Mateusza aktywnie namawiają do startu do Senatu (w ramach tego niby jednak dogadanego z osobą głowy państwa paktu) prezydentów miast. Żeby wyjść z pułapki partyjności i mieć popularnych kandydatów ze środowisk lokalnych. I tak np. słyszeliśmy, że chętny do kandydowania jest prezydent Kalisza, Krystian Kinastowski.

À propos prezydentów miast – powyższe podchody wyjaśniają być może fenomen, jakim jest zwycięski marsz STROP-u (Stowarzyszenia Rozwój Plus) przez urzędy miejskie. Bo liczba prezydentów, którzy przystąpili do morawian, rośnie i stawiamy tezę, że do końca roku osiągnie liczbę 10. W sumie któż nie chciałby być senatorem? Co ciekawe, owi świeżo upieczeni STROP-owcy zwykle są ze środowisk na lewo od PiS. Co oznaczałoby, że plan ojca Mateusza,



FOT. ROBERT GARDZIŃSKI

eprasa.pl dd77bf8fed

by zagospodarowywać polityczne centrum, trochę jednak działa.

W wyniku tego marszu przez samorządy w Świętochłowicach doszło do ciekawej sytuacji – prawdopodobnie pierwszej w Polsce koalicji Rozwój Plus z Koalicją Obywatelską. Prezydent Świętochłowic, Daniel Beger, wstąpił bowiem do Rozwoju Plus. W radzie miasta ma wsparcie KO, która posiada wiceprezydenta miasta oraz przewodniczącego rady. Co ciekawe, Beger zastrzega, że wstąpił, ale do stowarzyszenia. A jak to będzie już partia – to nie wstąpi. Jak widzicie, wciąż są ludzie, którzy palą, ale się nie zaciągają.

Z tego, co słyszeliśmy, szykują się też kolejne frondy samorządowe, tym razem na poziomie sejmików wojewódzkich. Na początek STROP będzie miał swój klubik w sejmiku województwa dolnośląskiego. Jakoś nas to nie dziwi. Od lat śledzimy bowiem, jak lokalni działacze z tego regionu piszą listy do Jarosława w sprawie dość, hm, ekscentrycznej działalności w województwie lokalnych gwiazd PiS, czyli Elżbiety Witek oraz Anny Zalewskiej. Listy okazują się jednak rzucaniem grochem o ścianę. Groch więc zdecydował, że idzie rosnąć sobie na innych tyczkach.

Tymczasem w Peezelu. Część zielonej braci spod znaku koniczynki zaczyna się buntować przeciw Kosiniakowi-Kamaszowi, i to do tego stopnia, że zaczęli się umizgiwać do morawian. Twierdzą, że wspólna lista z Tuskiem oznacza de facto zagładę Peezelu, a zły Donald chce zaoferować zbyt mało miejsc biorących. Zieloni policzyli sobie, że sojusz z Morawieckim może dać im znacznie większe zyski. Oferują byłemu premierowi coś, czego on nie ma: a mianowicie struktury zdolne prowadzić kampanię tam, gdzie morawian nie ma bądź występują w ilościach homeopatycznych.

Jedną z kropli, która przelała czarę goryczy u chłopów, było uwalenie przez Koalicję Obywatelską kandydatury innego Mateusza – Szpytmy – na prezesa IPN. Szpytma co prawda zielony nie jest, ale z peezelowcami ma doskonałe stosunki. Nie zapominają oni o jego roli w uruchomieniu Mauzoleum Martyrologii Wsi Polskich w Michniowie oraz Muzeum Ulmów w Markowej. Nawiasem mówiąc, Szpytma z Ulmami jest spokrewniony. Nie bez znaczenia jest też fakt, że kilkunastu działaczy chłopskich liczyło, że gdy Szpytma zostanie prezesem, to znajdą się dla nich dobrze płatne posady dyrektorskie w oddziałach, a może i w centrali Instytutu. Ale sprawa się rypła.

Tymczasem w Większej Konfederacji. Słyszeliśmy o badaniach wykonanych przez złych ludzi, z których wynika, że obecny rozkład sił wewnątrz ugrupowania wygląda tak: zwolennicy Mentzena – dwie piąte, zwolennicy Ruchu Narodowego – trzy piąte. Oznaczałoby to, że Sławek ciężko pracuje na to, by regularnie pomniejszać swój złoty róg. Nas to w sumie nie dziwi – ciężko bowiem pracuje, nie pracując, nieprawdaż?

Natomiast wokół Mniejszej Konfederacji (ciekawe, jak długo jeszcze mniejszej i kiedy nazwy się zamienią miejscami), czyli wokół Brauna, nie brak chętnych na nową drogę kariery. Ostatnio np. nasze wiewiórki przyuważyły dawną gwiazdę PiS, Krzysztofa Jurgiela, na mazowieckich dożynkach Konfederacji Korony Polskiej. A przecież Jurgiel nie z Mazowsza, jeno z Podlasia.

Szok! Służby specjalne inwigilują polityków! Kilka wiewiórek przyniosło nam tę informację i nie bylibyśmy tym zdziwieni, gdyby nie fakt, że w tym przypadku okazuje się, że nie chodzi o opozycję. To, że opozycja jest inwigilowana, mogłoby nas oburzać, ale nie zdziwiłoby nas specjalnie. Nie chodzi również o Pełczyńską-Nałęcz, Mróz-Gorgoń czy Hołownię-Szymon. Otóż akcja ma miejsce na Śląsku.

Wracamy zatem na Śląsk: z kilku źródeł usłyszeliśmy, że tzw. ABWehra na Górnym Śląsku rozpytuje o polityków związanych z obecnie rządzącymi. Treść tych pytań pozwala nam domniemywać, że w grze jest artykuł Kodeksu karnego dotyczący zamachu stanu. Nie chodzi jednak o obalenie Trybunału Konstytucyjnego, ale o przepis mówiący: „Kto, mając na celu pozbawienie niepodległości, oderwanie części obszaru lub zmianę przemocą konstytucyjnego ustroju RP, podejmuje w porozumieniu z innymi osobami działalność zmierzającą bezpośrednio do urzeczywistnienia tego celu, podlega karze pozbawienia wolności na czas nie krótszy od lat 10 albo karze dożywotniego pozbawienia wolności". Dokładnie rzecz ujmując, chodzi konkretnie o fragment mówiący o „oderwaniu obszaru".

Skoro już jesteśmy na Śląsku. W Mysłowicach nie tylko prezydent miasta, lecz także wiceprezydent oraz czterech radnych przeszło do morawian. Co oznacza, że PiS ma aż dwóch (słownie dwóch) radnych. Odnotowujemy. W ogóle Mysłowice to bardzo ważne miasto. W drugiej turze wyborów na prezydenta Mysłowic w 2024 r. rywalem obecnego włodarza (uwielbiamy to słowo) był niejaki poseł Wojciech Król. Ten, którego za liczne przewały tropi Prokuratura Europejska i na którego aresztowanie wreszcie zgodził się Sejm. Uwaga, teraz donosik: Czy ktoś zauważył, że poseł Król cały czas jest przewodniczącym prestiżowej Rady Mediów Narodowych?

Àpropos rozmaitych afer. Sypie się śledztwo w sprawie Zondacrypto. A dokładniej sypie się zespół, który się sprawą zajmuje. Po zaledwie trzech tygodniach delegacji z pracy zrezygnowała prokurator Klaudia Wrzecionko-Pałka. A starzy doświadczeni śledczy nie kwapią się, by dołączyć do zespołu. Jak twierdzą nasze wiewiórki, sposób prowadzenia śledztwa urąga Kodeksowi postępowania karnego, co w przyszłości musi się skończyć dyscyplinarkami. Wprawdzie śledztwo nadzoruje prokurator Marek Wełna, ale nad całym postępowaniem unosi się cień najdłuższego polskiego mecenasa. Jak twierdzą wiewiórki, miesza mu się rola obrońcy Przemysława Krala z rolą prokuratora. Oczywiście koń jest zbyt cwany, by mieszać się bezpośrednio, ale zapaszek stajni jest wyraźnie wyczuwalny.

W Brukseli wielki dzień – jedna z komnat europarlamentu zyskała imię Jana III Sobieskiego, polskiego króla i pogromcy niewiernych. Mało kto wie, że fakt ten do szału doprowadził Włochów od Giorgii Meloni. Otóż zgodzili się oni (nawet ona sama) na wspólną inicjatywę prochrześcijańską i w ogóle, ale przekonani byli, że komnata uzyska imię jednego z włoskich papieży. Patryk Jaki wystrychnął jednak Włochów na dudka. I my to szanujemy. ©℗

eprasa.pl dd77bf8fed

ROSYJSKI DRON Z GŁOWICĄ BOJOWĄ NA POLSKIEJ PLAŻY

W ubiegłym tygodniu na plaży w rejonie miejscowości Rusinowo koło Jarosławca (województwo zachodniopomorskie) odnaleziono rosyjski bezzałogowiec. Według wstępnych ustaleń prokuratury i ocen ekspertów była to najprawdopodobniej nowa rosyjska Gerbera.

Dron był wyposażony w głowicę bojową odłamkowo-burzącą wraz z zapalnikiem. „W wyniku podjętych działań przy użyciu specjalistycznego sprzętu wydobyto, zbadano, a następnie zneutralizowano elementy drona, które mogły stanowić zagrożenie dla życia lub zdrowia ludzkiego" – ogłosiła Żandarmeria Wojskowa, dodając, że rosyjski bezzałogowiec został zabezpieczony do dalszych badań laboratoryjnych.

Premier Donald Tusk ostrzegł w Sejmie, że w ocenie służb wywiadowczych Rosjanie planują hybrydowe uderzenia dronami i rakietami na państwa wspierające Ukrainę, w tym Polskę. – Istnieje realne ryzyko, że na teren któregoś z państw bądź kilku państw NATO na wschodniej flance mogą wlatywać drony lub innego typu pociski, dokonywać nawet zniszczeń – oznajmił w Sejmie Donald Tusk, ostrzegając, że takie „przypadkowe uderzenia mogą się powtarzać". – Oficjalna narracja będzie taka, że jest to przypadek i że nie ma powodu, aby ktokolwiek myślał o jakiejś odpowiedzi ze strony NATO – mówił premier i prognozował, że szczególnie trudny okres może przypaść na późną jesień i zimę.

– Omówiliśmy te informacje jeszcze latem – tak słowa Donalda Tuska skomentował w wywiadzie dla stacji LRT szef litewskiej dyplomacji Kęstutis Budrys. – Litwa również dysponuje tymi informacjami. Rozmawialiśmy o tym jako o potencjalnej operacji pod obcą flagą ze strony Rosji – dodał Budrys. – Nieodpowiedzialna wojna Rosji zbliża się coraz bardziej do granic NATO. Niezależnie od tego, czy jest to celowe czy nie, każdy dron, każdy atak w pobliżu naszej granicy zwiększa ryzyko niebezpiecznej eskalacji – dodał w rozmowie z CNN. ©℗

FOT. ADAM WARŻAWA/PAP

eprasa.pl dd77bf8fed



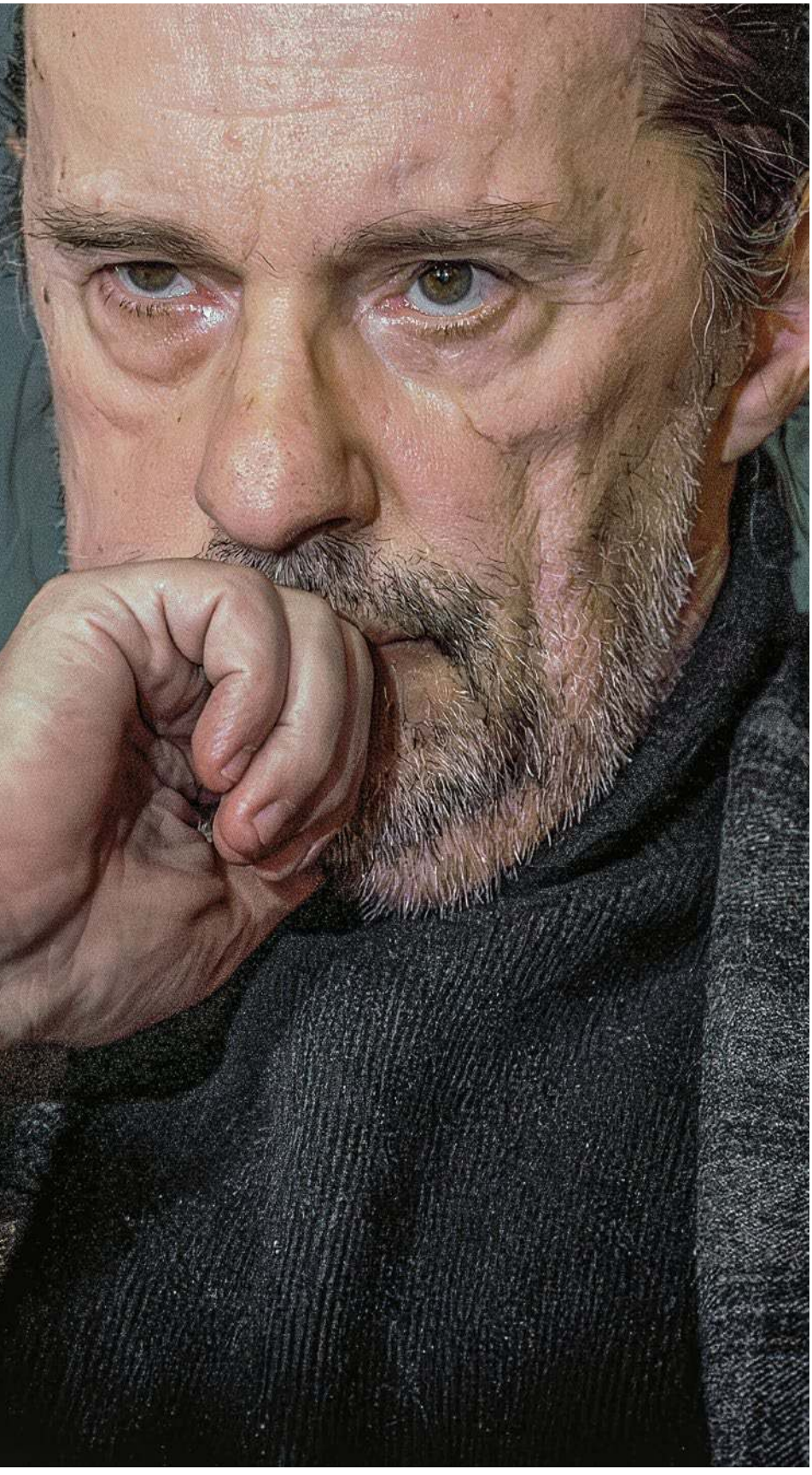
eprasa.pl dd77bf8fed



Z Witoldem Gadowskim, pisarzem, publicystą, autorem kanału Gadowski TV i komentarzy na portalu DoRzeczy.pl, współzałożycielem Ruchu Obrony Polaków
rozmawia Ryszard Gromadzki

Mówię o „Oknie Brauna”

eprasa.pl dd77bf8fed



FOT. STACH ANTKOWIAK/REPORTER

RYSZARD GROMADZKI: Kiedy kilka miesięcy temu rozmawialiśmy po referendum w Krakowie, w którym mieszkańcy miasta odwołali urzędującego prezydenta z Platformy Obywatelskiej, Aleksandra Miszalskiego, powiedziałeś, że było to zwycięstwo zwykłych ludzi. Czy patrząc na to, co dzieje się podczas kampanii wyborczej przed wyborami nowego prezydenta, „zwykli ludzie" nadal mają wpływ na bieg spraw w Krakowie, czy znów są tylko pionkami w grze partyjnej?

WITOLD GADOWSKI: To, co powiem, ujawni część planu, którym się kierujemy już prawie od roku. Tak, zwykli ludzie mają wpływ na to, co dzieje się w Krakowie. Nie jest to oczywiście sytuacja idealna, ale pewien kompromis. Największe szanse na zwycięstwo ma kandydat obywatelski, który stał się taki na skutek własnych, niezbyt dobrych doświadczeń w życiu publicznym.

Czyli Jan Hoffman, jeden z inicjatorów kampanii referendalnej?

Nie, mam na myśli Łukasza Gibałę. Jan Hoffman jest kandydatem środowisk referendalnych, ale nie wygląda na to, żeby miał duże szanse. Cała rozgrywka toczy się o to, żeby prezydentem Krakowa został kandydat obywatelski, a takim kandydatem jest Łukasz Gibała, choć ja popieram również Michała Klimka, który startuje z Konfederacji Korony Polskiej. Wspieram go z powodów ideowych. Natomiast z powodów pragmatycznych i realizacji planu, który został nakreślony rok temu, uważam, że najkorzystniejszym wariantem jest zwycięstwo Łukasza Gibały. Ten scenariusz się zrealizuje, jeśli zdoła on pokonać kartele partyjne: kartel Koalicji Obywatelskiej, kartel PiS i kartel Lewicy, która wystawiła w wyborach dwie kandydatki.

W dość kuriozalnych okolicznościach z wyborów w Krakowie wypadł kandydat Konfederacji, Bartosz Bocheńczak, co znów wywołało głosy, że Konfederacja „nie dowozi", a jej politykom brakuje dojrzałości.

Zwracam uwagę, że największy kłopot przy weryfikacji podpisów na liście poparcia kandydatury pana Bocheńczaka był z podpisami dostarczonymi przez liberalną część Konfederacji. Przed referendum jej część narodowa pracowała bardzo rzetelnie, pan Piotr Bartosz dostarczył niebudzące wątpliwości podpisy pod wnioskiem o referendum, czego nie można powiedzieć o podpisach zebranych przez drugą część partii. Poza tym był tam pewien konflikt interesów między

eprasa.pl dd77bf8fed

panami Bocheńczakiem a Berkowiczem. Myślę, że to też zdemobilizowało środowisko sympatyków Konfederacji. Wygląda na to, że liderzy konfederatów w Krakowie zlekceważyli sytuację i to się zemściło.

Przejdźmy od polityki lokalnej do krajowej. Dużo w ostatnich dniach mówi się o reperkusjach spektakularnego zwycięstwa wyborczego Alternatywy dla Niemiec w wyborach do parlamentu landu Saksonia-Anhalt. Czy to początek marszu AfD po władzę w całych Niemczech? Mainstream polityczny w Polsce straszy ludzi ekstremizmem AfD, porównując ją do Korony Grzegorza Brauna. Słusznie?

Mamy dwie zupełnie odmienne sytuacje. Kiedyś robiłem wywiad z byłą szefową AfD, panią Frauke Petry, poprzedniczką obecnej liderki partii Alice Weidel. Trochę znam to środowisko i mogę powiedzieć, że jest ono niejednorodne. Jest tam grupa bardzo krzykliwa, ale mniejszościowa, która serwuje hasła antypolskie. To są ludzie z kręgu Eriki Steinbach, ziomkostw czy potomków działaczy ziomkostw. Nimi straszy się Polaków, szczególnie wyborców umiarkowanych. Jednak w AfD są też tacy ludzie jak Tomasz Froelich, bardzo przyjaźni Polsce. Z nimi można się dogadywać.

Jak powiedziałem wcześniej, środowisko AfD nie jest jednolite, jeśli chodzi o stosunek do Polski czy do drugiej wojny światowej. My musimy z nimi rozmawiać. Mówiąc my, mam na myśli ideową prawicę, a ujmując rzecz szerzej – w ogóle ludzi myślących ideowo. Rozmawiać po to, żeby AfD w kwestii polskiej, powiedziałbym, ucywilizować. Czy jest analogia między Alternatywą dla Niemiec a Koroną Brauna? Oczywiście jest, ale ma ona dość ogólny charakter. AfD, podobnie jak Korona Konfederacji Polskiej czy Zjednoczenie Narodowe Marine Le Pen, jest partią antysystemową. Proszę zwrócić uwagę, że pani Le Pen ma bardzo zbieżne poglądy, jeśli chodzi o ocenę sytuacji międzynarodowej z Alice Weidel.

Wracając do analogii między AfD a Koroną, nie doszukiwałbym się prostych przełożeń między obydwoma ugrupowaniami, może poza tym, że partie antysystemowe w Europie rosną w siłę, w miarę fiaska kolejnych „wielkich planów" Unii Europejskiej, jak Zielony Ład, polityka migracyjna czy dążenie do unifikacji państw narodowych w jakąś wyimaginowaną IV Rzeszę.

Czy szeroko rozumiana prawica ma tyle politycznej wyobraźni, żeby dokooptować partię antysystemową, którą jest Konfederacja Korony Polskiej do paktu senackiego? Ze wszystkich sondaży wynika jasno, że bez Korony żaden pakt senacki się nie uda. Samo objęcie patronatu nad tym przedsięwzięciem przez prezydenta Karola Nawrockiego nie wystarczy. Tymczasem minister w Kancelarii Prezydenta, Wojciech Kolarski, zadeklarował publicznie, że w ewentualnym pakcie senackim nie ma miejsca dla ugrupowania Brauna.

Znam pana Kolarskiego. To człowiek, który zawsze był działaczem, nigdy nie skalał się inną pracą. Kiedyś był adiutantem noszącym teczkę za Janem Marią Rokitą. Potem trafił do Kancelarii Prezydenta Andrzeja Dudy, skąd, jako kłopotliwy spadek, płynnie przeszedł do ekipy prezydenta Karola Nawrockiego. Z niezwykłą gorliwością uczestniczy co roku w kłamliwych uroczystościach w Jedwabnem, wykazując się wyjątkową usłużnością wobec środowisk żydowskich. Nie chcę być złośliwy, ale do tej pory pan Kolarski był człowiekiem istniejącym w przestrzeni politycznej dość nieszkodliwie. Niestety, w tej chwili jego działania przynoszą szkody, przede wszystkim prezydentowi Nawrockiemu. Nie sądzę, żeby wypowiedź wykluczająca udział Konfederacji Korony Polskiej w pakcie senackim odzwierciedlała poglądy prezydenta Nawrockiego i jego otoczenia. Traktuję ją raczej jako uzurpację ze strony pana Kolarskiego.

U nas Konfederacją Grzegorza Brauna straszy się umiarkowanych wyborców i dzieci. A przecież kordon sanitarny wokół Korony oznacza ograniczenie szans prawicy na odebranie władzy Tuskowi i jego obozowi politycznemu.

Albo ktoś pójdzie po rozum do głowy i zacznie rozmawiać ze środowiskiem Grzegorza Brauna, potrafiąc liczyć, bo nie ma innej drogi do sformowania większości rządowej po wyborach w 2027 r., albo Tusk i jemu podobne środowiska nadal będą dzierżyć władzę. To bardzo prosty dylemat, „tak z Braunem" i rządy, „bez Brauna" i bez rządów.

Cała rozgrywka w Krakowie toczy się o to, żeby prezydentem miasta został kandydat obywatelski, a takim kandydatem jest Łukasz Gibała. Ten scenariusz się zrealizuje, jeśli Gibała zdoła pokonać kartele partyjne: kartel Koalicji Obywatelskiej, kartel PiS i kartel Lewicy, która wystawiła w wyborach dwie kandydatki

Co jest słabością Konfederacji Korony Polskiej? Jej wiecowy charakter?

Owa kongresowość, format pospolitego ruszenia, które cechują środowisko Grzegorza Brauna, środowisko Konfederacji Korony Polskiej, jest jednocześnie jego zaletą i wadą. Zaletą dlatego, że przyciąga patriotycznie usposobionych intelektualistów, to prawdziwa elita, która zaczęła rozkwitać w otoczeniu Grzegorza Brauna. Ponadto partia Brauna przyciąga agenturę, awanturników, różnych ludzi niejednoznacznych, którzy na siłę podpinają się pod ten okręt, krzycząc: „Płyniemy!". Myślę, że często dzieje się to bez woli i wiedzy Grzegorza Brauna.

W przypadkach Stana Tymińskiego czy Mateusza Piskorskiego także?

To są przypadki, nad którymi trzeba rozwinąć pewną debatę. Myślę, że Grzegorz Braun musiałby w niej pokazać swoje argumenty. Nie sądzę, żeby akurat to działo się bez jego wiedzy. Korona stanowi dość szerokie środowisko, więc nie wszyscy muszą się zgadzać ze wszystkimi afiliacjami czy wyborami człowieka, z którym to środowisko się utożsamia. Myślę, że jego siłą będzie wielowątkowość, a jednocześnie jednoznaczny patriotyzm i antysystemowość.

Zgodzisz się z opinią, że wielką zasługą Grzegorza Brauna jest poszerzenie przestrzeni debaty publicznej w Polsce?

Nazwałbym to zjawisko nawet „Oknem Brauna", nawiązując oczywiście do słynnego terminu – dziś wyświechtanego, kiedyś przywoływanego tylko przez specjalistów – czyli „Okna Overtona".

Braun sprawił, że w polskiej polityce dyskusja nad tematami dotąd „zakazanymi" stała się czymś normalnym. Możemy o tym mówić, możemy używać argumentów i ważyć racje. To jego wielka zasługa. Myślę, że świadoma.

eprasa.pl dd77bf8fed

Mam poczucie, że częścią tego procesu jest także zdjęcie odium z zadekretowanego z góry antysemityzmu. Po ludobójstwie, którego państwo żydowskie dopuściło się w Strefie Gazy i po tym, co dzieje się w południowym Libanie czy na Zachodnim Brzegu Jordanu, pękł mit Izraela, który walczy tylko w słusznej sprawie i pozostaje poza wszelką krytyką. Żydowski szowinizm przestał być tematem tabu.

Nie można zamykać oczu na świat i bać się poruszać pewnych tematów, które są dla świata istotne. Istotne jest to, co dzieje się w Gazie, Palestynie, na Bliskim Wschodzie. Dla nas powinno być szczególnie istotne to, co dzieje się w południowym Libanie, gdzie armia izraelska rozbija krzyże, niszczy figury Chrystusa i Matki Bożej, pacyfikuje wioski chrześcijańskie, zabija księży. O tym wszystkim musimy mówić. To nie jest antysemityzm. To jest realna ocena sytuacji. Oczywiście dzisiejsi syjoniści, nastawieni szowinistycznie, każdą krytykę Izraela będą kwalifikować jako antysemityzm. Ale to już tylko słowo, które przestało nieść treść. Możemy wreszcie dyskutować o tym w sposób otwarty, bez ograniczeń cenzury prewencyjnej.

Wydaje się, że nadszedł czas, żeby agendę inicjatywy, której jesteś współzałożycielem, czyli Ruchu Obrony Polaków, zacząć forsować z całą intensywnością.

Doszło do tego, że nawet Mateusz Morawiecki zaczyna mówić moim językiem (śmiech). W momencie, kiedy zakładaliśmy Ruch Obrony Polaków, wszyscy pukali się w czoło, pytając mnie, przed czym to chcę bronić Polaków w Polsce? Dziś już wiemy. Na przykład przed 100 prokuratorami ministra Żurka, którzy stawiają Ukraińców ponad Polakami. Z całą ostrością ujawniły się nowe zagrożenia, o których jeszcze kilka lat temu nikt nie myślał. Te zagrożenia będą się nasilać. Polacy muszą być aktywni, jeżeli nadal chcą być gospodarzami we własnym kraju. To są oczywistości, które jeszcze niedawno nimi nie były. Ten, który kłaniał się Juwalowi Harariemu, czyli Mateusz Morawiecki, dziś mówi o lokalizmie, czyli przywołuje termin, który wymyśliłem na użytek publiczny, jako przeciwieństwo wobec globalizmu. Ten termin zaczyna robić karierę, z czego się bardzo cieszę, ale z tym wiąże się cały zestaw działań i idei. Lokalizm jest cechą wyróżniającą Ruch Obrony Polaków, który przecież nie sadzi się, żeby być reprezentacją wszystkich Polaków czy partią polityczną ścigającą się w wyborach, tylko pracuje organicznie u podstaw nad samoorganizacją Polaków. To wielkie wyzwanie, bo jesteśmy jednym z najgorzej zorganizowanych narodów w Europie, jeśli weźmiemy pod uwagę stopień aktywności publicznej Polaków.

Ta inercja to skutek obróbki „polskiej duszy", którą system wykonał w ciągu minionych ponad 35 lat od tzw. transformacji ustrojowej? Ukąszenia narodu konsumpcjonizmem?

Takich terminów jak „ukąszenie" używają intelektualiści próbujący zaciemnić rzeczywistość. Oczywiście inercji winien jest przede wszystkim system, który podzielił władzę nad Polską pomiędzy dwie pozornie różniące się partie, które w kwestiach najbardziej istotnych mówią to samo. Ten system atomizował Polaków, ponieważ się ich bał. To echo wypowiedzi Adama Michnika sprzed lat. Dlatego trzeba było coś z tą polską ciemnotą zrobić, z tym ciemnym, katolickim zaściankiem.

Żeby znów nie obudziły się „demony polskiego nacjonalizmu"...

To język trwogi, którym mówiła mniejszość rządząca większością. Ten syndrom trwa do dziś, ale zaczyna się zmieniać.

Dużo jeździsz po Polsce, spotykasz się z ludźmi. Świadomość lokalizmu się przebija?

Powiem nieskromnie, że na spotkania przychodzą setki ludzi. W czasie objazdu kraju, który nazwałem „Rebelia", spotkałem się osobiście z ponad 40 tys. Polaków. Ważne jest, że ludzie przychodzą na spotkania, że rozmawiają w sposób dojrzały, zadają trudne pytania i nie zawsze się ze mną zgadzają, z czego bardzo się cieszę, bo tworzy się ferment, nieudawana dyskusja.

Ponadto spotykam na ulicy ludzi, z którymi pozdrawiamy się słowami: „Zdrowia i wolności". To zawołanie jest zawołaniem naszego ruchu, a także moim osobistym zawołaniem, którym pozdrawiam moich przyjaciół i wszystkich ludzi, których spotykam. To się upowszechnia. Kiedy ludzie zwracają się do mnie słowami: „Zdrowia i wolności", wiem, co im gra w sercu.

Myślę, że wypowiadając pozdrowienie „zdrowia i wolności", dotykasz dwóch kluczowych obszarów, na których toczy się walka o polską duszę. Odbiera się nam zdrowie, odbierając wolność. Tak było podczas tzw. pandemii COVID-19.

Wtedy terror ekspertów zastąpił mechanizmy demokratyczne. Nawet te naruszone. Ten proces trwa nadal. Profesor Pyrć nadal jest ekspertem Ministerstwa Zdrowia. Ten profesor Pyrć, który utrzymywał, że epidemia wzięła się z targu rybnego w Wuhan, z nietoperzy, którymi tam handlowano. To trwa, ci ludzie nigdy nie ponieśli żadnej odpowiedzialności za swoją działalność, skrajnie kryminalną.

Są kraje, gdzie przynajmniej próbuje się egzekwować odpowiedzialność za politykę sanitaryzmu realizowaną w czasie tzw. pandemii. Przed komisją Kongresu USA postawiono dr. Anthony'ego Fauciego, głównego autora tej polityki. U nas głucha cisza.

Byłem chyba pierwszym polskim dziennikarzem, który mówił, jak jest. Przecież nie na podstawie własnych objawień, tylko w oparciu o źródła naukowe ujawniałem, skąd wzięła się epidemia, kto był winny, mam więc ten komfort, żeby patrzeć na tę sprawę bez emocji. Obrazem tej sytuacji w Polsce jest fakt, że na moim profilu na platformie Patronite umieszczone jest ostrzeżenie wydane przez jakąś „radę naukową" Patronite przed moimi poglądami w sprawie COVID-19. Zostałem oznaczony w ten sposób, choć wszystko, co mówiłem i pisałem się potwierdziło. Rzeczy, które głosiłem od początku pandemii, okazały się mieć pokrycie w faktach i badaniach naukowych. Tymczasem jakaś rada naukowa Patronite nadal ostrzega przed moimi poglądami. To symbol tego, co dzieje się w Polsce. Naszego zaścianka, jeśli chodzi o dostęp do wyników badań rzetelnej nauki. Do tego COVID-19 objawił gigantyczną korupcję, która

Albo ktoś pójdzie po rozum do głowy i zacznie rozmawiać ze środowiskiem Grzegorza Brauna, potrafiąc liczyć, bo nie ma innej drogi do sformowania większości rządowej po wyborach w 2027 r., albo Tusk i jemu podobne środowiska nadal będą dzierżyć władzę. To bardzo prosty dylemat, „tak z Braunem" i rządy, „bez Brauna" i bez rządów

eprasa.pl dd77bf8fed

dotknęła środowisko medyczne. Mówi się, że lekarze zarabiają gigantyczne pieniądze. Tak, zarabiają, bo jest to skutek gigantycznej korupcji rozpętanej przez rząd Morawieckiego podczas pandemii COVID-19.

Totalitarne eksperymenty w dziedzinie zdrowia publicznego podejmowane są nadal. Najnowszy przykład to tzw. dieta planetarna wprowadzona obowiązkowo do wszystkich szkół przez Ministerstwo Edukacji Narodowej.

To umysłowa aberracja pokazująca, jak ideowi komuniści, bo za kogoś takiego uważam panią Nowacką, chcą całkowicie „zborsuczyć" system edukacji.

Gdzie są rodzice? Dlaczego nie zastopują aberracji w postaci przymusu „diety planetarnej"?

Bo są słabo zorganizowani. Gdyby osobno porozmawiać z każdym z nich, większość będzie oburzona, ale nie potrafią przełożyć tego oburzenia na zmysł organizacyjny. Jednak podnoszenie pewnych tematów i nagłaśniania ich przynosi efekty. Jako Ruch Obrony Polaków zorganizowaliśmy cztery duże konferencje na temat sytuacji w polskim systemie edukacji i dewastującej roli minister Nowackiej.

Chciałbym podnieść inny, głęboko bulwersujący temat. Cały czas trwa spektakl jednego tematu „Zondacrypto" czy – jak ktoś woli – „Kryptozonda", jest cały zastęp ekspertów, którzy wyuczyli się tego tematu na pamięć i chodzą od studia do studia, żeby o tym mówić, a tymczasem równolegle toczy się ogromna afera dotycząca handlu ludźmi, handlu dziećmi. Omal nie doszło do konferencji w Warszawie na temat surogacji. Przeprowadziłem drobiazgowe śledztwo w tej sprawie. Wykazałem, że ukraińska firma BioTexCom, która stała za niedoszłą do skutku konferencją w Warszawie, została stworzona przez człowieka, który miał zarzuty handlu ludźmi i prania brudnych pieniędzy. Nazywał się inaczej, teraz nazywa się inaczej.

Stoi za tym firma z USA należąca do kobiety, która spędziła 25 lat w Rosji i na Ukrainie, sama przysposabiając ukraińskie dziecko. W tej sprawie jest też polski wątek. Surogacja nie jest u nas uregulowana prawnie, ale handel czy organizowanie surogacji jest już karalne jako handel ludźmi. Istnieje polska firma, zarejestrowana w Krakowie, posiadająca filię we Lwowie, gdzie rekrutuje surogatki. Za surogację, czyli „handel macierzyństwem" dla bogatych ludzi, także par jednopłciowych, bo przecież nie ma tu żadnych barier, płaci się od 40 tys. do 80 tys. euro. W ostatnich wydaniach komentarza na swoim kanale dokładnie opisałem ten proceder, łącznie z jego polskimi udziałowcami. I co? I nic. Całkowita cisza.

To, że środowisko Grzegorza Brauna i Konfederacji Korony Polskiej cechuje format pospolitego ruszenia, jest jednocześnie jego zaletą i wadą. Zaletą dlatego, że przyciąga patriotycznie usposobionych intelektualistów. Wadą, bo partia Brauna przyciąga agenturę, awanturników, różnych ludzi niejednoznacznych, którzy na siłę podpinają się pod ten okręt, krzycząc: „Płyniemy!"

Jak uratować Polskę?

Po pierwsze musimy zakończyć „wojnę płci". Żadne programy społeczne, żadne „1000 plus" nie pomogą, jeśli chodzi o demografię, jeżeli nie zakończymy „wojny płci", czyli tego wszystkiego, co mieści się pod tym szyldem. Fałszywego pojmowania roli kobiety i mężczyzny, promowania wzorców, które prowadzą do rozbicia społeczeństwa.

A więc także systemowego niszczenia roli ojca, co realizuje się masowo w polskich sądach.

Dzisiaj mężczyzna zanim wstąpi w związek małżeński, kalkuluje, czy takie ryzyko mu się opłaca. Kiedyś posiadanie dzieci było instynktowne i błogosławione. Dziś stało się decyzją biznesową. Jeśli z tym wszystkim szybko nie skończymy, to wylądujemy w bardzo złej sytuacji, w której staniemy się społeczeństwem starych ludzi, na których emerytury nikt nie będzie zarabiał. Tę dziurę będziemy wypełniać ludźmi z obcych kultur, którzy będą przejmować nasze role.

Ani się obejrzymy, a ukradną nam Polskę.

Tak, ukradną nam Polskę. Przed tym od początku ostrzega Ruch Obrony Polaków.

Myślę, że dziś w Polsce bardzo odczuwalny jest brak „kotwicy wartości", którą onegdaj był Kościół katolicki. Kościół, który stoi na straży sumień i nie ulega politycznej poprawności.

Powiem coś przekornego. Jakiś czas temu miałem dyskusję z gronem katolików świeckich, którzy twierdzili, że pandemia była czasem, który stanowił swoiste „sprawdzam" dla Kościoła katolickiego w Polsce i polski Kościół tego egzaminu nie zdał. Zapytałem ich: polski Kościół? Przytaknęli. Odpowiedziałem im: gdybyście powiedzieli hierarchia kościelna, wtedy bym się z wami zgodził, ale Kościół stanowimy my, a więc to my nie zdaliśmy egzaminu. Oni na to: jak to my? Ano tak, że kiedy proboszczowie zamykali kościoły, trzeba było je szturmować. Nigdzie w Polsce nie było szturmów na kościoły i masowych modlitw. Wszyscy po trosze ponosimy więc winę za to, że episkopat zachowuje się jak plenum KC PZPR, że wydaje dziwne komunikaty, które coraz mniej ludzi rozumie. A gdy dzieją się takie rzeczy, jak macierzyństwo za pieniądze i handel łonami kobiet, nabierają wody w usta i milczą.

Zresztą jak w wielu innych kluczowych sprawach, głosu Kościoła nie słychać.

Słychać głos kard. Rysia, ale nie wiem, czy chcielibyśmy, żeby Kościół katolicki w Polsce wyglądał tak, jak chciałby kard. Ryś. Powiem tylko, że pewien pan, który zmienił płeć, twierdzi, że został sekretarzem jednego z zespołów Synodu diecezji krakowskiej. To komentuje się samo.

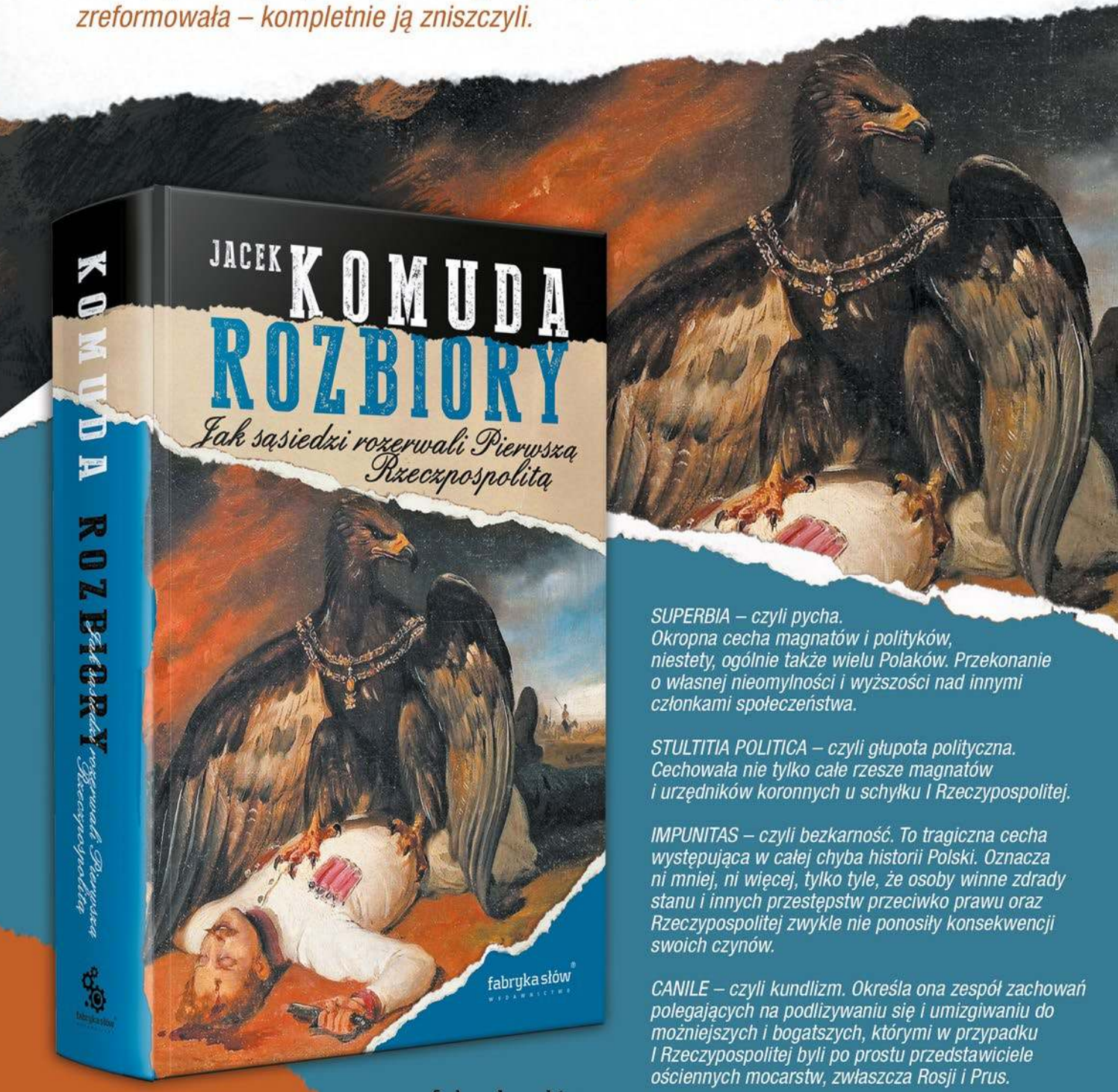
Kiedy zamierzasz ściąć włosy?

Jak zapowiedziałem, zrobię to, kiedy Donald Tusk straci władzę. To bardzo niewygodne, bo całe życie miałem krótkie włosy, dlatego noszę się z zamiarem kapitulacji, ale ciągle trwam (śmiech). Młodzieńcy mogą sobie nosić włosy, jakie chcą, ale u mężczyzny w dojrzałym wieku wygląda to strasznie. Mam nadzieję, że w przyszłym roku Tusk ostatecznie straci władzę, a ja wtedy ostrzygę się na króciutko.

© Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl dd77bf8fed

„Wymieńmy negatywne cechy Polaków, przez które zaborcy najpierw uniemożliwili rozwój systemu politycznego Rzeczypospolitej, a potem – kiedy się jednak zreformowała – kompletnie ją zniszczyli.



SUPERBIA – czyli pycha. Okropna cecha magnatów i polityków, niestety, ogólnie także wielu Polaków. Przekonanie o własnej nieomylności i wyższości nad innymi członkami społeczeństwa.

STULTITIA POLITICA – czyli głupota polityczna. Cechowała nie tylko całe rzesze magnatów i urzędników koronnych u schyłku I Rzeczypospolitej.

IMPUNITAS – czyli bezkarność. To tragiczna cecha występująca w całej chyba historii Polski. Oznacza ni mniej, ni więcej, tylko tyle, że osoby winne zdrady stanu i innych przestępstw przeciwko prawu oraz Rzeczypospolitej zwykle nie ponosiły konsekwencji swoich czynów.

CANILE – czyli kundlizm. Określa ona zespół zachowań polegających na podlizywaniu się i umizgiwaniu do możniejszych i bogatszych, którymi w przypadku I Rzeczypospolitej byli po prostu przedstawiciele ościennych mocarstw, zwłaszcza Rosji i Prus.

PÆDAGOGIA PUDORIS – czyli dzisiejsza pedagogika wstydu, ojkofobia, jak kto woli, albo ksenofilia. To umiłowanie obcych kultur przy nienawiści do własnej historii, kultury i narodu. Obecna dzisiaj w każdej prawie debacie publicznej, w literaturze, filmie i sztuce.”

fabryka słów
WYDAWNICTWO

PREMIERA
23 września 2026

eprasa.pl dd77bf8fed

Krajobraz z pałką





Piotr Semka

W tej kampanii policyjno-politycznej Donald Tusk mówi niezwykle mało. Tak naprawdę swój polityczny plan na jesień zdefiniował w pełni tylko raz – 28 sierpnia, na Campusie Polska. Jego wypowiedź jest jakby wyjęta ze stylu przemówień „silnych ludzi" z lat 30., którzy wmawiali tłumom, że wola jednostki, racja narodu czy wreszcie walka klas stoją wyżej niż prawo

Wejdą, nie wejdą". Ta pozornie frywolna piosenka popularna była w czasie karnawału Solidarności w latach 1980–1981, gdy Polacy głowili się, czy Breżniew wyśle swoje czołgi w celu stłumienia kontrrewolucji. Dziś tę samą piosenkę nucić sobie można w kontekście dywagacji, czy Donald Tusk wprowadzi przy pomocy policyjnej pałki Macieja Berka do Trybunału Konstytucyjnego.

Może nastąpi to, gdy ten tekst będzie szedł do druku, może za dwa dni, może za tydzień, a może po 20 września, gdy prezydent Karol Nawrocki pojedzie do USA. Ale sam fakt, że o możliwości przejęcia Trybunału większość mediów rozważa jak o czymś zupełnie normalnym, pokazuje, jak lider Koalicji Obywatelskiej narzucił nam swoje nowe patologiczne standardy.

Na razie swoistym poligonem nowej fazy we wprowadzeniu „demokracji walczącej" jest blokada Akademii Wymiaru Sprawiedliwości. Spór, który – co na pewno zwróci uwagę Tuska – nie przyciągnął zbyt wielu demonstrantów spoza kręgu Klubów „Gazety Polskiej", żeby zrealizować taktykę obecnego premiera i spróbować zrozumieć, dlaczego Tuskowi udaje się wszystkich w Polsce do takich patologii przyzwyczaić. Świata, w którym kandydat na nowego rektora Akademii Wymiaru Sprawiedliwości zajmuje swój gabinet poprzez dziurę wykutą w ścianie.

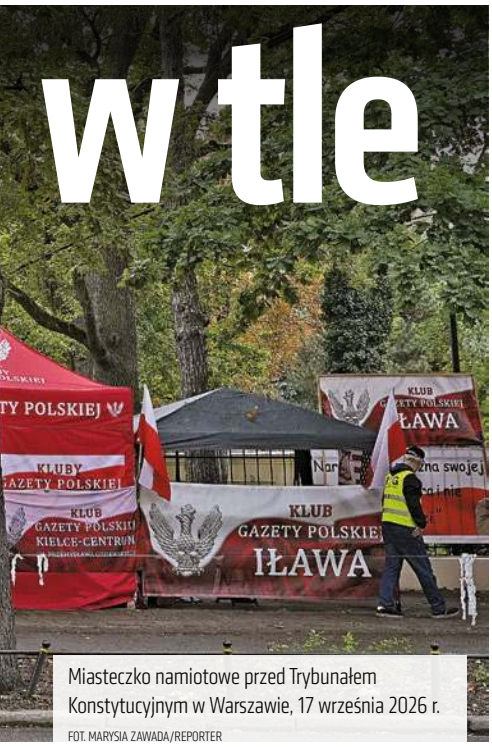
MILCZĄCY TUSK, WYMOWNI KLAKIERZY

W tej kampanii policyjno-politycznej Donald Tusk mówi niezwykle mało. Tak naprawdę swój polityczny plan na jesień zdefiniował w pełni tylko raz – 28 sierpnia br., na Campusie Polska.

„We wrześniu muszę mieć pewność, że nasi sędziowie wejdą do tego gmachu [tj. Trybunału Konstytucyjnego]. To jest kontrowersyjne, ale nie mam zamiaru kapitulować [...]. Może to nie będzie estetyczne, może część osób się na mnie obrazi, ale pomyślcie, czy więcej osób nie obrazi się na mnie, jeśli będę stał z rozdziawioną gębą i mówił, że nic się nie da zrobić, a Bogdan Święczkowski dalej będzie pomiatał sędziami [...]. To jest kontrowersyjne, ale nie mam zamiaru kapitulować".

Tak na dobrą sprawę cała ta wypowiedź jest jakby wyjęta ze stylu przemówień „silnych ludzi" z lat 30., którzy wmawiali tłumom, że wola jednostki, racja narodu czy wreszcie walka klas stoi wyżej niż prawo. Po 1989 r. z tekstów publicystycznych wypatrujących tego stylu po prawej stronie i chętnie sięgających po analogię z przejmowaniem władzy przez nazistów w momencie agonii Republiki Weimarskiej można by stworzyć grubą analogię. Ale – jak się okazało – gdy słowa te w końcu padają, pochodzą z obozu liberalnego. I – co najważniejsze – nie wywołują jakiegokolwiek zgorszenia. Jeśli wyjąć prof. Ryszarda Piotrowskiego i sędzię Barbarę Piwnik, to nie słychać żadnych głosów protestu konstytucjonalistów i politologów. A Tusk

eprasa.pl dd77bf8fed



Miasteczko namiotowe przed Trybunałem Konstytucyjnym w Warszawie, 17 września 2026 r.
FOT. MARYSIA ZAWADA/REPORTER

do tematu nie wraca, tworząc pole do podejrzeń, kiedy atak nastąpi i jaką formę przyjmie. Ale to nie znaczy, że z obozu rządowego nie pojawiają się pogróżki. Minister Kierwiński subtelnie wzmacnia napięcie, głosząc, że „policja jest od tego, aby pilnować przestrzegania prawa. Jeżeli w TK będzie łamane prawo, to policja będzie interweniować. Łamaniem prawa jest niedopuszczanie legalnie wybranych sędziów" – powiedział 17 września nadzorca policji. Sam Tusk jednak milczy, ale w tym milczeniu tym silniej wybijają się głosy mediów prorządowych. A wszystkie one przyjmują jedną tonację. Oto Bogdan Chrabota na łamach „Rzeczpospolitej" pisze: „Nie należę do wielbicieli pomysłu, by do Sądu Konstytucyjnego trafiali politycy. Ale Donald Tusk nie miał w tej kwestii wyboru. Gdyby się ugiął w sprawie Macieja Berka, poniósłby podwójną klęskę". Równie wyrozumiała, choć bardziej hamletyzująca jest Dominika Wielowieyska z „Gazety Wyborczej".

„Nie wiem, co się wydarzy w Trybunale Konstytucyjnym, na ocenę przyjdzie czas. Ale jedno wiem na pewno. Od wielu miesięcy mamy do czynienia z bezprawiem, które polega na tym, że czworo legalnie wybranych sędziów siedzi na korytarzu i nie jest dopuszczanych do orzekania [...]. Pytanie jest proste, czy to dobrze, że państwo polskie przygląda się biernie tym bezprawnym działaniom? Jest to potężny dylemat, z którym niełatwo się zmierzyć".

Obie te wypowiedzi faktycznie stanowią zielone światło dla politycznej decyzji o wysłaniu policji na prezesa Święczkowskiego. Obaj publicyści nie są zachwyceni rozwojem wydarzeń, ale dają do zrozumienia, że „Tusk nie ma innego wyjścia". I dopiero na tle tego publicystycznego permisywizmu wobec używania siły w rozstrzyganiu sporów konstytucyjnych na medialnej układance Tuska pysznić się mogą wezwania prorządowych ultrasów do działania „na całość". Znów do łask wraca Janusz Palikot, który w rozmowie z Tomaszem Lisem ogłasza: „Nie mamy innego wyjścia niż coś w rodzaju zamachu majowego w Polsce. Musimy pójść dalej i Trybunał Stanu może być początkiem takiej akcji. Palikotowi wtóruje Tomasz Lis, który zachęca: „Teraz targowicę trzeba wcisnąć do narożnika i znokautować, a potem wynieść z ringu".

Ktoś może zarzucić mi, że cytuję głosy czy to przebrzmiałej gwiazdy medialnej pogrążającej się we frustracji, czy to zdeklasowanego polityka, który sam użala się, że jest bezdomny. Ale wezwania do polityki twardej ręki formułuje też np. były doradca premiera Tadeusza Mazowieckiego – Waldemar Kuczyński.

„Znaczny wzrost notowań KO to moim zdaniem skutek wyraźnego zaostrzenia kursu w sprawie rozliczeń, determinacji w sprawie Macieja Berka i zapowiedzi podobnego zaostrzenia w naprawie TK. Znaczna część wyborców oczekuje demokracji walczącej, a nie człapiącej. Najwyższa pora!".

Co charakterystyczne, Kuczyński nie zadaje sobie pytania, dlaczego prokuratura w ciągu trzech lat nie była w stanie skierować do sądów zbyt wielu dobrze uzasadnionych aktów oskarżenia wobec byłych polityków PiS. Omija ten temat za pomocą wyrażenia wytrychu „demokracja człapiąca". Ale przecież dążenie do działań na skróty jako panaceum na niesprawność własnej prokuratury to właśnie przez długie lata najczęściej przywoływany zarzut wobec polityki ministra Zbigniewa Ziobry. A teraz jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki siłowe wprowadzanie Macieja Berka do TK staje się cudownym panaceum na słabości koalicji 13 grudnia.

TUSK WYCIĄGA WNIOSKI

Przeglądając reakcje na ostatnią polityczną ofensywę lidera Koalicji Obywatelskiej, bardzo wiele mediów komentuje rozmaite jej aspekty osobno. Tak jakby granie aferą Zondacrypto było czymś innym od pogróżek wobec Trybunału Konstytucyjnego i czymś innym od walki z prezydentem. A czemu nie popatrzeć na to jak na jedną sprzężoną i wielocelową operację? Prawej stronie sporo satysfakcji przyniosła ostatnia wielka porażka polityka z Sopotu, czyli wygrana Karola Nawrockiego.

To prawda. Tuska zawiodły wtedy nerwy i zgubiła pewność siebie. Ewidentnie „posypał się" w trakcie rozmowy z Bogdanem Rymanowskim i skompromitował się powoływaniem się na autorytet Jacka Murańskiego. Przez kolejny rok Tusk nie znalazł skutecznego sposobu, aby poradzić sobie ze swoim głównym adwersarzem Karolem Nawrockim.

Wszystko to jednak nie znaczy, że Tusk nie wyciąga wniosków z porażek. Coraz więcej wskazuje, że obecna jesienna ofensywa polityczna przygotowywana była od dłuższego czasu. I jest to operacja prowadzona na kilku frontach.

I wiele jej elementów jest niejasnych. Nie wiemy, od kiedy szef Zondacrypto mógł zacząć współpracować z wysłannikami Tuska. Być może jego próby docierania do osób kojarzonych z prawicą były już działaniem na zlecenie „z góry". Ale na pewno można powiedzieć jedno: równoległe wyciągnięcie enigmatycznych zeznań Przemysława Krala, przeforsowywanie Macieja Berka i zapowiedzi zdobycia TK to przykład operacji, której jedno działanie ma osłaniać drugie. A w razie sukcesu tej operacji ma doprowadzić znów do potrójnego efektu. Jak się zdaje, ma być to na tyle poważne skompromitowanie całej prawicy – zarówno PiS, jak i Konfederacji – aby znacząco osłabiło to notowania opozycyjnych partii i umożliwiło utrzymanie władzy przez Tuska po wyborach w 2027 r. Ale drugim równoległym celem ma być znaczące ograniczenie uprawnień prezydenta Karola Nawrockiego lub też podjęcie procedury impeachmentu, czyli usunięcia głowy państwa

eprasa.pl dd77bf8fed

z urzędu. Ten manewr nie tylko zapewniłby utrzymanie się Tuska u władzy, lecz także w razie udanego wyniku wyborów w 2027 r. mógłby otworzyć pole do zmian konstytucyjnych. Najprawdopodobniejsza byłaby likwidacja zasady powszechnych wyborów prezydenta na rzecz jego wyboru przez Sejm przy ograniczeniu kompetencji prezydenckich. Już teraz takie propozycje formułuje prof. Andrzej Zoll, były prezes Trybunału Konstytucyjnego.

Wyobraźmy sobie więc, że taki jest scenariusz demiurga z Sopotu. I dopiero w tym kontekście pojąć możemy prawdziwy sens słów wypowiedzianych przez Tuska w trakcie Campusu Polska w sierpniu. „Jak by był ktoś lepszy, to by tę władzę wziął", z sugestią, że na razie takiego „silnego" nie widać. Większość komentatorów uznała to za refleksję Tuska na temat swojej dominującej partii w Koalicji Obywatelskiej. Czy nie są to jednak słowa kogoś, kto chce wyeliminować absolutnie jakikolwiek organ niezależny od władzy obecnego premiera? No bo pomyślmy – jeśli w ciągu najbliższego roku za pomocą zarzutów prokuratorskich lub decyzji o aresztowaniach zostaną znacząco osłabione partie prawicy, jeśli towarzyszyć będzie temu zneutralizowanie lub wręcz sparaliżowanie niekontrolowanych przez Tuska mediów, to wybory mogą stać się parodią. A jeśli tak gwałtowne osłabienie prawicy doprowadzi do stworzenia większości konstytucyjnej dla koalicji 13 grudnia, to Tusk na pewno pójdzie drogą węgierskiego premiera Pétera Magyara i za pomocą zmian w konstytucji zapewni sobie monowładzę na wiele lat. Nie jesteśmy daleko od tego scenariusza.

Opanowanie przez Macieja Berka Trybunału Konstytucyjnego i przyjęcie przez niego roli tresera, który będzie w stanie zastraszyć większość sędziów, to nie jest wydumana wizja. Naturalną konsekwencją takich zmian musi być wręcz próba wysadzenia z siodła Karola Nawrockiego. Gdy pojawiają się takie obawy, czytam często na stronach internetowych, że są także opinie, że ludzie wyjdą na ulice, że ruszą się kibice, że ludzie własnymi piersiami będą bronić Pałacu Prezydenckiego przed policją Tuska. Ja jednak pamiętam pierwsze Marsze Niepodległości z lat 2011–2014 i nie zapomnę, jak łatwo służbom udawało się wtedy prowokować zajścia. Czy ktoś w obozie władzy nie analizuje już teraz, jak można by ewentualne masowe demonstracje skompromitować paroma prowokacjami, po których łatwo by nadać takim wystąpieniom rys bandyterki? Wtedy się udawało, to w przyszłości miałoby się nie udać? To nie jest zniechęcanie do demonstracji przeciwko ewentualnym nadużyciom obecnej władzy. To tylko uświadomienie, że jeżeli protesty wyrwą się na ulicę, to ci, którzy mają w garści służby siłowe, mogą (choć nie muszą) znacząco wpływać na rozwój wydarzeń. Jeśli piszę te słowa, to nie po to, aby wzywać do bierności, ale po to, aby uzmysłowić, przed jak trudnym egzaminem może stanąć za chwilę prawa strona. I w tym kontekście nasuwa się kolejne pytanie: Czy jest na to przygotowana?

Tusk może pójść drogą Pétera Magyara i za pomocą zmian w konstytucji zapewni sobie monowładzę na wiele lat

JEDEN TUSK I SKŁÓCONA CZWÓRPRAWICA

Teoretycznie liderzy czterech aktualnie czy nawet pięciu (jeśli liczyć Bosaka osobno) ugrupowań prawicy powinni być tym rozwojem wydarzeń zaniepokojeni. Ale na razie o zagrożeniu autorytaryzmem Tuska i realności wariantu siłowego mówi jedynie PiS. I tylko ta partia podjęła na serio wyzwanie Tuska w kwestii obrony praworządności w stosunku do Akademii Wymiaru Sprawiedliwości. PiS nie miał wyboru. Musiał przyjąć bitwę o AWS, uznając, że jest to moment na uczulenie opinii publicznej na zagrożenie rosnącym skokowo postępem łamania praworządności. Tyle że fakt, iż to tylko PiS broni AWS, stworzył wrażenie, jakby było to działanie na rzecz – by użyć pogardliwego określenia z mediów liberalnych – „sierot po Ziobrze". Na dodatek w takich sporach od wzniosłości do śmieszności jest tylko krok. Uwidocznił to poseł Dariusz Matecki, którego szarpanina z policją przy przeskakiwaniu ogrodzenia ośmieszyła całą akcję. Ale brak pod AWS innych liderów prawicy Tusk przyjmie jako zachętę do dalszego grania na rozbicie całej prawicy. A w sprawę Zondacrypto można wplatać posłów i PiS, i Konfederacji, i wreszcie Rozwoju Plus. Przekonanie Sławomira Mentzena, że zostanie na uboczu tego mętliku, bo nie wyklucza koalicji z Tuskiem, jest groteskowo naiwne. Ale co słychać z obozu Konfederacji? Oto Dobromir Sośnierz, pytany o kwestie protestu prezydenta wobec uznawania „sędziów mianowanych wobec kolumny w Sejmie", mówi: „Prezydent powinien przyjąć te ślubowania i koniec! Trudno, trzeba pogodzić się z tym, jak Polacy zdecydowali, i to teraz oni rządzą i mianują".

Ta sytuacja, w której wszyscy pozostali liderzy podchodzą do akcji Tuska tak, jakby to dotyczyć miało tylko ich rywali, tylko rozzuchwali obecnego lidera koalicji 13 grudnia.

Co pozostaje? Oczywiście świadomość, że w rozmaitych montażach Tuska od dłuższego czasu pojawia się syndrom „klątwy Giertycha". Wykonawcy jego misternych planów na tyle nie potrafią ukrywać swoich politycznych celów, że osłabia to wiarygodność tych operacji. To coś jak gra, w której wszyscy wiedzą, że karty są znaczone. Taki spektakl nie ma nic z autentyzmu i nie wywołuje żadnych pozytywnych emocji. Wszystko wskazuje, że Przemysław Kral znajduje się tak mocno w imadle ludzi Tuska, że może zeznać dosłownie wszystko i obciążyć dosłownie każdą osobę. A wszystko to dotyczy osoby, o której nie wiadomo, gdzie jest ani jaki jest jej status. Nawet minister Waldemar Żurek nie jest w stanie wyjaśnić, czy Kral to zwykły świadek, świadek koronny czy tylko zwykły przesłuchiwany.

I na tym polega dramat Tuska, że tworząc model swojej monowładzy, ma na swoje usługi coraz bardziej kiepskich graczy. Mało lotny Kierwiński, makiawelistyczny Giertych, pseudosprytny Dubois – tacy pomocnicy mogą jakimś swoim błędem rozbudzić negatywne emocje przeciwko całej operacji poszerzania władzy dla obecnego premiera.

Pamiętajmy jedno: Tusk może działać w kierunku realizacji swojego planu tylko w warunkach bierności społecznej. Jeśli Polacy dalej nie będą reagować na ewidentne oznaki łamania demokracji, to ten niepokojący plan może być realizowany. Jeśli protest społeczny wybuchnie płomieniem, to Tusk może się przestraszyć. I to jest najważniejsza nauka z całej obecnej sytuacji.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl dd77bf8fed

Od ponad dekady tworzymy jedno
z najbardziej opiniotwórczych mediów w Polsce

SPÓŁKA AKCYJNA
DO RZECZY



Do Rzeczy S.A.
Spółka notowana na rynku **NewConnect (GPW)**
Symbol giełdowy: **DRZ**

WOLNOŚĆ SŁOWA MA WARTOŚĆ - TAKŻE GIEŁDOWĄ

Od 28 kwietnia 2026 możesz nas nie tylko czytać,
ale również zostać akcjonariuszem Do Rzeczy S.A.

ZAINWESTUJ
W NIEZALEŻNE MEDIA
Twoje media. Wspólna sprawa.

Dowiedz się więcej:
www.DoRzeczySA.pl

eprasa.pl dd77bf8fed

Cudowna broń Donalda Tuska



FOT. BEATA ZAWRZEL/REPORTER



Rafał A. Ziemkiewicz

Międzynarodowe skutki przejęcia Trybunału Konstytucyjnego w Polsce byłyby trudne do przewidzenia. Trzeba jednak pamiętać, że po sukcesach AfD w Niemczech i wobec wyborczych sondaży we Francji eurokraci nie są już tak pewni swego, jak trzy lata temu, gdy sami zachęcali szefa polskiego rządu do śmiałej rozprawy z „populistami"

Patrząc na polityczne wojny z pewnego dystansu, bez ulegania emocjom, trudno nie odnieść wrażenia, że w obozie rządzącym narasta starannie skrywana panika. Widać działanie mechanizmu, który dał się zauważyć już wiele razy w dziejach: jedyną odpowiedzią na kolejne oznaki nadchodzącej klęski jest wzmożenie wiary w wodza. Spokojnie, „Kierownik" na pewno nas z tego jakoś wyprowadzi. „Kierownik" na pewno ma jakiś plan. Nie mówi tego na głos, ale wiadomo, że ma przygotowaną cudowną broń – niebawem ją odpali, bądźcie pewni, i róbcie, co każe!

Taką cudowną bronią jeszcze dwa tygodnie temu miała być afera giełdy kryptowalutowej Zondacrypto. Aby ją należycie politycznie sprzedać, Tusk zarządził kolejne sejmowe posiedzenie, na którym wałkowane miało być kolejne prezydenckie weto do tej samej, po raz kolejny wysłanej mu przez Sejm ustawy, która – jeśli przyjrzeć się meritum – w ogóle Zondacrypto nie dotyczy i gdyby weszła w życie np. rok temu, nie tylko nie przeszkodziłaby w obrabowaniu klientów giełdy, lecz także by w tym pomogła.

Chodziło jednak tylko o stworzenie pretekstu do wygłoszenia przez premiera przemowy, która miała wstrząsnąć słuchaczami: „Trzymają was za gardło bardzo źli ludzie! To wasza ostatnia szansa!" – zwracał się do posłów opozycji, po tym, jak powoływał się na zeznania

eprasa.pl dd77bf8fed

składane w śledztwie przez Przemysława Krala (nie wymienił go z nazwiska, ale dla wszystkich było jasne, kto jest tym „głównym zeznającym") o „procederze" zorganizowanym jakoby przez Patrycję Kotecką i milionowych wpłatach na „rodzinną fundację Ziobrów". Posłowie opozycji z danej im łaskawie szansy nie skorzystali i prezydenckiego weta nie odrzucili.

„WOJNA GANGÓW"

Ponad 30 lat temu z tej samej sejmowej mównicy ówczesny premier, Jan Olszewski, wygłaszał równie dramatyczne wystąpienie, zakończone sławnym „czyja będzie Polska?" i apelem do posłów, by pamiętali, że po wyjściu z sali obrad będą musieli spojrzeć w twarze ludziom na ulicy. Wszyscy świadkowie mówią, że mecenas Olszewski autentycznie wierzył, iż siłą swej wymowy przekona posłów z tylnych foteli, aby w imię wartości moralnych zagłosowali wbrew poleceniom swoich partyjnych liderów. Ale czy mógł w coś podobnego wierzyć polityk równie cyniczny jak Tusk? Trudno tak sądzić. Niewątpliwie cała przemowa skierowana była, przez media, do wyborców.

Nic jednak nie wskazuje na to, żeby jej wpływ jakkolwiek przekroczył ustabilizowany od lat podział: żelazny elektorat Tuska doznał chwilowego, radosnego wzmożenia, że „no, teraz to im Kierownik naprawdę przyp.....lił", żelazny elektorat PiS nie uwierzył w ani jedno słowo premiera, tym bardziej że jak szybko wykazały opozycyjne media, w wielu miejscach się on w tej przemowie zaplątał (Kral nie ma statusu świadka, więc nie może w sensie prawnym „zeznawać" – może jedynie „składać wyjaśnienia", a w tych, zgodnie z prawem, wolno mu bezkarnie kłamać i zmyślać, brat byłego ministra sprawiedliwości, który zresztą dawno temu się od niego odciął i nawet zmienił nazwisko, nigdy nie miał nic wspólnego z wymienioną przez Tuska fundacją etc.). A tak zwani „zwykli Polacy" pozostali w przekonaniu, w którym tkwią od lat, że wszystko to „wojna gangów", którą nie ma się co interesować – ot, rządzili ci pierwsi, to Ziobro rozliczał, a Giertych ukrywał się za granicą, a pod Trybunałem Konstytucyjnym skandował KOD, jak teraz rządzą ci drudzy, to Giertych rozlicza, Ziobro się ukrywa, a skandują Kluby „Gazety Polskiej". Słowem, igrzyska dla mediów i zadeklarowanych kibiców, w których „normals" nie widzi żadnego związku ze swoimi problemami.

Nasuwa się tu analogia, która zwolennikom PiS się nie spodoba – ale podobieństwo wydaje się oczywiste. Analogia z ostatnimi miesiącami pierwszego rządu PiS, w roku 2007. Po skłóceniu się z koalicjantami i utracie parlamentarnej większości Jarosław Kaczyński pokładał wtedy wszystkie nadzieje na utrzymanie władzy w ostatecznym zdemaskowaniu „układu" (prezes PiS nie używał słowa „rozliczenia" czy tym bardziej „dokończenie rozliczeń", ale w rzeczy samej chodziło o to samo, co dziś jest tak nazywane w obozie Tuska). Wyczuła to grupa cwaniaków, na czele z zapomnianymi już prokuratorem Januszem Kaczmarkiem i komendantem Konradem Kornatowskim, którym sprzyjać miał Zbigniew Ziobro. Utrzymywali oni premiera w przekonaniu, że mają układ już, tuż-tuż, na wyciągnięcie ręki. Jeszcze tylko odrobina zaufania, jeszcze chwila cierpliwości i specjalne pełnomocnictwa do zajęcia się „willą Kwaśniewskich w Kazimierzu", a prezes dostanie do ręki koniec nitki, którą jak szarpnie, to wypruje na widok publiczny cały postkomunistyczny „układ", całą „czerwoną pajęczynę", z byłym prezydentem, jako głównym pająkiem, podanym jak na tacy. Wywoła to „porażający efekt", który całkowicie zmieni nastawienie wyborców i raz na zawsze zmieni zarówno postkomunistów, jak i konkurującą wtedy o ten sam postsolidarnościowy elektorat i nieco przez Kaczyńskiego lekceważoną Platformę Obywatelską. (Tak opisałem ten polityczny moment w książce „Czas wrzeszczących staruszków", kierując się dedukcją – po jej publikacji w osobistej rozmowie nieżyjący już Ludwik Dorn zapewnił mnie, że trafnie).

ROZPACZLIWA WALKA O ZACHOWANIE SPÓJNOŚCI KOALICJI

Bardzo możliwe, że Roman Giertych, występujący w podejrzanej roli zarazem głównego architekta tuskowych „rozliczeń" i jednocześnie obrońcy Krala oraz jego „oficera politycznego", w analogiczny sposób manipuluje dziś Tuskiem, wykorzystując jego wiarę w „porażający efekt", jaki wywoła zdemaskowanie „zbrodni PiS" – zbrodni, w których istnienie po prawie już trzech latach bezowocnych „rozliczeń" najwyraźniej wciąż on wierzy, w przeciwieństwie do większości wyborców. Działania Tuska coraz bardziej wyglądają na rozpaczliwe kupowanie czasu w czekaniu na „coś".

Wybory wprawdzie dopiero w przyszłym roku, ale Donald Tusk pamięta lekcje otrzymane przez poprzedników: wyborów nie przegrywa się w wyborach, przegrywa się je w momencie sondażowego „tąpnięcia". Klęska postkomunistów została przesądzona, gdy kulisy ich rządów odsłoniła przed wyborcami komisja śledcza do sprawy afery Rywina, klęska poprzednich rządów Tuska wywołana została podsłuchami z kelnerskich taśm. Takie sondażowe „tąpnięcie", jak uczy historia, uruchamia lawinę: coraz więcej wiernych dotąd wykonawców, środowisk oraz mediów „pęka" i albo próbuje ratować się na własną rękę, zmieniając stronę i prowokując rozłamy, albo zrywa zasadę partyjnej „omerty", wkupując się w łaski przewidywanych następców wynoszeniem tajemnic lub dowodów nadużyć swego obozu. Po przekroczeniu pewnej masy krytycznej nie sposób już tego procesu zatrzymać.

Tym, o co rozpaczliwie walczy premier, jest zachowanie spójności swej koalicji. A ponieważ wszystkie dotychczasowe sztuczki – ogłaszanie „rewolucji legislacyjnych", „nowych otwarć", obiecywanie miliardów z Unii Europejskiej i inwestorów z Kataru dawno już przestały działać (poza drwinami, nawet najwierniejsi nie podchwycili próby wzbudzenia entuzjazmu wokół lotów w kosmos czy „polskiego Starlinka"), jedynym, co pozostało i co jeszcze jako tako działa, jest uświęcona od dziesięcioleci zasada „polaryzacji", jej stałego zaostrzania i ciągłego „utwardzania betonu". Superbroń, której szuka Donald Tusk, do tego właśnie ma więc służyć. Musi przywrócić politycznemu zapleczu i żelaznemu elektoratowi wiarę, że zwycięstwo wciąż jest możliwe.

Pytanie, czy taką rolę może jeszcze odegrać jakakolwiek „afera", choćby i udało się wreszcie znaleźć przekonujące dowody rzeczywistych nadużyć. Po wszystkich dętych „największych aferach od czasu Rywina", a nawet w ogóle „największych w dziejach Polski", społeczeństwo jest już ogłuszone wrzaskiem

eprasa.pl dd77bf8fed

i poza garstką wiecznie podnieconych najwierniejszych kibiców znieczulone na ponawiane okrzyki o skandalu i „utracie moralnej legitymacji". „Afera wizowa", Pegasus, Fundusz Sprawiedliwości, sfałszowane wybory, Grand Hotel, wszystko to okazało się tylko ględzeniem, niepotwierdzonym żadnymi dowodami. Więc i Zondacrypto i np. gorliwie podchwycona przez Tuska strata Orlenu za rządów PiS na wenezuelskim kontrakcie, gdzie w ogóle trudno mówić o jakiejś „aferze" (Polska została po prostu oszukana przez nieuczciwego tradera), i butne zapowiedzi, że „zaraz zobaczycie co wyjdzie w sprawie RARS" pozostają w nakreślonym wyżej schemacie żelaznych elektoratów i obojętnej większości.

Tusk to widzi i dlatego, można domniemywać, coraz chętniej dopuszcza do siebie myśl o „okazaniu mocy" i, mówiąc wprost, dokonaniu zamachu stanu. Bo siłowe przejęcie Trybunału Konstytucyjnego i powierzenie go „naszym sędziom" (jak sam ich w przypływie szczerości nazwał) pod dowództwem Macieja Berka nie byłoby niczym innym. Po Sejmie i środowisku dziennikarskim krążą scenariusze szykowanego zamachu: wprowadzenie przez policję do gmachu TK „sędziów" Tuska, aresztowanie dotychczasowego prezesa, a następnie seria przygotowanych już orzeczeń – uznanie za „niekonstytucyjne" wszystkich reform przeprowadzonych przez PiS po roku 2015, uznanie Karola Nawrockiego za niezdolnego do sprawowania urzędu i przekazanie jego uprawnień Włodzimierzowi Czarzastemu itd. Bez wątpienia opowieści te wychodzą z kręgów bliskich władzy. Najbardziej prawdopodobne jest, że produkowane są tam na użytek wewnętrzny – na podobnej zasadzie, jak w oblężonym Berlinie zapowiadano rychłą odsiecz praktycznie nieistniejącej już wtedy armii Felixa Steinera i krzepiono się wiarą w V-3, którą Führer zachowuje na odpowiednią chwilę i która odwróci całkowicie losy wojny. „Ani kroku w tył, trwajcie na stanowiskach, wódz panuje nad sytuacją".

W dniu, kiedy scenariusz policyjnego ataku na TK miał zostać zrealizowany, rząd postanowił siłowo spacyfikować Akademię Wymiaru Sprawiedliwości, którą „na miękko" próbuje przejąć od trzech lat, ale nagle okazało się to pilne. Zdaniem wielu miała to być „próba generalna" przed szturmem na Trybunał. Gdyby tak było, to próba wypadła fatalnie: policja nie wiedziała, po co została wezwana i długo dreptała w kółko, czekając na decyzje ministra Marcina Kierwińskiego, kandydata do zastąpienia rektora Sopińskiego wzięto chyba najgorszego z możliwych, ogólnie cała akcja była wielkim chaosem.

Ale faktem jest, że na ten dzień do Warszawy ściągnięto z prowincji posiłki policyjne znacznie przekraczające potrzeby takiej awantury. Zdumiewało też przysłanie pod budynek AWS aż trzech wozów strażackich. Co miały one polewać i czym? Bardziej niż „próba generalna" prawdopodobne wydaje się, iż włamanie do AWS stanowiło raczej rozpaczliwą improwizację, ersatz, obiecanego „rozgrzanym" zwolennikom, zamachu na Trybunał.

„Afera wizowa", Pegasus, Fundusz Sprawiedliwości, sfałszowane wybory, Grand Hotel, wszystko to okazało się tylko ględzeniem, niepotwierdzonym żadnymi dowodami

Tymczasem dziwna ustawa sejmowa z początku września, nakazująca Polsce literalne i natychmiastowe wprowadzanie w życie orzeczeń Europejskiego Trybunału Praw Człowieka, pasuje do szeptanej narracji o przejęciu Trybunału. Wedle niej „Kierownik" miał załatwić, że ETPC wyda orzeczenie legalizujące zaplanowane działania, zamach odbędzie się więc niejako z europejską autoryzacją. Czy taka obietnica ze Strasburga rzeczywiście została Tuskowi złożona, czy to tylko kolejna zmyślona „wunderwaffe"? Międzynarodowe skutki przejęcia Trybunału w Polsce byłyby trudne do przewidzenia, ale trzeba pamiętać, że po sukcesach AfD w Niemczech i wobec wyborczych sondaży we Francji eurokraci nie są już tak pewni swego jak trzy lata temu, gdy sami zachęcali Tuska do śmiałej rozprawy z „populistami". Z jednej strony, tolerowanie łamania demokracji w Polsce tworzyłoby precedens perspektywicznie groźny dla nich samych, z drugiej stanowiłoby prezent dla antyeuropejskiej polityki USA, gdzie zbudowano już – w randze specjalnego raportu komisji Kongresu – narrację o łamaniu praworządności i demokracji w Europie, i czeka ona na ewentualne wykorzystanie dla postawienia Brukseli do pionu.

OPOWIEŚCI O AMERYKAŃSKIM „TAJNYM RAPORCIE"

Ostatnią nadzieją pozostaje jakiś stan nadzwyczajny związany z agresją Rosji. Dlatego obok opowieści o szykowanym przejęciu TK wychodzą ze sfer rządowych także opowieści o „tajnym raporcie", który miały przekazać premierowi służby amerykańskie. Sam Tusk, powołując się na ów raport, sugerował publicznie, że Amerykanie każą się nam szykować do odparcia rosyjskiej napaści. Jednak jego minister obrony narodowej przyznał w telewizyjnym wywiadzie, że o takim raporcie tylko słyszał. Jak to rozumieć? Jako dowód, że Władysław Kosiniak-Kamysz tak niewiele znaczy na dworze Tuska, czy że zawarta w raporcie zapowiedź rychłego wybuchu wojny jest kolejną z wyprodukowanych przez ten dwór bajęd? I czy fanfaronada ministra Radosława Sikorskiego, zapowiadającego, że „my" (potem tłumaczył, że „my" miało oznaczać nie Polaków, ale całą Europę, w każdym razie jednak bez pomocy USA) moglibyśmy pokonać Rosję, to jego normalna, od czasu do czasu znajdująca takie ujście, megalomania, czy jakiś rodzaj świadomego podgrzewania nastrojów?

Wszystko pozostaje niejasne, nieprzenikliwe i skłania do zadawania pytań: Czy Donald Tusk jeszcze zachowuje kontakt z rzeczywistością, czy może jest przez swoje otoczenie (skądinąd wiadomo, że zamknął się w kilkuosobowym kręgu zaufanych, a z innymi kontaktuje się tylko, gdy musi im wydać jakieś polecenie) zamykany w kręgu urojeń? Czy rozpuszcza pogłoski o planowanym siłowym przejęciu władzy, tylko by podtrzymać w swych żołnierzach wiarę, czy istotnie roi mu się ostateczne przekroczenie Rubikonu i aresztowanie prezydenta oraz politycznej opozycji? To drugie wciąż wydaje się nieprawdopodobne, ale w dziejach nie brakowało polityków, którzy tracąc siły i wpływy, dopuszczali się spektakularnych aktów szaleństwa.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl dd77bf8fed

KSIĘGARNIA DO RZECZY

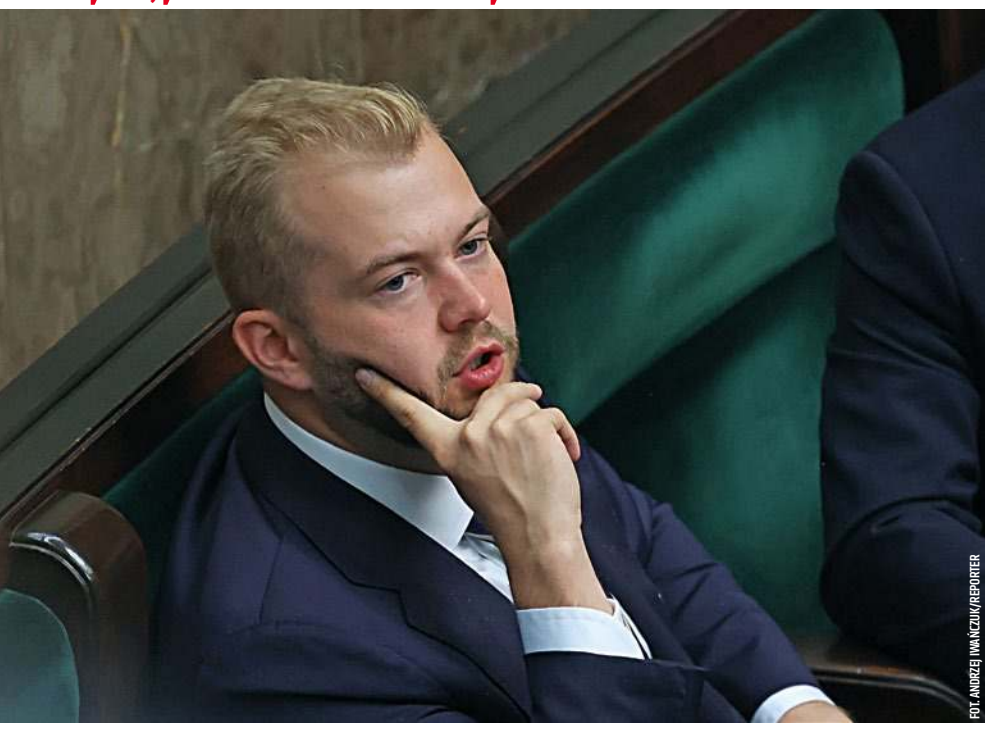


ZAPRASZAMY DO KSIĘGARNI DO RZECZY



KSIEGARNIADORZECZY.PL

eprasa.pl dd77bf8fed



FOT. ANDRZEJ IWAŃCZUK/REPORTER

(Nie)dobry duch partii



Zuzanna Dąbrowska-Pieczyńska

Jeszcze przed trzydziestką dostał dostęp do „ucha prezesa", później wszedł do Sejmu i partyjnej elity. Michał Moskal przez lata uchodził za jednego z najbardziej zaufanych ludzi Jarosława Kaczyńskiego. Poważnym problemem okazała się afera Zondacrypto

Młody, sprawny, dobrze zorganizowany" – tego rodzaju opinie można usłyszeć na temat Moskala od działaczy PiS. Były wicepremier Jacek Sasin nazwał go „dobrym duchem partii". Mający 32 lata Michał Moskal jest w wieku, w którym wielu wciąż cierpliwie czeka na pierwszą poważną funkcję. Tymczasem on zdążył kierować młodzieżówką PiS, pracować u boku wicepremierów, zostać dyrektorem Biura Prezydialnego partii, posłem, członkiem Komitetu Wykonawczego PiS i wiceprezesem lubelskich struktur ugrupowania.

Moskal urodził się w 1994 r. w Janowie Lubelskim. Ukończył prawo na Uniwersytecie Warszawskim. Ma też tytuł MBA uzyskany w Kolegium Jagiellońskim. Działał w Niezależnym Zrzeszeniu Studentów, którym kierował w latach 2015–2017. Następnie związał się z PiS – pracował jako asystent wiceministra Tomasza Zdzikota – najpierw w MSWiA, później w MON. W 2018 r. zdobył mandat radnego warszawskiego Żoliborza, a dwa lata później został przewodniczącym Forum Młodych PiS.

W karierze młodego polityka przełomowy był rok 2020. Wtedy to Michał Moskal wszedł do ścisłego centrum partii. Objął funkcję dyrektora Biura Prezydialnego PiS. Gdy Jarosław Kaczyński został wicepremierem do spraw bezpieczeństwa, kierował jego gabinetem politycznym. Po odejściu prezesa PiS z rządu pozostał w KPRM, a następnie został szefem gabinetu politycznego wicepremiera Mariusza Błaszczaka. Gdy Kaczyński w 2023 r. ponownie wszedł do rządu, Moskal znów stanął na czele jego gabinetu.

OD „PIĄTKI DLA ZWIERZĄT"...

Wtedy to Moskalem zaczęły interesować się media. „Gazeta Wyborcza" wskazywała, że 26-letni wówczas polityk cieszy się „stałym dostępem" do ucha Kaczyńskiego. Był to przywilej, którego mogli mu zazdrościć znacznie bardziej zaawansowani wiekiem i stażem działacze. Stał się na tyle zaufanym człowiekiem prezesa PiS, że w 2020 r. został wskazany jako promotor jednego z najbardziej ryzykownych projektów partii – tzw. piątki dla zwierząt. Według medialnych ustaleń to Moskal miał być inicjatorem powrotu do pomysłu nowelizacji ustawy o ochronie zwierząt, co zgadzało się z zapatrywaniami Jarosława Kaczyńskiego. Szef Prawa i Sprawiedliwości niejednokrotnie deklarował swoją troskę o dobrostan czworonogów. Młody polityk tłumaczył, że ochrona zwierząt może pozwolić PiS wyjść naprzeciw oczekiwaniom młodszych wyborców, do czego udało mu się przekonać szefa. Ostatecznie „piątka dla zwierząt" wywołała oburzenie na wsi i podziały w partii. Projekt upadł.

Z relacji wynika, że Michał Moskal jest skory podejmować polityczne ryzyko. Jak twierdzą informatorzy TVN24 z PiS, „lubi projekty niestandardowe, efektowne

eprasa.pl dd77bf8fed

i obarczone ryzykiem". Niekiedy pozwala mu to być kilka kroków przed partyjną konkurencją. Zdarza się jednak, że przynosi młodemu politykowi kłopoty.

Najjaskrawszym przykładem mogą być zaręczyny Moskala w kopalni Bogdanka. 30 grudnia 2022 r. Moskal wraz ze swoją ukochaną Marią zjechali 960 metrów pod ziemię. Towarzyszyli im m.in. ówczesny wiceprezes kopalni Kasjan Wyligała i członek rady nadzorczej Enei Mariusz Romańczuk. Tam Moskal poprosił partnerkę o rękę. Szybko okazało się, że romantyczny gest jest dużym problemem politycznym. Portal OKO.press, powołując się na medialne relacje pracowników kopalni, pisał, że na czas wizyty miało zostać wstrzymane wydobycie. Jeden z górników mówił, że zwykłemu pracownikowi, nawet z wieloletnim stażem, nie pozwolono by na podobny „kaprys". Pojawiły się też zarzuty dotyczące kosztów postoju oraz bezpieczeństwa. Władze Bogdanki zapewniały, że dochowano procedur, i wskazywały, że pod ziemię zjeżdżają również dziennikarze, sportowcy, naukowcy czy dyplomaci. Sam Moskal stwierdził, że nie będzie komentować „prywatnych spraw". Sęk w tym, że zaręczyny odbyły się w kopalni kontrolowanej przez państwową Eneę. „To było misiewiczowe" – powiedział „Newsweekowi" rozmówca z PiS. Inny ważny polityk formacji przypomina tamtą historię przy okazji obecnych problemów Moskala. „Rozsądne jest zjeżdżanie na dół kopalni, żeby się oświadczyć dziewczynie?" – pyta.

... DO KRYPTOAKTYWÓW

Podobne historie nie zatrzymały jego kariery. W wyborach parlamentarnych w 2023 r. wystartował z drugiego miejsca listy PiS w okręgu lubelskim i zdobył 21 958 głosów. W październiku 2024 r. znalazł się w Komitecie Wykonawczym partii, a dwa miesiące później został wiceprezesem zarządu okręgowego PiS w Lublinie. Wśród jego 260 poselskich interpelacji, którym nadano bieg, dominują tematy transportu, w tym kolei, działania spółek Skarbu Państwa oraz bezpieczeństwa. Rozwijającą się karierę Moskala w partii może zastopować afera Zondacrypto. Według ustaleń Wirtualnej Polski i TVN24 w sierpniu 2025 r. poseł spotkał się na Ibizie z Przemysławem Kralem, prezesem Zondacrypto. Kontaktem miał być

Zdarza się, że polityczne ryzyko przysparza Moskalowi kłopotów. Tak jak zaręczyny w kopalni Bogdanka

były agent CBA, Artur Chodziński. Moskal jest szefem rady programowej fundacji Obserwatorium Rozwoju Gospodarki i Demokracji. Według „Newsweeka" rozmowa z Kralem miała dotyczyć ewentualnego finansowania tej organizacji i organizowanej przez nią konferencji. Poseł nie zaprzecza, że spotkanie się odbyło. Tłumaczy jednak, że była to sytuacja jednorazowa, motywowana tym, że chciał uczynić kryptowaluty jednym z obszarów swojej działalności politycznej. – Mocno myślałem nad tym od dłuższego czasu, aby przyjąć tematykę kryptowalut jako niszę, w której będę się poruszał w polityce. Stąd chęć, by spotkać się z człowiekiem, który jest praktykiem i się na tym zna – mówił w Kanale Zero. Odnosząc się do publikacji, przekazał, że „z Kralem rozmawiał raz – tak samo jak z dziesiątkami innych przedsiębiorców". Poseł PiS oświadczył też, że spotkanie to trwało ok. godziny. „Ani ja, ani żaden z moich współpracowników, ani żadna z organizacji społecznych, w których działam, nigdy nie podjęli z nim ani z podmiotami z nim związanymi żadnej współpracy. Nie przyjęliśmy od nich ani złotówki" – zapewnił. Według Michała Moskala wewnętrzne procedury fundacji wykazały „poważne wątpliwości wobec Zondy", dlatego dalsze rozmowy zostały zerwane. Poseł grozi też sądem osobom, które będą sugerowały, że on lub związane z nim organizacje przyjęły od Krala pieniądze. „Zrobiliśmy to wtedy, gdy państwo pod rządami Tuska spało, a tysiące Polaków ponosiły straty" – przekonuje Moskal.

Co na to prezes PiS? Pytany o kontakty Moskala z Kralem odparł, że poseł tłumaczył mu, iż „chciał załatwić jakieś pieniądze dla swojej fundacji niezwiązanej w ogóle z działalnością partii". Na stwierdzenie jednego z dziennikarzy, że w jednym z wywiadów Moskal mówił, iż chciał się nauczyć czegoś o kryptoaktywach, Kaczyński odpowiedział: „Jest tak, że ja tych innych jego wypowiedzi nie znam. Mówię uczciwie, co mówił mnie". Szef PiS dopytywany, czy wierzy w jego tłumaczenia, odparł, że „nie widzi powodu, żeby miał mu nie dowierzać". „Ja tylko chciałem sprostować, że on był rzeczywiście moim bliskim współpracownikiem w tym sensie, że był szefem mojego gabinetu, ale od pewnego momentu, pewnej decyzji, którą podjąłem w jego sprawie, to już stosunki się troszkę rozluźniły" – dodał Jarosław Kaczyński.

ŚWIATŁO OSTRZEGAWCZE

Kontrowersje wzbudziła również sama podróż. Moskal twierdzi, że pozwolił Chodzińskiemu zapłacić za wyjazd, a następnie rozliczył się z nim gotówką. Jak wskazuje „Newsweek", nie ma potwierdzenia takiego rozliczenia poza słowem byłego funkcjonariusza CBA.

W PiS nie podoba się działalność Michała Moskala. „Nie zaświeciło mu się światełko ostrzegawcze, że spotkanie na imprezowej wyspie z Kralem, o którym już było wiadomo, że to szemrany biznesmen, to nie jest dobry pomysł?" – pyta jeden z kolegów z ław sejmowych. Oliwy do ognia dolewa fakt, że po spotkaniu na Ibizie poseł Moskal zaangażował się w prace nad ustawą dotyczącą rynku kryptoaktywów. Zgłaszał do niej poprawki wraz z Januszem Kowalskim, który miał być ich autorem. Moskal przekonuje jednak, że proponowane rozwiązania w rzeczywistości były sprzeczne z interesami Zondacrypto. Gdy media zaczęły zadawać pytania o Ibizę, poseł miał od razu uprzedzić Jarosława Kaczyńskiego o nadchodzącej publikacji. „Newsweek" opisywał, że przy Nowogrodzkiej miało się „zagotować". Aby złagodzić skutki, Moskal udzielał kolejnych wywiadów, tłumaczył okoliczności wyjazdu i przekonywał, że niczego od Zondacrypto nie otrzymał.

Zapewne nieintencjonalnie 32-latkowi pomógł były premier, szef Rozwoju Plus. Mateusz Morawiecki opublikował zdjęcie Moskala z Kaczyńskim, sugerując, że młody poseł jest problemem prezesa. To, według nieoficjalnych doniesień, zadziałało na korzyść polityka z Janowa Lubelskiego. „Rząd go atakuje, a Mateusz Morawiecki wrzucił na X zdjęcie Moskala z prezesem i napisał, że Michał jest problemem prezesa. Jak Morawiecki bije w kogoś od nas, to nie można mu przyznać racji" – ocenia rozmówca „Newsweeka".

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl dd77bf8fed

Cenzorskie przepisy



FOT. ADOBE STOCK/ ZDJĘCIE WYGENEROWANE PRZEZ AI



Łukasz Warzecha

Instytucję naukową, którą jest NASK, zaprzęgnięto do realizacji ideologicznych zadań pod dyktando lewicowego rządu i lewicowego ministra

Dezinformacja: istnieją tylko dwie płcie". To nie stwierdzenie wzięte ze strony jakiejś finansowanej z zagranicy organizacji LGBT czy z felietonu Tomasza Terlikowskiego w „Gazecie Wyborczej". To magazyn (internetowy biuletyn) NASK z 3 kwietnia 2025 r.

Czym jest NASK? Skrót pochodzi od nazwy Naukowa i Akademicka Sieć Komputerowa. Ale to dawne czasy – sieć powstała na początku lat 90. Dzisiaj NASK jest kluczową państwową instytucją informatyczną – państwowym instytutem badawczym. To NASK obsługuje polski system domen internetowych pod literami „PL". Odpowiada też za kwestie cyberbezpieczeństwa w sferze cywilnej. Od roku 2022 NASK zaczął się również zajmować tropieniem dezinformacji, wchodząc tym samym w najbardziej kontrowersyjną sferę zagadnień, gdzie jako „dezinformację" władza oznacza często poglądy sprzeczne z jej linią. Widzieliśmy, jak to działa od początku wojny na Ukrainie.

Dyrektor NASK jest stanowiskiem w teorii naukowym, a w praktyce całkowicie politycznym, powołuje go bowiem minister właściwy do spraw cyfryzacji. Obecny szef instytutu, Radosław Nielek, sprawuje tę funkcję od końca grudnia 2023 r., gdy został na to stanowisko mianowany przez Krzysztofa Gawkowskiego z Nowej Lewicy.

Jak widać, instytucja w teorii zajmująca się techniczną stroną technologii gładko weszła w dyskurs stricte ideologiczny, zgodnie z linią i życzeniami swojego ministerialnego zwierzchnika. Wydanie magazynu NASK, z którego pochodzi przytoczony na wstępie cytat, poświęcone jest „dezinformacji dotyczącej osób LGBTQ+". Przeczytamy w nim także, iż „współczesne badania naukowe uznają, że jest to [liczba płci] dużo bardziej złożona kwestia". Magazyn NASK wyjaśnia nam również: „Teza, że istnieją tylko dwie płcie, mogła powstać na podstawie tradycyjnych przekonań biologicznych, które opierały się na binarnym podziale płci wynikającym z obecności chromosomów XX (kobieta) i XY (mężczyzna). Ponadto w wielu społeczeństwach kulturowe i społeczne normy utrzymywały wyraźny podział ról płciowych, co prowadziło do przyjęcia prostego podziału na dwie płcie". I dalej: „Konsensus naukowy rozróżnia płeć biologiczną (ang. sex) i płeć społeczno-kulturową (ang. gender)".

WBREW KONSTYTUCJI

To, że instytucję naukową zaprzęgnięto do realizacji ideologicznych zadań pod dyktando lewicowego rządu i lewicowego ministra, jest samo w sobie skandaliczne i powinno być przyczynkiem do przemyślenia roli NASK i sposobu powoływania jego szefa. Gorzej jednak, że zwalczanie „dezinformacji" jest oficjalną funkcją instytutu, a to, co NASK oznaczy jako „dezinformację" (co do zasady ten termin oznacza intencjonalne podawanie nieprawdziwych informacji, sprzecznych z faktami), może mieć znaczenie dla działań państwa w innych obszarach. Również w obszarze cenzury, która teoretycznie jest w Polsce na mocy konstytucji zabroniona, jednak faktycznie pod różnymi postaciami istnieje.

Teraz zaś rząd zaprojektował przepisy, które mogą ją rozciągnąć na nowe obszary i dać władzy potężne narzędzia do uciszania niewygodnych osób i podmiotów. Mowa o projekcie ustawy o środkach ograniczających, który trafił do Sejmu na początku sierpnia i w tej chwili jest po pierwszym czytaniu, które odbyło się 3 września (druk nr 3003). Jak to często bywa, pod enigmatyczną nazwą kryją się bardzo groźne rozwiązania.

Na stronie Sejmu znajdziemy informację, że projekt ma na celu wykonanie prawa Unii Europejskiej. Chodzi o dyrektywę nr 2024/1226 z 24 kwietnia 2024 r. w sprawie określenia przestępstw związanych z naruszeniem unijnych środków ograniczających i sankcji za takie naruszenia. Owe środki ograniczające to po prostu sankcje różnego rodzaju, nakładane na kraje takie, jak np. Rosja czy Białoruś (generalnie kraje nienależące do UE lub Europejskiego Obszaru Gospodarczego). Mówi o nich traktat o funkcjonowaniu UE w art. 215: „Jeżeli decyzja, przyjęta zgodnie z tytułem V rozdział 2 Traktatu o Unii Europejskiej, przewiduje zerwanie lub ograniczenie w całości lub w części stosunków gospodarczych i finansowych z jednym lub z większą liczbą państw trzecich, Rada przyjmuje niezbędne środki, stanowiąc większością kwalifikowaną na wspólny wniosek wysokiego przedstawiciela Unii do spraw zagranicznych i polityki bezpieczeństwa oraz Komisji".

eprasa.pl dd77bf8fed

Mówiąc najprościej – rząd proponuje przepisy, które mają w pełni wprowadzić i uporządkować stosowanie unijnych sankcji przez polskie państwo. Nie znaczy to, że Polska dotychczas sankcji nie stosowała – stosowała jak najbardziej, i to nierzadko na wątpliwych podstawach. Na tych właśnie przepisach opierała się lista sankcyjna, na którą w czasie rządów PiS Mariusz Kamiński i Maciej Wąsik, kierujący MSWiA, wciągali niektóre firmy w oparciu o bardzo wątłe podstawy. A takie wpisanie na listę oznaczało niemal natychmiastowy paraliż i bankructwo. Nie inaczej będzie po ewentualnym wejściu w życie nowej ustawy.

Problem w tym, że teraz, korzystając z unijnego pretekstu, rząd chce także wprowadzić możliwość stosowania uznaniowej cenzury. Dyrektywa w art. 3 jako naruszenie sankcji wymienia umyślne czyny, polegające jednak wyłącznie na różnego rodzaju transakcjach finansowych. Tymczasem w polskim projekcie ustawy czytamy, że krajowe środki ograniczające mogą być stosowane wobec osób fizycznych lub podmiotów „bezpośrednio lub pośrednio wspierających obcą ingerencję i manipulację w środowisku informacyjnym wymierzoną w bezpieczeństwo narodowe, nienaruszalność granic, interesy i pozycję międzynarodową Rzeczypospolitej Polskiej".

W toku konsultacji kilka podmiotów zwróciło uwagę na niebezpieczeństwo wynikające z takiego zapisu. NSZZ „Solidarność" uznał, że „zapis ten wydaje się zbyt generalny, ponieważ […] wprowadza bardzo szerokie kryteria tego, co potencjalnie skutkować może poważnymi konsekwencjami, w tym zastosowaniem środków ograniczających".

Podobnie krytyczny był Związek Banków Polskich: „Sformułowanie »obca ingerencja i manipulacja« jest nieostre i może budzić wątpliwości. Jest to pojęcie bardzo rozległe. Szerokie i nieostre przesłanki mogą prowadzić do arbitralnych decyzji i dawać pole do nadużyć". Uwagi obu podmiotów nie zostały uwzględnione.

W odpowiedzi na krytykę dotyczącą tego samego przepisu, sformułowaną przez Komisję Wspólną Rządu i Samorządu Terytorialnego w Częstochowie, projektodawca tłumaczy: „[…] dezinformacja rozumiana jest tutaj jako weryfikowalnie nieprawdziwe lub wprowadzające w błąd (zmanipulowane) informacje, tworzone, przedstawiane i rozpowszechniane w celu uzyskania korzyści gospodarczych lub wprowadzenia w błąd opinii publicznej, które mogą wyrządzić szkodę publiczną. Przez obcą ingerencję i manipulację w środowisku informacyjnym rozumie się natomiast przeważnie niezgodny z prawem wzorzec zachowania, który zagraża lub może potencjalnie negatywnie wpłynąć na wartości, procedury i procesy polityczne. Takie działania mają charakter manipulacyjny, są prowadzone w sposób celowy i skoordynowany".

Problem w tym, że to wyjaśnienie ma się nijak do podanego na początku przykładu z magazynu NASK, który przecież w imieniu polskiego państwa niejako definiuje, co jest dezinformacją. NASK w tej sprawie działa zresztą szeroko, w innych miejscach pisząc również o „dezinformacji klimatycznej". Nietrudno zatem wyobrazić sobie sytuację, w której minister spraw wewnętrznych i administracji wciągnie na listę podmiot – np. redakcję – pod pretekstem publikowania artykułów, podających w wątpliwość unijną politykę klimatyczną w związku z zakwestionowaniem hipotezy o przemożnym wpływie człowieka na zmiany klimatu. Przecież wielokrotnie słyszeliśmy już ze strony fanatycznych klimatystów, że kto nie zgadza się z Zielonym Ładem, ten działa na korzyść lobby paliw kopalnych, a więc na korzyść Moskwy.

Wpisanie zaś na listę sankcyjną to decyzja administracyjna jednego organu, więc skutkująca natychmiastowym wykonaniem, co oznacza także zamrożenie finansów firmy. Zanim ewentualnie poskutkuje odwołanie do sądu administracyjnego, podmiot może już dawno przestać działać.

PRZEMYCENIE GROŹNYCH NARZĘDZI

W przepisie, który rząd podrzucił do ustawy, niejasne jest nie tylko pojęcie ingerencji i manipulacji, lecz także pojęcie pośredniego ich wspierania. Czym ono ma być? Czy np. zacytowanie cudzej opinii w tonie aprobatywnym będzie się kwalifikować? Właśnie – opinii – tak się bowiem składa, że władza bardzo lubi kwalifikować opinie jako dezinformację. Zajrzyjmy znów do magazynu NASK. Jako przykład dezinformacji podano tam również twierdzenie, że „relacje homoseksualne są sprzeczne z naturą". Argumentem przeciwko niemu ma być, iż „przykłady homoseksualnego zachowania są znane wśród ponad 1,5 tys. gatunków zwierząt". Prosta logiczna analiza prowadzi do oczywistego wniosku, że drugie nie jest sprzeczne z pierwszym – coś może występować na zasadzie wyjątku, ale być aberracją. Dlatego właśnie pozostaje wyjątkiem.

Dalej w magazynie NASK czytamy, że „twierdzenie, że homoseksualizm jest »sprzeczny z naturą«, może wynikać z braku wiedzy naukowej lub przekonań kulturowych i religijnych, które postrzegają homoseksualizm jako coś niewłaściwego". Zatem sam NASK przyznaje, że kwestionowana opinia na temat homoseksualizmu jest właśnie tym – opinią i elementem dyskusji światopoglądowej – a nie sporem o fakty. Trudno tu zatem mówić o dezinformacji. Za taką można by uznać np. stwierdzenie, że homoseksualizm nie występuje wśród różnych zwierząt – to w istocie byłoby sprzeczne z faktami – nie o tym jest tu jednak mowa.

Również niejasne są pojęcia interesów narodowych czy pozycji Polski zawarte w przepisie. Czy kwestionowanie członkostwa Polski w UE będzie się kwalifikować jako manipulacja w środowisku informacyjnym? Czy będzie nią stwierdzenie, że Polsce pozostawanie w Unii się nie opłaca? Łatwo sobie wyobrazić, że i za to Marcin Kierwiński lub inny szef MSWiA z rozdania obecnej koalicji rządzącej wpisze podmiot na listę sankcyjną.

W projektach tego typu ustaw nie ma przypadków. Są natomiast wrzutki, których celem jest przemycenie groźnych narzędzi, którymi chcą dysponować rządzący. To jedna z takich prób. Nietrudno sobie wyobrazić, że w toku prac sejmowych, jeśli opozycja zacznie cenzorskie przepisy kwestionować, to zostanie oskarżona o to, że chce umożliwić Władimirowi Putinowi prowadzenie wojny informacyjnej. Tyle że skoro mówimy o implementacji unijnej dyrektywy, to nie wymaga ona takich rozwiązań.

Opozycja powinna w tej sprawie wykazać ogromną czujność. Na końcu drogi jest zaś prezydent Karol Nawrocki. Pozostaje mieć nadzieję, że jeśli trafi do niego ustawa wciąż zawierająca przepis o sankcjach za „interwencję i manipulację" w środowisku informacyjnym, to reakcją będzie weto.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl dd77bf8fed



FOT. ADOBE STOCK

eprasa.pl dd77bf8fed

Tego lekarz ci nie powie



Jakub Wozinski

Skala ujawnionych w ostatnim czasie nadużyć związanych z wynagrodzeniami lekarzy jest porażająca, choć stanowi wciąż zaledwie wierzchołek góry lodowej. Czy Polacy wreszcie zmądrzeją i przestaną marnować setki miliardów na publiczną opiekę zdrowotną?

Standardowa obiekcja przeciwników prywatyzacji i komercjalizacji w służbie zdrowia brzmi zawsze tak samo: na ludzkim nieszczęściu nie można zarabiać. Bohaterowie doniesień medialnych z ostatnich miesięcy udowadniają jednak, że jak najbardziej można. Na dodatek publiczny system opieki medycznej, który w swoim oficjalnym nazewnictwie tak ściśle przestrzega rozróżnienia między medycyną komercyjną oraz niekomercyjnymi świadczeniami „na fundusz", właśnie drugi z tych obszarów przekształcił w prawdziwy róg finansowej obfitości, oferujący bajeczne wręcz poziomy wynagrodzeń.

Publiczny system opieki zdrowotnej z monopolistycznym Narodowym Funduszem Zdrowia istnieje rzekomo po to, aby zapewnić dostęp do usług medycznych najbiedniejszym. Afera Szpitala Południowego po raz pierwszy na tak dużą skalę pozwoliła Polakom zobaczyć, że faktycznym beneficjentem całej struktury są przede wszystkim lekarze. To, co funkcjonowało dotąd w umysłach ogółu społeczeństwa na poziomie domysłów, plotek i prywatnych obserwacji, zyskało wreszcie odzwierciedlenie w niekończącej się litanii nadużyć, o których zaczęły mówić wiodące media. Przed opinią publiczną zdemaskowana została tym samym nieznająca żadnego umiaru kasta, której latami udawało się uniknąć konfrontacji z niewygodnymi faktami.

KACPRZYK ROZBIJA BANK

Osobą, która już chyba na zawsze pozostanie prawdziwym symbolem nadużyć w systemie opieki zdrowotnej, jest bez wątpienia Dawid Kacprzyk. Młody działacz Koalicji Obywatelskiej rozbił bank, nie schodząc z pierwszych stron internetowych portali oraz z profili użytkowników portali społecznościowych przez wiele tygodni. Pomimo to nawet w chwili, gdy powstaje ten tekst, nie został jeszcze ani razu przesłuchany przez organy ścigania.

Niespełna 29-letni warszawski radny z partii Donalda Tuska miał według doniesień Kanału Zero przepracować w słynnym warszawskim szpitalu 3976 godzin, co dawało średnią 331 godzin miesięcznie (czyli ponad 11 godzin dziennie, łącznie z weekendami i świętami). Tak krańcowo posunięte zaangażowanie na rzecz niesienia pomocy chorym Kacprzyk łączył jednocześnie z działalnością partyjną i polityczną. W połowie czerwca o sprawie niezwykle przedsiębiorczego medyka pisała nawet „Gazeta Wyborcza", ujawniając, że za pełnienie funkcji koordynatora Szpitalnego Oddziału Ratunkowego otrzymał roczne wynagrodzenie w wysokości 1,6 mln zł. W reakcji na te doniesienia działacz KO postanowił zwrócić część wspomnianej kwoty (0,5 mln zł), choć zdaniem prokuratury należność nie została ostatecznie uregulowana.

Opinię publiczną zbulwersował w szczególności fakt, że zarządzając SOR w Szpitalu Południowym, Kacprzyk miał prowadzić specjalną przychodnię VIP dla partyjnych działaczy, oferującą przyspieszony i rozbudowany tryb działania placówki dla wtajemniczonych. Zmowę milczenia w całej sprawie postanowił przerwać ordynator oddziału chirurgii Emil Jędrzejewski, na którego NFZ złożył doniesienie do prokuratury. Kacprzyka jak dotąd nie przesłuchano, a ostatnie medialne doniesienia wskazują na to, że po odejściu ze Szpitala Południowego z powodzeniem znalazł zatrudnienie w kolejnych placówkach realizujących kontrakt z publicznym ubezpieczycielem. Rażące nieprawidłowości związane ze zdumiewającą karierą Dawida Kacprzyka wciąż jednak czekają na pełne wyjaśnienie. Przyłapany niedawno przez dziennik „Fakt" na przekroczeniu prędkości swoim wartym co najmniej 0,5 mln zł czarnym Porsche lekarz prowadził bowiem działalność wykraczającą poza sam tylko Szpital Południowy. Według doniesień wspomnianych już mediów Dawid Kacprzyk miał także mieć podpisane umowy w Mazowieckim Szpitalu Bródnowskim czy też Wojewódzkim Szpitalu Specjalistycznym im. Najświętszej Maryi Panny w Częstochowie.

Przypadek Kacprzyka jest bulwersujący także z powodu odsłonięcia całego mechanizmu, który – zdaniem jego krytyków – miał służyć wyłudzaniu przez część środowiska medycznego pieniędzy z publicznego systemu opieki zdrowotnej. Młody kolega Rafała Trzaskowskiego nie przecierał wcale szlaków, lecz – jak wynika z przedstawianych zarzutów – korzystał obficie z wypróbowanych ścieżek wzbogacania się. Dziesiątki, jeśli nie setki osób musiały stale przymykać oko na jego zawrotną karierę, ponieważ same oczekiwały tego w odniesieniu do swoich własnych poczynań.

REJESTR MILIONERÓW

Gwoli sprawiedliwości afera z Dawidem Kacprzykiem i Szpitalem Południowym wybuchła w momencie, gdy temat

eprasa.pl dd77bf8fed

szokująco wysokich zarobków w służbie zdrowia zdążył się już przekształcić w szeroko komentowany fakt medialny. Już w maju cała Polska żyła doniesieniami na temat lekarzy milionerów, którzy stali się tak wielkim obciążeniem dla całej służby zdrowia, że zaczęli się na nich uskarżać nawet poszczególni przedstawiciele obecnej władzy. Jeśli ktokolwiek wcześniej nie dowierzał, że dane te mogą być prawdziwe, począwszy od przełomu maja i czerwca, z pewnością przestał mieć jakiekolwiek złudzenia. Od tego momentu nie ma właściwie tygodnia, aby media nie informowały o kolejnych szokujących faktach, ukazujących – jak wynika z opisywanych przez nie przypadków – bezwstydne wyłudzanie pieniędzy z systemu publicznej opieki zdrowotnej. Już pod koniec maja serwis Medonet opisywał przypadek Samodzielnego Szpitala Wojewódzkiego w Piotrkowie Trybunalskim, w którym rekordzista otrzymywał miesięcznie 129,6 tys. zł.

Tuż po wybuchu afery z Dawidem Kacprzykiem i salonikiem VIP dla polityków rządzącej koalicji w roli głównej portal WP.pl przedstawił szeroko przypadek 32-letniego ortopedy Michała Burczego, który zarządzał jednocześnie szpitalami w Grójcu i Nowym Mieście nad Pilicą. Z jego oświadczenia majątkowego miałoby wynikać, że w ubiegłym roku z działalności lekarskiej osiągnąć miał ponad 2,4 mln zł dochodu. Pytany przez dziennikarzy o to, czy pobieranie tak wysokich uposażeń w sytuacji, gdy publiczna służba zdrowia jest na krawędzi finansowego upadku, bronił się, wskazując na znaczną liczbę przepracowanych godzin i udzielonych porad.

Na początku lipca ten sam portal podawał informacje o neurochirurgach z Mogilna i Miastka, oferujących swoje usługi jako osobna spółka. Według ustaleń dziennikarzy lekarze rozliczali część krótkich i prostych zabiegów jako skomplikowane, dzięki czemu uzyskiwali znacznie wyższe wynagrodzenie. W jednym z przypadków za jeden dzień pracy rekordzista otrzymał aż 300 tys. zł (26 tys. zł za godzinę). Tak lukratywne warunki udawało się uzyskać, przekazując wspomnianej spółce aż 65 proc. kwoty refundowanej przez NFZ. Jakby tego było mało, w miasteckim szpitalu refundacji miały podlegać nawet zabiegi podejmowane pomimo oficjalnego zamknięcia oddziału chirurgicznego w wybrane dni. Choć sprawą z Mogilna i Miastka zajmuje się już prokuratura, to nadal wzbudza ona wiele wątpliwości. Czy możliwe jest, aby Narodowy Fundusz Zdrowia nie potrafił w porę skontrolować tak podstawowych kwestii? Dotyczy to w szczególności miasteckiego szpitala, który od lat boryka się z trudnościami finansowymi.

Dane Agencji Oceny Technologii Medycznych i Taryfikacji pokazują, że nawet co 10. lekarz w kraju otrzymuje wynagrodzenie przewyższające 100 tys. zł miesięcznie

LEKARSKA DOBA

Swoje własne Eldorado stworzyli w ostatnich latach lekarze w wielu innych ośrodkach. Po publikacji „Rzeczpospolitej" i Interii prokuratura przyjrzała się bliżej jednemu z medyków z Powiatowego Centrum Medycznego w Braniewie, który w 2024 r. wystawił łącznie faktury na ponad 1,7 mln zł, pracując niekiedy oficjalnie ponad 1000 godzin miesięcznie.

Umiejętność odbywania wielodniowych dyżurów oraz pracy w wymiarze dłuższym, niż umożliwiają to standardowo trwające doba czy miesiąc, odkryli lekarze z niezliczonych innych ośrodków. W Tomaszowie Lubelskim pewien lekarz łączył posadę dyrektora szpitala z 24-godzinnymi dyżurami lekarskimi. Dzięki temu jego zarobki wzrosły w 2025 r. do ponad 860 tys. zł brutto. Z kolei w Ciechanowie lekarz zatrudniony przez Specjalistyczny Szpital Wojewódzki wyrabiał nawet 329 godzin w miesiącu. Po medialnych doniesieniach na ten temat pracodawca wziął go jednak w obronę.

Przy poszczególnych szpitalach powiatowych czy wojewódzkich powinny w zasadzie powstawać regularne kluby dla milionerów. Skoro bowiem w samym tylko Szpitalu Wojewódzkim w Koszalinie w ubiegłym roku aż 17 lekarzy osiągnęło zarobki wyższe niż 1 mln zł, to podobna sytuacja ma miejsce praktycznie w każdym większym mieście powiatowym czy wojewódzkim. Dane AOTMiT pokazują przecież wyraźnie, że nawet co 10. medyk w kraju otrzymuje wynagrodzenie przewyższające 100 tys. zł miesięcznie. Potwierdzeniem tych danych są pojawiające się niemal co kilka dni kolejne doniesienia o regularnym podpisywaniu przez szpitale umów z lekarzami opiewającymi na co najmniej 1 mln zł rocznie. Według ostatnich doniesień „GW" i lokalnych portali dotyczy to choćby jednostek ze Szczecina, z Bełchatowa, Chojnic czy Chrzanowa. W świetle tego zasadne staje się pytanie o to, czy Kacprzyk ze swoim 1,6 mln zł rocznego dochodu stanowił wyjątek czy też raczej regułę.

STARE I NOWE BŁĘDY

Przedstawiciele obozu, który pożegnał się z władzą pod koniec 2023 r., starają się przedstawić aferę lekarskich wynagrodzeń jako aberrację właściwą dla rządów Donalda Tuska i jego koalicji. Tezę tą dałoby się może wybronić w przypadku Dawida Kacprzyka, lecz przecież to nie on i nie jego bezpośrednie otoczenie wymyślili polską służbę zdrowia ze wszystkimi właściwymi jej patologiami. W rzeczywistości Zjednoczona Prawica całymi latami również walnie przyczyniała się do tego, że publiczna opieka medyczna coraz bardziej „odklejała się" od podstawowych wymogów gospodarności i zdrowej polityki finansowej.

Do najważniejszych błędów epoki rządów Mateusza Morawieckiego zaliczyć można chociażby wprowadzoną w 2022 r. coroczną, automatyczną waloryzację płac w służbie zdrowia, uległość względem pielęgniarskich związków zawodowych czy też roztrwonienie blisko 9 mld zł na specjalne dodatki do wynagrodzeń, wypłacane w okresie walki z tajemniczym wirusem w latach 2020–2022. Finansowa bonanza, którą zafundował służbie zdrowia ówczesny premier z ramienia PiS, na trwałe zmieniła oczekiwania płacowe, które od tego momentu całkowicie wyrwały się spod kontroli. Mateusz Morawiecki przyzwyczaił lekarzy do tego, że w zakresie pobieranych wynagrodzeń zawieszone zostaje pojęcie przyzwoitości.

Ogromnym i strategicznym błędem rządów obozu Jarosława Kaczyńskiego było także przyzwyczajenie całego pu-

eprasa.pl dd77bf8fed

blicznego systemu opieki zdrowotnej do tego, że budżet centralny zawsze uratuje NFZ i poszczególne szpitale. „Dobra zmiana" lubiła przekonywać, że w przeciwieństwie do swoich przeciwników jest w stanie wysupłać na wszystko: począwszy od „rewolucji godnościowej" z „500+" na czele, a skończywszy na pokryciu szpitalnych długów. Zamiast skupić się na opracowaniu mechanizmów sprzyjających gospodarności, wprowadzaniu elementów komercjalizacji lub prywatyzacji, PiS podpisywał się obiema rękami pod populistycznym sloganem „na służbie zdrowia nie można zarabiać".

Późniejsze przejęcie władzy przez „uśmiechniętą koalicję" stworzyło idealne warunki do wystąpienia obecnego kryzysu, ponieważ zastany przez ekipę Tuska model zalewania służby zdrowia nieograniczonym strumieniem pieniędzy został połączony z właściwą dla KO i jej koalicjantów skłonnością do żerowania na publicznych środkach. Już od pierwszych dni swoich rządów Donald Tusk dał wyraźny sygnał, że traktuje prawo z przymrużeniem oka, co tylko zachęciło partyjne doły do działania.

WYALIENOWANE ŚRODOWISKO

Uderzającą cechą afery z lekarskimi wynagrodzeniami jest to, że – jak wynika z opisywanych przypadków – dotyczy ona w zasadzie całej Polski. Wyłudzenia i oszustwa miały mieć miejsce nie w jednym skorumpowanym powiecie czy nawet województwie, lecz praktycznie w całej Polsce. Choć nie brak w Polsce tysięcy uczciwych i przyzwoitych lekarzy, to mówi to bardzo wiele o całym środowisku, które za sprawą nadmiernych wynagrodzeń wyalienowało się względem reszty społeczeństwa. Jak bowiem mogliśmy się w ostatnich miesiącach nieraz przekonać, nawet przyłapani na gorącym uczynku medycy skłonni są do hołdowania zasadzie: złapią cię za rękę, mów, że to nie twoja. Buta środowisk lekarskich jest obecnie na historycznie najwyższym poziomie, ponieważ jeszcze nigdy dotąd rozdźwięk między ich poborami a wynagrodzeniem zwykłego Kowalskiego nie był tak ogromny.

Jeśli Polacy chcą mieć medycynę na wysokim poziomie, to muszą oczywiście być gotowi do tego, aby płacić personelowi medycznemu odpowiednio wysokie wynagrodzenia. Sedno problemu polega jednak na tym, że Polacy od lat płacą coraz wyższe składki i dokładają się do państwowej służby zdrowia z podatków w rekordowym zakresie, a mimo to utrzymują Dawida Kacprzyka i lekarzy, którym zarzuca się inkasowanie nawet 300 tys. zł za fikcyjne zabiegi na nieczynnym oddziale chirurgicznym.

W samym tylko 2026 r. polskie państwo przeznaczy na służbę zdrowia ok. 250 mld zł, co będzie stanowiło wzrost o 25 mld zł w porównaniu z poprzednim rokiem. Oznacza to, że polscy podatnicy przeznaczą na ten cel dwukrotność sumy, którą wydali zaledwie w 2021 r., oraz pięciokrotnie więcej, niż wydawali jeszcze 20 lat temu. W polskim budżecie nie ma żadnej innej pozycji wydatkowej, która rosłaby w tak szybkim tempie.

Istnieją wprawdzie zarzuty, że środki wydawane na armię są również w znacznej części marnotrawione, lecz dziesiątki miliardów zapisane w budżecie MON przekładają się przynajmniej na setki nowych czołgów, samolotów czy wozów bojowych. W przypadku wydatków na służbę zdrowia pomimo pewnych zauważalnych postępów znaczący wzrost wydatków pozostaje bez adekwatnych efektów. Nawet jeśli tu i ówdzie powstanie nowy szpital lub zostanie zakupiony nowy sprzęt, to Polacy od lat frustrują się z powodu niekończących się kolejek, lekarskiej buty, podporządkowania interesom Big Pharmy, wszechobecnych układów i kolesiostwa czy też dziwacznych procedur wynikających z systemu rozliczeń z NFZ.

Polscy podatnicy w 2026 r. przeznaczą na służbę zdrowia dwukrotność sumy, którą wydawali w 2021 r., oraz pięciokrotnie więcej niż jeszcze 20 lat temu

KTO TRACI NA PUBLICZNEJ SŁUŻBIE ZDROWIA?

Środowisko lekarskie i pielęgniarskie żyje we własnej bańce, będąc święcie przekonanym o tym, że każdego dnia daje z siebie absolutnie wszystko, aby tylko pomagać ludziom, jak tylko może, pomimo wadliwości całego systemu. Na swoje wysokie wynagrodzenia patrzy natomiast jako na uczciwą nagrodę za posiadaną specjalistyczną wiedzę, długi okres nauki i odpowiedzialność wykonywanego zawodu. Im bardziej zaś obecny system staje się niewydolny i deficytowy, tym bardziej lekarze ugruntowują się w swoim fałszywym obrazie świata, w którym cały system trzyma się wyłącznie dzięki ich wielogodzinnej pracy w kilku miejscach jednocześnie i skłonności do przymykania oka na wiele niedogodności.

Istnieje pewna nikła nadzieja, że wielka fala oburzenia związana z ujawnionymi nadużyciami pozwoli wybudzić środowiska medyczne ze snu i skontaktuje je z rzeczywistością. Fakty są takie, że prawdziwym poświęceniem wykazują się w tej sytuacji choćby polscy przedsiębiorcy, których PiS obarczył w ramach Polskiego Ładu składką zdrowotną tylko po to, aby wśród lekarzy wykształciła się kasta milionerów.

Byłoby wspaniale, gdyby polska medycyna pozwalała lekarzom i pielęgniarkom zostawać milionerami i dostawać nawet kilkadziesiąt tysięcy złotych za godzinę operacji. Aby to się mogło stać bez czyjejkolwiek krzywdy i podatkowego wyzysku, wystarczy wprowadzić do służby zdrowia brakujący element: uzależnienie przepływu środków od satysfakcji klientów. Czarne Porsche Dawida Kacprzyka powinno wreszcie ostatecznie uleczyć Polaków z hołdowania zasadzie „nie można zarabiać na ludzkiej krzywdzie" i przyczynić się do wprowadzenia mechanizmów rynkowych do służby zdrowia. Narodowy Fundusz Zdrowia powinien jak najszybciej stracić status monopolisty marnotrawiącego co roku miliardy wypracowane przez Polaków.

Polacy chcą wciąż bardzo egalitarnego dostępu do usług medycznych, ale egalitaryzm ten i tak od lat jest fikcją. Za swoje nierealistyczne marzenie nasi rodacy płacą nieustannie ogromną cenę nie tylko w postaci lawinowo wzrastających kosztów utrzymania publicznej służby zdrowia, lecz także wykształcenia się pasożytującej na systemie lekarskiej kasty, która od lat skutecznie blokuje wszelkie próby reform.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl dd77bf8fed

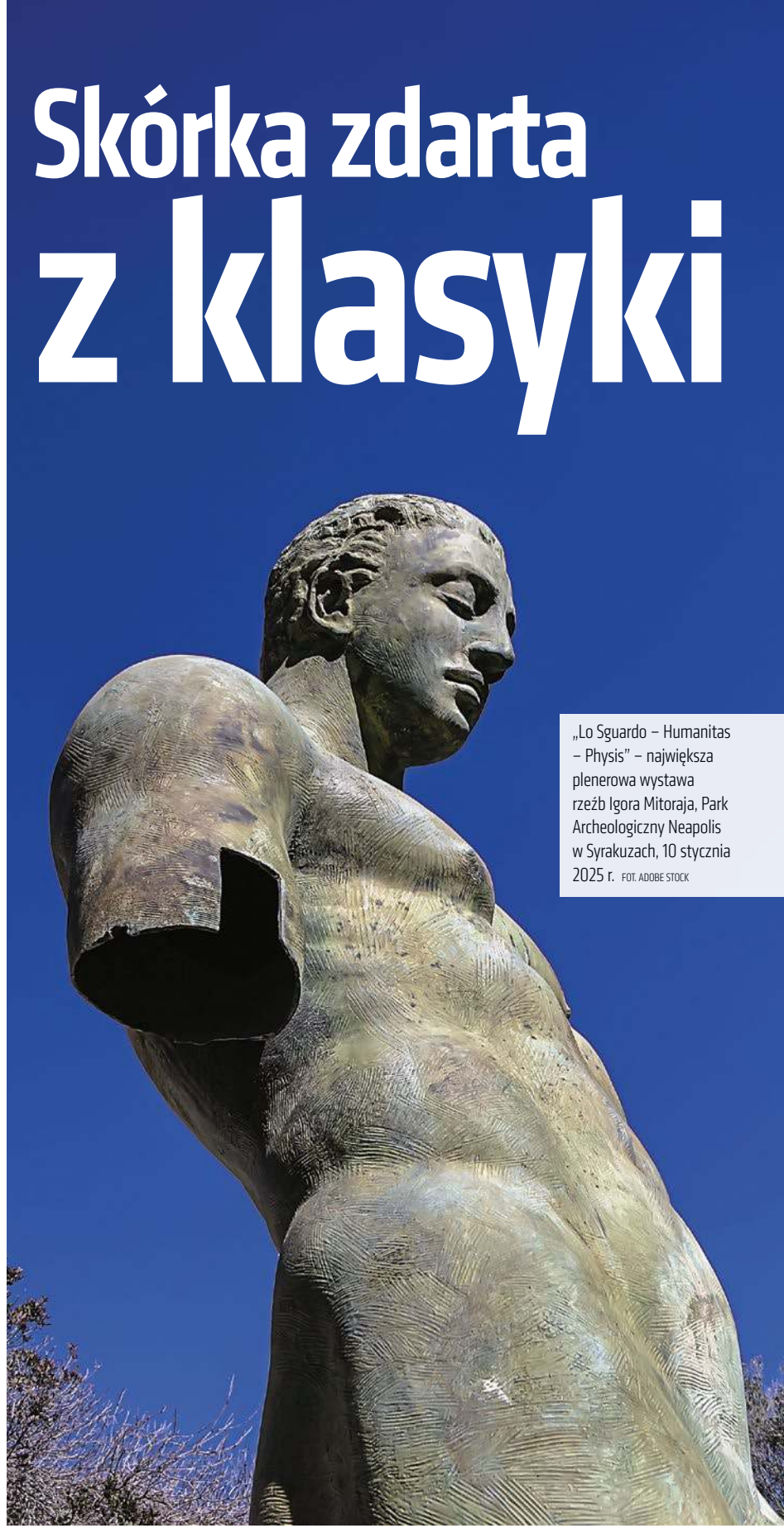
Skórka zdarta z klasyki



Monika Małkowska

Naprawdę się nazywał Jerzy Makina. W 1968 r. wyemigrował do Francji. Wtedy jeszcze nie wiedział, nie czuł, że jego powołaniem jest rzeźba. Stało się tak w 1976 r., kiedy w niewielkiej galerii w Dzielnicy Łacińskiej zaprezentował kilka swoich rzeźb odlanych w brązie. Obawiał się, że po pokazie wyjdzie z dużym debetem, musiał bowiem uiścić rachunek w odlewni. Tymczasem... sprzedał wszystkie prace i nie tylko wyszedł na swoje, ale – co ważniejsze – odnalazł swoje powołanie

Oj, wzruszyłam się. Nareszcie ktoś z polskim paszportem (i nie tylko polskim) wstąpił na Parnas. Rodzime media grzeją informację o tym wydarzeniu – a zdarzyło się, co następuje. 6 czerwca Roku Pańskiego 2026 w toskańskim miasteczku Pietrasanta otwarto Museo Mitoraj. Sukces! Nasz człowiek, popularny rzeźbiarz, który dostąpił zaszczytu wpisania się w historię „małych Aten", jak bywa nazywana Pietrasanta. Mała miejscowość, raptem 25 tys. dusz, ale rozsławiona w świecie ze względu na unikalne złoża marmuru (wystarczy go jeszcze na kolejnych 600 lat... jak twierdzą autochtoni) i niegdysiejszą obecność Michała Anioła, co zresztą włoski geniusz wspominał jako „koszmar" ze względu na mozół, jaki wiąże się z wydobywaniem pięknego kamienia ze stromej góry. Współcześnie przybywa tam wielu rzeźbiarzy z różnych stron świata, m.in. Nowego Jorku, Londynu, Kopenhagi. Jest rotacja, więc na bieżąco trudno podać dane, ilu ich jest. Co ciekawe – ci twórcy najpierw przysyłają swoje projekty, które następnie są tu realizowane i wykańczane przez rzemieślników. Bo robota w marmurze



„Lo Sguardo – Humanitas – Physis" – największa plenerowa wystawa rzeźb Igora Mitoraja, Park Archeologiczny Neapolis w Syrakuzach, 10 stycznia 2025 r. FOT. ADOBE STOCK

eprasa.pl dd77bf8fed

jest ciężka, wymaga krzepy oraz znajomości specyfiki materiału. Toteż nie każdy podoła. I właściwie to ci „artigiani" (po włosku rzemieślnicy) są prawdziwymi mistrzami z Pietrasanta, choć nikt nie zna ich nazwisk.

USTA ARTYSTY

Ale wracając do Mitoraja, który też korzystał z usług wyżej wspomnianych rękodzielników: są twórcy, którzy pozostawiają po sobie niewidoczny/nieczytelny dla większości podpis. Nie chodzi o sygnaturę, lecz o coś na podobieństwo odcisku linii papilarnych czy autoportretu, zawoalowanego w efekcie deformacji. Michał Anioł – skoro była o nim mowa – uwiecznił siebie w najsłynniejszym dziele, fresku „Sąd Ostateczny" w Kaplicy Sykstyńskiej. Nie pokazał się ładnie, raczej makabrycznie: jako skóra zdarta ze św. Bartłomieja, męczennika „oskalpowanego" żywcem i całościowo. Renesansowa tradycja nakazywała obrazowanie tego świętego ze swoją zewnętrzną powłoką dzierżoną w dłoniach. I właśnie tę legendę wykorzystał Buonarroti, by uzmysłowić widzom swój trud oraz inne uwikłania powiązane z wieloletnim tworzeniem fresku. Święty Bartłomiej taszczy w dłoniach swoją obwisłą skórę, zwieńczoną twarzą (na fresku zdeformowaną) o rysach autora. Albo Botticelli – umieścił własną podobiznę w kompozycji „Pokłon Trzech Króli", jako młodziaka o złocistych włosach w żółtych szatach, jako niby niezaangażowanego, zwróconego w stronę widza świadka lub uczestnika wydarzenia. Inny renesansowy geniusz, Rafael Santi, zaprezentował się na fresku „Szkoła Ateńska" jako jeden z adeptów tejże i zamanifestował tym samym przynależność do intelektualnej elity tamtej epoki. I wisienka na torcie – Sofonisba Anguissola, jedna z najwcześniej rozpoznawalnych artystek w historii, która pokazała siebie plus siostry podczas gry w szachy (rewelacja, 1555 r.), co możemy podziwiać w poznańskim Muzeum Narodowym. Nie ma co rozwlekać sprawy, o dziwacznych autoportretach czy śladach „po sobie", które zostawiali autorzy w dawnych i mniej odległych wiekach, można by stworzyć gruby tom.

A czym upamiętnił się Mitoraj? Ustami. Otóż wiele jego rzeźb zdobią… wargi wzorowane na tych, którymi natura obdarzyła artystę. Trzeba przyznać – ładnie wykrojone, regularne, całuśne. Aż proszą się, żeby zaśpiewać „Usta Igora…" i w ten sposób sparafrazować utwór „Usta Mariana" Andrzeja Rosiewicza.

RÓŻNE WERSJE INTYMNOŚCI

Komu dane było zakosztować miodu tych warg? Jedni mówią: miał żonę. Podobno Igor zaręczył się w 1995 r. z poznaną na studiach Anną Kowalską, zaś rok później odbyła się ceremonia zaślubin w wąskim gronie rodzinnym i przyjacielskim. Ale inni zaprzeczają wspomnianemu mariażowi. Sporna jest także kwestia potomstwa artysty – pojawiło się na świecie czy nie, w jakiej liczbie, co się z nimi dzieje obecnie? Wszystko to pozostaje w sferze domysłów i plotek. Różne media podają zupełnie inne dane o życiu osobistym artysty. Według tych źródeł Mitoraj nigdy nie był żonaty ani nie miał dzieci. Zdecydował się na życie singla totalnego, jako że najważniejsza dla niego była sztuka. Ale, ale, nie był odludkiem! Kumplował się z wieloma ludźmi z kulturalnego panteonu. Jak zwykle są wymieniani jednym tchem Andrzej Wajda, Krystyna Janda, Janusz Gajos… Dodałabym Waldemara Dąbrowskiego, Grażynę Kulczyk i Jerzego Staraka. No, kogo jeszcze brak? Tego najważniejszego, wieloletniego partnera Mitoraja – Jeana-Paula Sabatiera, nasz artysta spędził z nim kilkadziesiąt lat życia. To Sabatier przez trzy dekady był tym, z którym nasz twórca dzielił czas i przestrzeń oraz miłość do klimatu śródziemnomorskiego. Nie mówcie mi, że to nie był związek serc! Dwa lata temu, w marcu 2024 r. (na 80. urodziny mistrza), odbyła się w Pietrasanta międzynarodowa konferencja „Mitoraj i jego relacje kulturowe", podczas którego to spotkania partner Mitoraja był obecny, zabrał głos, powspominał. Bo teraz mamy klimat o wiele bardziej przychylny dla jednopłciowych związków niż trzy dekady temu.

Igor Mitoraj sprytnie stosował triki łatwe do zinterpretowania nawet dla osób mało obytych ze sztuką

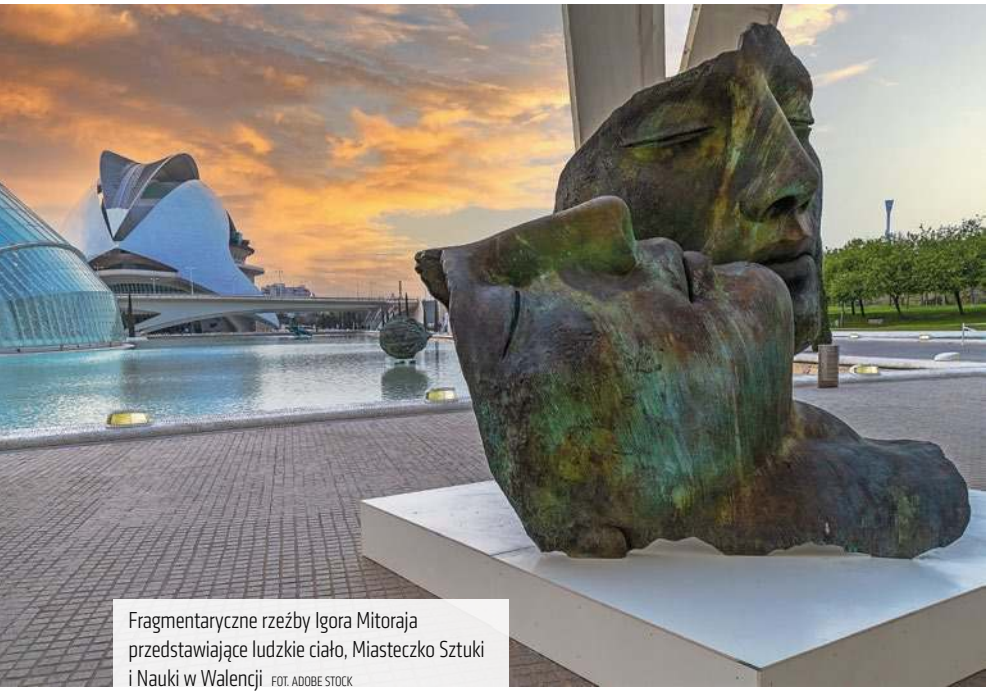
KLASYKA EKSPLOATOWANA

Z Mitorajem od dawna mam problem. On też miał – ze mną. W połowie lat 90. rodzima publiczność wreszcie miała okazję się spotkać ze sztuką artysty emigranta. Jego dzieła rzuciły na kolana! Pamiętam chór zachwytów ludzi związanych ze sztuką – krytyków i kuratorów – którzy opiewali oryginalność dokonań Mitoraja. I cóż za maestria wykonawcza! W tym zakresie gratulacje należały się rzemieślnikom zatrudnionym do pomocy. Jako jedna z niewielu nigdy nie uwierzyłam w „prawdę" jego prac, on zaś nie mógł zrozumieć, dlaczego tak jest.

Nie zapomnę rozmowy, gdy Mitoraj, przypadkowo spotkany na jakiejś uroczystości w ambasadzie polskiej w Paryżu, usiłował dociec, dlaczego nie wielbię jego dzieł, skoro „wszyscy" w Polsce (i na świecie) tak mają. Po co mu był jeszcze jeden akces na liście fanów? Może podskórnie czuł, że dostrzegłam to, co większości umykało: jak sprytnie stosował triki łatwe do zinterpretowania nawet dla osób mało obytych ze sztuką.

Lata 2000. były marszem triumfalnym Mitoraja przez Polskę. Wszędzie zamawiano odlewy jego rzeźb, od domowych drobiazgów „na biurko", przez rozmiarowo średnie obiekty „do ogrodu" (dla zasobnych indywidualnych odbiorców), po monumenty ustawiane w przestrzeniach publicznych. Autor za każdym razem operował tym samym chwytem: fragmenty ludzkiego ciała odtworzonego realistycznie, z jakiegoś powodu efektownie urwane, odłamane, zawoalowane. I z intrygującym dodatkiem: np. dziura z torsie, a w tym „okienku" – główka w znacznie mniejszej skali. Znaczy, rzecz o przemijaniu. Każdy zrozumie. I proszę nie wmawiać mi, że to reaktywacja klasyki. To powtórka pewnych psychologicznych chwytów, jakie ludzkość wymyśliła na użytek sztuki służącej idealizowaniu, nawet idolatrii władców. Wiadomo, zmonumentalizowane i upiększone podobizny monarchów czy wodzów działają silniej na emocje niż wizerunki naturalnej wielkości. Dam przykład: dwa lata temu (w 2024 r.) widziałam w rzymskich Muzeach Kapitolińskich rekonstrukcję nieistniejącego pomnika cesarza Konstantyna.

eprasa.pl dd77bf8fed



Fragmentaryczne rzeźby Igora Mitoraja przedstawiające ludzkie ciało, Miasteczko Sztuki i Nauki w Walencji FOT. ADOBE STOCK

Trzynastometrowy posąg gigant został odtworzony dzięki nowoczesnym technikom, za pomocą modelowania 3D. Tam, na Kapitolu, są przechowywane autentyczne fragmenty owego monumentu. Ten nowoczesny kolos został odtworzony z mało szlachetnych surowców. W tym samym muzeum są zachowane antyczne fragmenty podobizn cesarza. Już sama stopa czy kawałek głowy Konstantyna robiły potężne wrażenie, a co dopiero – wyobraźmy sobie – cały wódz, odziany w złotą togę, dzierżący złote insygnia władzy. Wiadomo, im pomnik większy, tym ważniejszy bohater. Nadludzki, boski! To znany od tysiącleci zabieg podnoszenia rangi kogoś i czegoś (władzy) przez monumentalizowanie postaci. Od faraona do Lenina, od Konstantyna do Mitoraja.

SZTUKA NA KAŻDY GUST

Nie zgadzam się też z tym, że sztuka Igora M. odzwierciedlała chorobę, która dotknęła autora. Ani dolegliwości związane z krążeniem, ani nowotwór nijak nie miały wpływu na koncepcję Mitoraja, dzięki której zabłysnął w latach 80. Sztuka współczesna dla wielu nie była zrozumiała, a także wzbudzała wątpliwości co do swojej wartości. Tymczasem nasz artysta instynktownie wyczuł ludzką potrzebę piękna, tęsknoty za czymś trwałym, łatwym do zrozumienia, kojarzącym się w oczywisty sposób z grecko-rzymską tradycją. Tylko że… Mitoraj udekorował klasykę. Uładnił. Tym



Rzeźba Igora Mitoraja „Thsuki-no-hikari Moonlight" w centrum handlowym Stary Browar w Poznaniu, 2 października 2020 r. FOT. ADOBE STOCK

samym odebrał jej wielkość i wzniosłość. Dlatego jego twórczość jest dobra na każdą okoliczność i na każde otoczenie.

Pewnie znacie te monstrualne głowo-maski Mitoraja, które z równym powodzeniem „uatrakcyjniają" krakowski Rynek Główny, galerię handlową Stary Browar w Poznaniu, Plac Centralny w Warszawie, Centrum Olimpijskie w Warszawie, siedzibę Polpharma – Centrum Polskiej Farmacji? Nawiasem mówiąc, Fundacja Rodziny Staraków zafundowała sobie trzecią kopię „Wielkiego Toskańczyka", powtórkę z paryskiej dzielnicy La Défense i Mediolanu. Dawne dzieła, które zawierają sakralny potencjał, budzą respekt i zachwyt wpasowaniem w kontekst architektoniczny. A co z pracami mistrza Igora? Turyści przechodzący krakowskim rynkiem traktują je jak monidła – wsadzają głowy do pustych oczodołów maski i fotografują się na pamiątkę. To najlepiej świadczy o tym, jak są odbierane te prace. W każdym miejscu rzeźby Mitoraja pasują, bo w istocie nie mają żadnego stylu. Są imitacją. Trochę jak teatralna dekoracja. Tyle że scenografia jest tworzona do konkretnego dramatu. A Mitoraj trzaskał parafrazy klasyki w próżnię. Gdziekolwiek by je ustawiono, jest OK. Pasują zarówno do banku, galerii handlowej, Pałacu Kultury i Nauki czy Koloseum.

ŚWIĄTYNIA SUPERMARKET

Co do nowego muzeum imienia polskiego twórcy w Pietrasanta. Glorii tej świątyni przysporzyło kilka aspektów. Zacznę od architektury. W latach 60. była to hala targowa, wyjątkowo pięknie zaprojektowana przez Tita Salvatoriego. Modernizm na najwyższym poziomie. Budynek trójnawowy (jak dawne kościoły), ze ścianami-oknami (dodatkowo „doświetlonymi" wyburzeniem ślepych przegród budowlanych wewnątrz budynku), wpuszczającymi do wnętrza światło o każdej porze dnia, z dookolnym podejściem szerokimi wygodnymi schodami, jak do antycznych świątyń. Wielkie betonowe „kielichy" podtrzymują płaski strop hali, co sprawia, że budowla wygląda lekko i jakby „upojnie", wręcz szampańsko.

Tu wypada wtrącić, że analogiczny model został zastosowany w konstrukcji dworca kolejowego w Katowicach, który to projekt wygrał w 1959 r. zespół „Tygrysów", warszawskiej pracowni architektonicznej. Mniejsza o pierwowzór – śląski obiekt uznano za wzorcowe dzieło architektonicznego brutalizmu, czego w Polsce nie za wiele. Całą budowę zakończono w 1972 r., pocmokano, pozachwycano się, a w 2011 r. ten podręcznikowy obiekt… wyburzono jako nieprzystający do potrzeb zbliżających się Mistrzostw Europy w Piłce Nożnej 2012.

TEŻ BĘDZIE PASOWAĆ

W Pietrasanta nikt na tak idiotyczny pomysł nie wpadł. Nie rzucono się też na architektoniczne wygibasy typu Muzeum Guggenheim w Bilbao, zaprojektowane

eprasa.pl dd77bf8fed



Rzeźba Igora Mitoraja „Eros Bendato" na Rynku Głównym w Krakowie
FOT. ADOBE STOCK



Rzeźba Igora Mitoraja na wystawie archeologicznej w Pompejach
FOT. ADOBE STOCK

przez Franka O. Gehry'ego. W Toskanii przystosowano do ekspozycyjnych potrzeb ponadpółwiekowy obiekt, jeszcze niedawno funkcjonujący jako supermarket. Po 800 mkw. na dwóch poziomach plus 900 mkw. na placu wokół budynku. W sumie – 2500 mkw.

Do adaptacji zabrała się mediolańska (z posadowienia, ale międzynarodowa) pracownia OBR (Open Building Research), założona w 2000 r. Designerski network wykorzystał zastaną tektonikę jako „ramy" dla obecnej ekspozycji. I w tych okolicznościach architektury pojawiły się rzeźby Mitoraja, wspaniale oświetlone włoskim słońcem. Sześćdziesiąt dziewięć obiektów, przekazanych przez spadkobiercę artysty, Jeana-Paula Sabatiera. To właśnie będą najważniejsze eksponaty nowej placówki. Też będą doskonale pasować. Poza tym będzie odtworzony cały proces twórczy Mitoraja, od szkiców i modeli, po zestawianie finalnego wyglądu rzeźb z materiałów, z których powstawały. Prace artysty znajdą się w pomieszczeniach parterowych, zaś w podziemiu będą się mieścić przestrzenie edukacyjne, konferencyjne i przestrzenie dla wystaw czasowych – bo i takowe są planowane. Najważniejszy jednak jest sam bohater.

KAMIENISTY ŻYCIORYS

Kim był Igor Mitoraj? Naprawdę nazywał się Jerzy Makina. Przeżył 70 lat, 12 lat temu zabrały go nowotwór (zmagał się ze szpiczakiem przez ok. 20 lat) i inne schorzenia. W Toskanii osiedlił się w 1983 r. W 2001 r. lokalne władze przyznały mu honorowe obywatelstwo Pietrasanty. Człowiek wielu nacji i skomplikowanego życiorysu. Matka – deportowana polska robotnica, której zdarzyło się związać i zaciążyć z francuskim jeńcem wojennym, oficerem Legii Cudzoziemskiej. Owocem tego związku był Igor, urodzony 26 marca 1944 r. w Oederan w Niemczech. Potem były lata spędzone we wsi Grojec koło Oświęcimia. Rok 1948 – matka Igora bierze ślub z Czesławem Mitorajem, który nadaje nazwisko pasierbowi.

Od młodości Igora ciągnęło do sztuki – najpierw było liceum plastyczne w Bielsku-Białej, w 1963 r. dostał się na studia w krakowskiej Akademii Sztuk Pięknych, gdzie uczył się m.in. pod kierunkiem Tadeusza Kantora. Było mu jednak mało zarówno edukacji artystycznej, jak i międzynarodowych kontaktów. W 1968 r. wyemigrował do Francji i studiował na École nationale supérieure des beaux-arts. Wtedy jeszcze nie wiedział, nie czuł, że jego powołaniem jest rzeźba. Stało się tak w 1976 r., kiedy w niewielkiej galerii w Dzielnicy Łacińskiej zaprezentował kilka swoich rzeźb odlanych w brązie. Obawiał się, że po pokazie wyjdzie z dużym debetem, musiał bowiem uiścić rachunek w odlewni. Tymczasem… sprzedał wszystkie prace i nie tylko wyszedł na swoje, ale – co ważniejsze – odnalazł swoje powołanie. Rok później zaczął „mieć branie" – otrzymał propozycję kolejnej wystawy w galerii prowadzonej przez bratanka ówczesnego prezydenta Francji François Mitterranda. To już była poważna oferta, wymagająca starannego przygotowania. Mitoraj wyjechał na rok do centrum brązowniczej odlewni, a także ważnego ośrodka kamieniarzy w Pietrasanta. Tam doświadczył iluminacji: poczuł, że to jego miejsce na ziemi.

NA FINAŁ

Na koniec – Mitoraj to niejedyny Polak w Pietrasanta. W tej „stolicy marmuru" od prawie 30 lat mieszka rzeźbiarz Szymon Ołtarzewski (ur. 1977 r. w Lesku), absolwent inżynierii środowiska na uniwersytecie w Opolu, potem zaś student Akademii Sztuk Pięknych w Carrarze, należący do Brytyjskiego Królewskiego Związku Rzeźbiarzy. Ołtarzewski także inspiruje się antykiem (konkretnie – sztuką helleniystyczną); co ciekawe, jego prace kupują klienci z całego świata, ale nie z jego ojczyzny. Według jego relacji Mitoraj traktował go jak młodszego kolegę. Spotykali się w miasteczku przy kawie, wymieniając się ploteczkami oraz newsami o polityce i pogodzie. Może przy okazji pogadali też o sztuce.

W latach 2000. wszędzie zamawiano odlewy rzeźb Mitoraja, od domowych drobiazgów „na biurko", przez rozmiarowo średnie obiekty „do ogrodu" (dla zasobnych indywidualnych odbiorców), po monumenty ustawiane w przestrzeniach publicznych

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl dd77bf8fed

Dorociński lepszy niż Reynolds



Marcin Dorociński jako wysoki rangą agent KGB Aleksander Wołkow w filmie „Katastrofa w duecie" FOT. APPLE TV+



Piotr Gociek

„Katastrofa w duecie" – fabuła naciągana, humor cienki. Marcin Dorociński jest jednak znakomity i stawia kolejny ważny krok w międzynarodowej karierze

Jesienią 2015 r. nagrywałem wywiad z goszczącym w Polsce autorem thrillerów i kryminałów Deonem Meyerem. Akurat ukazała się po polsku jego powieść „Martwi za życia", którą przenoszono na ekran jako serial „Cape Town". Jedną z ról grał Marcin Dorociński. „Marcin wypadł znakomicie, po przyjeździe do Polski dowiedziałem się, że to jeden z waszych najlepszych aktorów. Wcale się nie dziwię, jest fantastyczny". Tylko te krótkie zdania trafiły do wersji drukowanej („Do Rzeczy" nr 45/2015), ale pamiętam, że pochylony nad stolikiem kawiarnianym Deon mówił o Dorocińskim dłużej, nie kryjąc fascynacji.

Sześcioodcinkowy „Cape Town" przemknął przez polskie ekrany niemal niezauważony, pokazany kiedyś przez TVN. W streamingu nigdzie go nie znajdziecie, mało kto pamięta o tej niemieckiej produkcji (szkoda, bo była niezła). Ale za to w serwisie Apple TV+ Marcin Dorociński podbija świat, obsadzony w jednej z głównych ról – obok Ryana Reynoldsa i Kennetha Branagha – w filmie „Katastrofa w duecie" („Mayday").

„Katastrofa w duecie" (scenariusz i reżyseria: John Francis Daley i Jonathan Goldstein) to film głupiutki, niezbyt oryginalny, a jeśli chodzi o przesłanie nawet mocno bałamutny, ale dobrzy aktorzy lśnią również w takich produkcjach. I oto patrzymy na błaznującego Ryana Reynoldsa w roli głównej, patrzymy na bawiącego się swoją postacią Kennetha Branagha, a obu ich przyćmiewa Marcin Dorociński.

ZRÓWNYWANIE KOMUNIZMU Z KAPITALIZMEM

Mamy do czynienia z zimnowojenną komedią szpiegowską, która próbuje wskrzesić ducha hitów z lat 80. Nie jest jednak tak zwariowana jak „Ściśle tajne!" (1984) słynnego tria Zucker – Abrahms – Zucker, ani tak urocza jak „Szpiedzy tacy jak my" (1985) w reżyserii Johna Landisa. Świeci światłem odbitym – odbitym przede wszystkim od słynnego przeboju kin epoki reaganowskiej, czyli „Top Gun" (1986) Tony'ego Scotta. Troy „Assassin" Kelly, którego gra Ryan Reynolds, to właśnie postać jak z „Top Gun": świetny, acz zarozumiały pilot z elitarnej jednostki lotnictwa marynarki wojennej.

Oddelegowany zostaje do tajnej misji szpiegowskiej; jako drugi pilot leci nad Związek Sowiecki, by sfotografować z bezpiecznej wysokości podejrzany obiekt budowany przez Rosjan. Wysokość jednak nie jest bezpieczna, więc samolot zostaje zestrzelony. Troy ląduje bezpiecznie, ale jest 1,2 tys. mil od fińskiej granicy. Pod opiekę bierze go jednak żyjący na odludziu Nikołaj Ustinow (Kenneth Branagh), figura najbardziej nieprawdopodobna ze wszystkich oficerów KGB, jakich widzieliście w historii kina. Otóż Ustinow porzucił służbę w KGB, bo mu tak kazało sumienie, poza tym nie mógł znieść tego, jak patrzy na niego córka, gdy wraca z pracy. Teraz piramidy bzdur piętro kolejne: leśna chata Ustinowa to właściwie ołtarzyk ku czci Ameryki i amerykańskich bohaterów. Ustinow kocha USA, uwielbia Bruce'a Springsteena, a bohaterów „Top Gun" znanych mu z pirackiej kopii VHS uważa za największych bohaterów na świecie (i ludzi najbardziej honorowych).

eprasa.pl dd77bf8fed

Pomaga więc Troyowi w wędrówce przez Związek Sowiecki, w którym właśnie zaczyna się pierestrojka.

Nie wszyscy jednak popierają jawność, demokratyzację i reformy. Tu na scenę wkracza Aleksander Wołkow, którego gra Marcin Dorociński. Wołkow to wysoki rangą oficer KGB, który osobiście przejmuje nadzór nad łowami na amerykańskiego pilota. Wiąże z nim wielkie plany, zwłaszcza że pozwolić sobie może na wiele – amerykańska misja była nieoficjalna, znaczy nikt się o Amerykanina nie upomni. Dorociński tworzy postać wiarygodną, groźną, ale i charyzmatyczną. W scenie z Kennethem Branaghem w niczym nie odstaje od szekspirowskiego aktora i reżysera. Od Ryana Reynoldsa jest o wiele ciekawszy. Jego angielski i rosyjski jest nienaganny, jego prezencja – złowieszcza. A gdy trzeba, wejdzie na drzewo, żeby znaleźć kluczowy dowód. Oto łowca, którego powinna bać się każda zwierzyna.

Oczywiście smuci fakt, że jedyna droga dla polskiego aktora do hollywoodzkich hitów to role Rosjan. Pamiętamy Daniela Olbrychskiego w filmie „Salt" z Angeliną Jolie, pamiętamy Jerzego Skolimowskiego w „Avengers". Także sam Dorociński grał wcześniej Rosjan w „Gambicie królowej" Netflixa oraz kinowej „Mission: Impossible – Dead Reckoning". Z kolei w serialu „Wikingowie: Walhalla" został Jarosławem Mądrym z dynastii Rurykowiczów. Na tym tle warto wrócić do występu Dorocińskiego we wspomnianym na początku miniserialu „Cape Town" – tam grany przez niego bohater, Christian Coolidge, był wnukiem polskiego Żyda, który uciekł podczas drugiej wojny światowej do Republiki Południowej Afryki.

„Katastrofa w duecie" – jak już wspomniałem – to nie jest udany film – fabuła mocno naciągana, humor cienki. A dlaczego jest także bałamutny? Cóż, rzecz ułożona jest w sposób następujący: antykomunistycznie nastawiony Amerykanin odkrywa, że Rosjanie są w gruncie rzeczy milutcy, gościnni i bardzo pomocni, a Rosjanin, że Amerykanie niekoniecznie tacy honorowi, jakby chciało się ich widzieć po „Top Gun". Wniosek ma być niby taki, że po jednej i drugiej stronie żyją obywatele oszukiwani przez swoje władze, co do natury przeciwnika. Cóż, bzdurka, bzdurka w stylu piosenki Stinga „Russians", w której przekonywał, jak bardzo „Rosjanie również kochają dzieci". Swoje pewnie kochają. Tych z Czeczenii, Gruzji, a ostatnimi laty z Ukrainy, już raczej nie (delikatnie rzecz ujmując).



REŻ. JOHN FRANCIS DALEY, JONATHAN GOLDSTEIN „KATASTROFA W DUECIE" USA 2026, APPLE TV

Tendencję do zrównywania komunizmu z kapitalizmem pamiętam dobrze z rozmaitych „inicjatyw pokojowych" lat 70. i 80. XX w., kiedy to czasem naukowcy, czasem pisarze z obu stron żelaznej kurtyny wzywali do rozbrojenia i odprężenia w imię wspólnego dobra. Nie rozumiejąc, rzecz jasna, że w chwili gdy tylko Zachód zezłomuje swoje rakiety, Sowieci rzucą mu się do gardła, zamiast złomować swoje. Dziwnym trafem po latach wychodziło zwykle, że te inicjatywy – tak jak ruchy pacyfistyczne i ekologiczne (zwłaszcza antyatomowe) w Europie Zachodniej – finansowane były przez KGB. Ot, taki przypadek.

30. ROCZNICA KINOWEGO DEBIUTU

Nie będę zatem rozkoszował się „Katastrofą w duecie" mimo przychylnych recenzji amerykańskich krytyków, ale co oni tam wiedzą o komunizmie? (A w erze poprawności politycznej trzeba dopytać jeszcze – i co mogą wiedzieć o poczuciu humoru?). Natomiast nikt nie zabroni mi w radowaniu się z występu Marcina Dorocińskiego, który jest na najlepszej drodze, by zrobić międzynarodową karierę, jakiej żaden z polskich aktorów nie zrobił.

W Polsce szybko zdobył popularność i renomę, ale długo wydawało się, że będzie to popularność i renoma tylko na miarę naszego kraju. Mamy takich aktorów wielu, niejeden nawet naprawdę uzdolniony. Zwykle trajektoria kariery układa się w ich przypadku podobnie: dwa–trzy ciekawe filmy kinowe, jakieś nagrody na festiwalach, jakieś nominacje do Orłów, potem szybko telewizja i pokusa regularnego, stałego zarobku. Tu jakaś reklama, gdzie indziej trochę teatru, raz na pięć lat znowu jakiś projekt kinowy, nie zawsze udany i już bez efektu świeżości. Niekiedy szczęśliwa seria, gdy trafi się do popularnej komediowej franczyzy i można z filmów numer dwa, trzy, czy pięć uczynić swój znak rozpoznawczy. I ani się człowiek obejrzy, a z dobrze zapowiadającego się aktora młodego pokolenia staje się czterdziestoparoletnim weteranem, o twarzy zgranej do cna, bośmy ją ciągle widzieli, jak nie w telenoweli, to w jakiejś reklamie emitowanej w przerwach owej telenoweli.

Dorociński, którego zapamiętałem po raz pierwszy nie z debiutu w „Szamance" (1996), lecz z „Krugerandów" (1999) Wojciecha Nowaka, miał okres, kiedy wszędzie było go dużo, a czasami nawet za dużo. Na szczęście miewał też okazje, by błysnąć talentem, jak w pierwszym „Pitbullu" (2005), „Boisku bezdomnych" (2008) czy „Róży" (2011). Dobrze wypadł w filmie „Jack Strong", jego pozycję wzmocniła rola w serialu HBO „Pakt". W tym roku mija już 30 lat od jego kinowego debiutu. Wydaje się jednak, że dopiero od mniej więcej dekady kieruje swą karierą naprawdę ciekawie, budując pomału pozycję na rynkach międzynarodowych.

Bo oto zna go już nie tylko widownia „Cape Town", czyli rynki: polski, niemiecki oraz południowoafrykański. Wystąpił w brytyjskim „Hurricane" (2018), u nas znanym jako „303. Bitwa o Anglię", gdzie był świetnym Witoldem Urbanowiczem i pograł nieco ze znanym z „Gry o tron" Iwanem Rheonem. Duńczykom dał się poznać w „Małżeńskich porachunkach" (2016), a Czechom w „Operacji Anthropoid" (2016 – tu z kolei wystąpił u boku Cilliana Murphy'ego). Widzowie z Korei Południowej widzieli go w filmie „Okup" (2023). Dzięki produkcjom Netflixa oraz „Mission Impossible" widział go natomiast cały świat. To jest solidny fundament, by budować coś więcej. Życzę więc Dorocińskiemu, by budował mądrze, a w Polsce wybierał już tylko role ważne i prestiżowe – jak w kinowej „Lalce". Jak w niej wypadł? O tym opowiem za tydzień.

Smuci fakt, że jedyna droga dla polskiego aktora do hollywoodzkich hitów to role Rosjan

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl dd77bf8fed



FOT. KEITH HAMSHERE



PIOTR GOCIEK

OGLĄDANIE NA ŻĄDANIE

HBO max

Towarzysze broni



★★★★★★

REŻ. CHASE MILLSAP
„KOMPANIA BRACI. DZIEDZICTWO" („BAND OF BROTHERS. LEGACY")
USA 2026

dokumentalny

Nie mogło zabraknąć w tym dokumencie pamiętnych słów: „gdy dzieci pytają mnie, czy byłem bohaterem, odpowiadam: nie, ale służyłem w kompanii bohaterów". Zamykały one ostatni odcinek serialu „Kompania braci", który miał premierę ćwierć wieku temu, a wypowiedział je Dick Winters, dowódca Kompanii E, którego na ekranie zagrał Damian Lewis.

Film „Dziedzictwo" pokazuje więź, jaką aktorzy nawiązali z weteranami, których mieli zaszczyt odgrywać w superprodukcji Stevena Spielberga i Toma Hanksa, jest także pożegnaniem z oryginalnymi bohaterami. Żadnego z nich nie ma już dziś wśród żywych, zostały jednak materiały zarejestrowane podczas produkcji serialu. I tak po raz pierwszy widzimy, jak spadochroniarze 101. Dywizji Powietrznodesantowej przechadzają się po latach leśnymi ścieżkami w Ardenach. Nory w ziemi, które wykopali, by chronić się przed niemieckim ostrzałem, widoczne są do dziś.

„Kompania braci" okazała się czymś więcej niż najlepszym serialem historycznym w dziejach telewizji. Premiera pierwszego odcinka miała miejsce dwa dni przed terrorystycznym atakiem na World Trade Center. Wszyscy byli przekonani, że ta tragedia przesłania wszelkie dokonania ze świata rozrywki i że jeśli już ktoś będzie potrzebował eskapizmu, to ostatnią rzeczą, po jaką sięgnie, będzie realistyczny dramat wojenny. Okazało się, że „Kompania braci" zjednoczyła Amerykanów wokół decyzji o rozpoczęciu wojny z terrorem, że duch solidarności i braterstwa przenikający tę produkcję, był czymś, czego Amerykanie bardzo wówczas łaknęli.

Jeden z wówczas jeszcze żyjących weteranów pytany, co jego zdaniem zrobiliby dziś młodzi Amerykanie, gdyby historia zażądała od nich takiego poświęcenia, jak podczas drugiej wojny światowej, odparł i wskazał na strażaków i policjantów z narażeniem życia ratujących ludzi uwięzionych pod zgliszczami WTC: „podołaliby zadaniu – tak jak te chłopaki".

Wojna z terrorem okazała się zbyt długa i kosztowna, ale w niczym nie ujmuje to heroizmu tym, którzy służyli swojemu krajowi. Tak jak nic nie jest w stanie umniejszyć chwały żołnierzy Kompanii E, którzy decydowali o wyniku ostatniej z wojen XX w., co do której wszyscy zgadzali się, że była sprawiedliwa. ©℗

GRA TYGODNIA: „NIEUSTRASZENI: BITWA O ANGLIĘ"

Kolejna gra z serii „Nieustraszeni", tym razem rozgrywająca się w czasach drugiej wojny światowej. Gracze wcielają się w dowódców sił powietrznych RAF lub Luftwaffe i biorą udział w starciach podobnych do tych z lata 1940 r. Mają za zadanie zestrzelić maszyny wroga, zniszczyć naziemne cele i unikać ataku. Za pomocą talii kart pilotów dbają o łączność i współdziałanie eskadry. Niestety, gra przeznaczona jest tylko dla dwóch osób – wydawca nie stworzył żadnego rozszerzenia wieloosobowego, tak jak w poprzednich częściach. ©℗



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

★★★★★★

Anna Zalewska

- ***Gatunek:*** *taktyczna, wojenna*
- ***Platforma:*** *PC*
- ***Producent, wydawca:*** *Ogry Games*

eprasa.pl dd77bf8fed

Wybór Fatimy

KINO



★★★☆☆☆

REŻ. HAFSIA HERZI
„MŁODSZA SIOSTRA" („LA PETITE DERNIÈRE")
FRANCJA 2026

wyst. Nadia Melliti, Ji-Min Park, Amina Ben Mohamed

Ostateczna rozprawa z pozostałościami patriarchatu rozwiąże problemy Francji, zwłaszcza ten największy – z imigrantami. Trzeba tylko wzmóc działania edukacyjne i uzbroić się w cierpliwość. Kobiety, a po nich – chcąc nie chcąc – mężczyźni pochodzący z Maghrebu sami odetną się od konserwatywno-islamskich korzeni, by dołączyć do demonstrantów wymachujących tęczowymi chorągiewkami. Prawda, jakie to proste?

Ekranizację autobiograficznej powieści Fatimy Daas obejrzało w kinach ponad 400 tys. Francuzów, co jest niezłym wynikiem jak na dzieło pozbawione komercyjnych walorów i znanych nazwisk w obsadzie. Ważniejsze jednak, że w Cannes dostała ona dwie nagrody: za główną rolę żeńską i dla najlepszego filmu o tematyce LGBTQ+. Najbardziej snobistyczna impreza filmowa Europy ma ambicje kreowania mód i trendów. Dla ludzi kina, pretendujących do miana artystów, zaistnienie na tym festiwalu jest równoznaczne z tytułem szlacheckim.

Tytułowa „młodsza siostra" mieszka z rodziną na przedmieściach Paryża. W szkole i na studiach pedagodzy wbijają jej w głowę tzw. wartości republikańskie, szczególny nacisk kładąc na ideę równości tudzież emancypacji. Fatimę, praktykującą muzułmankę, przeraża perspektywa szybkiego zamążpójścia. W dodatku odkrywa, że pociągają ją kobiety. Paryż to miejsce, w którym nawet introwertyk może stać się hedonistą. „Niegrzeczne dziewczyny" brylują w towarzystwie, są agresywne i mocne w gębie.

Walka o duszę skołowanej 18-latki nie jest, nawet do dla życzliwie nastawionego widza, zbyt zajmująca. Wiele tu łez, ale dramatyzmu tyle, ile trucizny w zapałce. Do kulturowego zderzenia trzeba dwóch stron. Tymczasem presja tradycjonalizmu jest praktyczne żadna. Któż miałby zawrócić Fatimę z drogi do „wolności"? Mimozowaty narzeczony, ojciec spędzający dni na kanapie, matka zachwycona, że córki się kształcą, dobrotliwy imam zalecający modlitwę jako lek na rozterki?

Ludzkość miało uszczęśliwić zniesienie prawa własności. Wiemy, co z tego pomysłu wynikło, lecz szukamy następnych utopii. Historia Fatimy świadczy, że z praw człowieka którymi Francja tak się chlubi, żywe pozostało tylko prawo do bycia sobą. Znamienna redukcja. ©℗ ***Wiesław Chełminiak***

DUSZA ZBIRA

Amerykański gangster nawet w piekle trzyma fason. Ale żeby się z niego wydostać, musi zaakceptować plan Mefistofelesa. Powróciwszy do świata żywych, Eddie zamierza wyrównać rachunki ze zdradzieckim kolegą. Szatan chce natomiast pogrążyć sędziego, który jest tak irytująco uczciwy, że może nawet zostać gubernatorem. Komedie, aspirujące do miana moralitetów, mają długi termin przydatności do spożycia. Grzeszą jednak naiwnością, prawdziwą lub udawaną. Główny bohater jak na twardziela zbyt łatwo się rozkleja. Z ekranu pada kategoryczna opinia, że ludzie nie zechcą głosować na osobnika, któremu brak piątej klepki. To uświadamia nam, że od premiery „Anioła na ramieniu" minęło już 80 lat. Sytuację ratują aktorzy: urodzony we Lwowie Paul Muni tudzież świetnie czujący się w skórze diabła stróża Brytyjczyk Claude Rains. ©℗



PLAY

★★★★☆☆

REŻ. ARCHIE MAYO
„ANIOŁ NA RAMIENIU" („ANGEL ON MY SHOULDER")
USA 1946

wyst. Paul Muni, Claude Rains, Anne Baxter

DO ZOBACZENIA



ANNA ZALEWSKA

Świat jak zielnik

Relacja człowieka z przyrodą to nierozerwalna więź, w której człowiek jest integralną częścią ekosystemu. Dzisiaj jest ona jednym z ważniejszych tematów debat publicznych, politycznych i naukowych, związanym przede wszystkim z kryzysem klimatycznym. Ten wątek rozwija poznańska wystawa, ukazując relację człowieka z przyrodą od XVII do XXI w. i skupiając się na dawnych ilustracjach botanicznych w połączeniu ze sztuką współczesną. Możemy na niej zobaczyć m.in. niezwykłe interpretacje natury Wojciecha Weissa, Jana Stanisławskiego, Juliana Fałata czy Stanisława Wyspiańskiego oraz japońskie drzeworyty kachō-ga. „To poruszająca refleksja nad tym, co tracimy, jak zmienia się nasza rzeczywistość i jak sztuka pomaga dostrzec to, co często pozostaje niewidoczne" – zachęca muzeum. ©℗

GDZIE? ***Centrum Kultury Zamek w Poznaniu***
KIEDY? ***do 6 grudnia***



FOT. CENTRUM KULTURY ZAMEK W POZNANIU

eprasa.pl dd77bf8fed



KRZYSZTOF MASŁOŃ

MOJA PÓŁKA

Albo my, albo oni

Cztery lata temu przeczytałem, a następnie zarekomendowałem czytelnikom „Do Rzeczy" debiutancką powieść historyka i filozofa, Pawła Rzewuskiego – osadzony w realiach II Rzeczypospolitej kapitalny kryminał „»Syn bagien«", w którym dziejące się wśród poleskich lasów i bagien ciemne sprawy usiłuje rozwikłać przysłany z Warszawy „dwójkarz". Tego samego oficera Sztabu Generalnego przypomina nam autor w wydanym właśnie „»Czarnym złocie«", mrocznej historii rozgrywającej się latem 1938 r. w trójkącie Truskawiec – Borysław – Drohobycz. Tam, gdzie – jak utrzymują miejscowi – bóg nafty, Cernyj Boh, wyciąga ręce po coraz to nowe ofiary. I ofiar rzeczywiście przybywa, tyle że nie za sprawą bogów, lecz złych ludzi.

Kapitan Maurycy Jakubowski na Kresy jedzie z ochotą. Dość ma Warszawy, ciągnie go na wschód, pragnie „betonowe bagno przemienić na bagna prawdziwe". A w Truskawcu słynącym ze swojej Naftusi („Wącham raz jeszcze – siarka i zgnilizna, trochę jak zepsute jaja. Próbuję się przemóc, w końcu biorę łyk. Obrzydlistwo") zaginęły właśnie dwie siostry, córki inżyniera przemysłu naftowego, przy tym blisko współpracującego z polskimi władzami i mającego bardzo prominentne znajomości, „człowieka o jednoznacznie proukraińskich poglądach, pragnącego dialogu i osłabienia nacjonalizmu ukraińskiego. Szczerego prometejczyka". Do tego w Borysławiu została zgwałcona i zamordowana niejaka Katarzyna Maciąg, za którą to zbrodnię – zdaniem części polskiej społeczności – odpowiadają nacjonaliści ukraińscy.

A w rzeczywistości Sztabu Generalnego Wojska Polskiego najważniejszy jest „wiszący nad wszystkim, wszechobecny niczym orzeł biały, Rydz Śmigły". „Czuwa nad nami – głośno myśli kapitan Jakubowski – spoglądając bacznym wzrokiem, z jedną brwią uniesioną. I na mnie patrzy swoim gospodarskim okiem, ale nie czuję się ani trochę spokojniejszy czy bezpieczniejszy".

Do Truskawca Jakubowski jedzie jako dobrze zapowiadający się oficer „dwójki", by wrócić w aureoli bohatera, który rozpracował szpiegowską siatkę, a morderców jeśli nie zabił, to ujął i osadził w więzieniu. Sam poznał natomiast polsko-żydowskie środowisko rodzimych królów nafty, w niczym nieprzypominające sielskiego obrazka z filmu „Lata dwudzieste, lata trzydzieste". Ale też nie wyjątkowe, co poświadcza przydzielony mu za towarzysza wyprawy Aleksander, którego ojciec dorobił się fortuny na ropie w Teksasie, on natomiast wrócił zza wielkiej wody, oddał się pracy dla Rzeczypospolitej i stawiał retoryczne pytania: „– Myślisz, że Chicago czy Nowy Jork są inne? Taki sam smród i ubóstwo jak na Nalewkach, a może i gorsze, bo się cała biedota włosko-irlandzko-żydowsko-polska eksportowała właśnie tam. Ale widzisz, gówno amerykańskie w Warszawie pachnie niektórym jak fiołki. Tylko dlatego, że wysrał je amerykański koń.

– Albo francuski – dopowiadam.

– Albo irlandzki, albo włoski, albo niemiecki. Wiesz, to mnie zawsze ciągnęło do polskości, że kiedyś to się nie przejmowaliśmy, nie mieliśmy kompleksów, że czegoś nie możemy. Zdławił nas ten wiek dziewiętnasty, no ale…".

No tak, potem był wiek dwudziesty. A w Drohobyczu prawo stanowił nadkomisarz Juliusz Knarp, który miał kłopoty i z bojówkarzami nacjonalistycznymi, i z ONR. „Mam jeszcze – wylicza – komunistów z KP Zachodniej Ukrainy, dalej Żydów z Bundu. A wszyscy nawzajem się tłuką i tną: kijami, laskami, nożami i żyletkami. No i wreszcie samych Ukraińców z OUN. Ja zaś jestem tutaj od tego, żeby ich pilnować, by nie wysadzali albo nie mordowali Bogu ducha winnych ludzi. Siedzimy tutaj, panowie, na beczce prochu. […] ja Ukraińców nawet na swój sposób rozumiem. Oceniam sytuację: robimy tutaj to, co Anglicy w Irlandii. Pod nazwą »tubylcy« nie rozumiem dzikusów, ale tubylców, po prostu. Prawda jest taka, że albo my, albo oni. Nie będzie półśrodków. Przecież tego chciał nieświętej pamięci Jewhen Konowalec z OUN, oderwania lwowskiego, stanisławowskiego i tarnopolskiego od Polski. Jak Collins z Irlandii. To temat na inne rozważania. Dlatego OUN zaraz dogada się z nazistami. Jesteśmy tutaj, żeby pilnować sprawy polskiej i nie dać się zwieść pozorom stabilizacji".

Pamiętajmy: „»Czarne złoto«" to fikcja literacka. Ale porównując obie powieści Pawła Rzewuskiego, widać jak na dłoni takie zapętlenie w stosunkach polsko-ukraińskich, że z trudnością przyjmujemy racje drugiej strony, a o jakimkolwiek symetryzmie nie chcemy słyszeć. Mamy nasze polskie sprawy i polską historię. ©℗



★★★★★★

PAWEŁ RZEWUSKI „»CZARNE ZŁOTO«" WYDAWNICTWO LITERACKIE, KRAKÓW 2026

eprasa.pl dd77bf8fed



PIOTR GOCIEK

POCZYTANKI

Demokracja warcząca

Rzecz napisana jest z wielką ostrożnością, bo temat to prawdziwe pole minowe: w książce reklamowanej jako reportaż Ronen Steinke przygląda się działalności BfV (Federalnego Urzędu Ochrony Konstytucji). Oficjalnie nie jest to „tajna służba", o nie, zastrzegają się Niemcy, jest to tylko instytucja, która nasłuchuje. Gromadzi dane, dla wspólnego bezpieczeństwa.

Prawda jest inna: reportaż zamienia się w akt oskarżenia, bo Steinke przypadek po przypadku wylicza przykłady… no właśnie: łamania prawa, nadużywania prawa, balansowania na granicy prawa? Tu wchodzimy na pole minowe, więc nie skręcajmy na ścieżkę sporu o słowa. Ważniejsze są fakty. A te porażają: agenci BfV inwigilują, manipulują, skłaniają szantażem do współpracy, często wychodząc od dość wątłych przesłanek. Dotyczy zarówno aktywistów lewicowych (mamy tu przykład naukowca protestującego w obronie praw Kurdów i określającego samego siebie mianem komunisty), jak i działaczy prawicy, w tym oczywiście nie tylko tych, którzy naprawdę mają coś na sumieniu, jak neonaziści. Także legalnej opozycji politycznej, jaką jest Alternative für Deutschland.

Nie ma tu miejsca na streszczanie tej opowieści, wyliczę więc główne zarzuty, jakie stawia państwu niemieckiemu autor związany z „Süddeutsche Zeitung". Otóż według Steinkego BfV nie tylko gromadzi informacje, lecz także bezpośrednio wpływa na politykę. Niby nie sięgają po przemoc, ale po pogróżki, szantaż manipulację – owszem. A kto ma zszarganą przez BfV opinię, ten może zapomnieć o dobrej pracy i – co gorsza – o dobrym imieniu. Służba nie jest obiektywna, działa na zlecenie rządu (który wszak nie jest apolityczny), w dodatku omija zasady praworządności obowiązujące np. policję. Czytajcie i przekazujcie dalej, to napisał reporter liberalnej gazety, a nie jakiś „PiS-owski profesor".

W jednym miejscu autor jednak się myli – albo musiał złożyć pewien hołd, by jego książka mogła się ukazać w Niemczech. Otóż zasadniczo uważa, że partie uznane za wrogie demokracji trzeba zgodnie z teorią „militant democracy" Karla Loewensteina szczególnie nadzorować i zwalczać, bo demokracja musi się bronić. Otóż demokracja wykluczająca nie jest już, niestety, demokracją. A to, czy okaże się demokracją walczącą czy warczącą, to już kwestia drugorzędna. Po prostu jej już nie ma. ©℗



★★★★★★

RONEN STEINKE
„OCHRONA KONSTYTUCJI. TAJNE SŁUŻBY I POLITYKA"
INSTYTUT ZACHODNI 2026

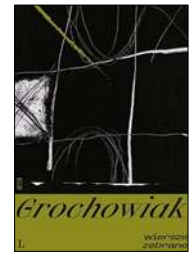
NOWOŚCI KSIĄŻKOWE

Nowa książka znakomitego australijskiego autora; wydawcy kwalifikują ją jako non fiction, ale tę medytację na temat ludzkiego cierpienia i węzłów łączących wielką historię z historią jego własnej rodziny czyta się jak powieść.



RICHARD FLANAGAN
„PYTANIE NUMER SIEDEM"
CZARNE

Pięćdziesiąt lat od śmierci pisarza Anna Romaniuk przedstawia najpełniejszy zbiór jego utworów poetyckich, od wierszy z rękopisów po piosenki. Do tego obszerny wstęp i niemal 100 stron kalendarium życia, twórczości i recepcji.



STANISŁAW GROCHOWIAK
„WIERSZE ZEBRANE"
PIW

Pokazywany często jako figura niezbyt lotna (wierny, ale mierny) Göring w biografii pióra Molitora okazuje się błyskotliwym i niesłychanie ambitnym organizatorem i manipulatorem, a czasem też wizjonerem i strategiem.



ANDREAS MOLITOR
„HERMANN GÖRING. DRUGI CZŁOWIEK TRZECIEJ RZESZY"
ZNAK

Zaskakująca rozmachem i wyobraźnią klasyka francuskiej SF z 1910 r. W odległej przyszłości ludzie próbują przetrwać w świecie bez wody i zagrożonym przez nową, opartą na żelazie formę życia: ferromagnetale. ©℗

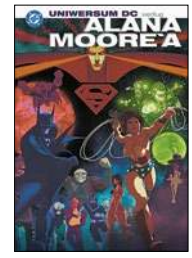
recenzuje Piotr Gociek



J.H. ROSNY
„ŚMIERĆ ZIEMI"
WYDAWNICTWO IX

KOMIKS TYGODNIA:
„KOMIKS I MY" – RETRO

Alan Moore to jeden z najbardziej utalentowanych i oryginalnych, a zarazem ekscentrycznych i szalonych scenarzystów w dziejach komiksu. Jego dorobek to nie tylko „Watchmen" czy „V jak Vendetta", lecz także wiele przygód pisanych dla popularnych serii wydawnictwa DC („Superman", „Batman", „Green Lantern"). Zbierający je tom liczy niemal 500 stron. ©℗



AUTORZY RÓŻNI
„UNIWERSUM DC WEDŁUG ALANA MOORE'A"
EGMONT 2026

Piotr Gociek

eprasa.pl dd77bf8fed

Państwo absolutnie suwerenne



FOT. ADOBE STOCK



Adam Wielomski z Pekinu

Chińczycy uważają, że nie istnieją jakieś uniwersalne i ahistoryczne prawa ludzkie, gdyż zawsze ten, kto je stanowi, za ich podstawę uważa własną kulturę i próbuje narzucić jej standardy jako uniwersalne pozostałemu światu. Dlatego dzisiejsze prawa człowieka to kalka światopoglądowa zachodniego indywidualizmu, w której zawiera się pogarda wobec dziejów, doświadczenia i dorobku innych kultur

Gdy Polska wchodziła do Unii Europejskiej i przyjmowała jako swój projekt globalistyczny, tłumaczono nam, że nie mamy innego wyjścia. Podawano wiele powodów tejże bezalternatywności. Jako politologa szczególnie zafrapowała mnie ówczesna argumentacja o nieuniknionym końcu suwerenności państw. Przez cały czas dźwięczą mi w uszach używane wtedy slogany: „Suwerenność w rozumieniu Jeana Bodina i Thomasa Hobbesa jest w dzisiejszym świecie niemożliwa", „W epoce globalizacji nie ma miejsca dla suwerenności pojętej w rozumieniu Ludwika XIV". Slogany te przypomniały mi się, gdy zacząłem się interesować współczesną chińską myślą polityczną, czytać wydane po francusku i angielsku pisma Xi Jinpinga, a w końcu przez cały czas kołatały mi po głowie w czasie mojej ostatniej wycieczki do Państwa Środka, gdy miałem okazję skonfrontować wiedzę książkową z rzeczywistością.

WŁASNE APLIKACJE

Gdy wysiadłem na lotnisku w Pekinie, to pierwszą rzeczą, która zwróciła moją uwagę, było to, że w mojej komórce nic nie działa. Niewiele zmieniło zastąpienie polskiej karty SIM przez chińską, oprócz tego, że mogłem dzwonić i wysyłać SMS-y bez opłat dochodzących do 10 zł za minutę. Nie działały Google, czyli wyszukiwarka. Bez kłopotu mogłem wejść na polskie strony internetowe, ale tylko na te, których adresy miałem zapisane w skrótach na telefonie. Nie były blokowane. Nie mogłem jednak wyszukać jakiejkolwiek strony przez Google i inne wyszukiwarki amerykańskiego pochodzenia. Nie działają podstawowe dla Polaka media społecznościowe: X, Facebook i YouTube. Oczywiście, mogłem przed wylotem założyć sobie VPN-a i logować się z Singapuru lub Nowego Jorku, lecz tego nie zrobiłem. Trochę chciałem odpocząć od mediów społecznościowych, a trochę obawiałem się, żeby nie nabawić się kłopotów, gdyby tenże VPN został „zdemaskowany", choćby przy kontroli na lotnisku. Obawa okazała się nieporozumieniem, gdyż większość poznanych przeze mnie Chińczyków miała w telefonach VPN-a i wcale się z tym specjalnie nie kryła, mimo że teoretycznie jego posiadanie jest zakazane. Jednak nie bardzo z niego korzystali. Do zachodnich mediów wyraźnie ich nie ciągnie, a ich znajomość języków obcych okazała się

eprasa.pl dd77bf8fed

rzadka. Chińczycy są – jakbyśmy to powiedzieli w narzucanym nam dziś lewicowym języku – ksenofobami i nie interesuje ich pogląd całej reszty świata.

Szybko okazało się, że to, czy coś działa lub nie działa, jest pochodne temu, czy jest to technologia lub aplikacja amerykańska. Nie działa Google, gdyż jest amerykańskie. Nie działa X, Facebook, YouTube. To samo dotyczy kart płatniczych typu Visa i Mastercard. Nie oznacza to, że państwo chińskie, odcinając od tych narzędzi swoich obywateli, dokonuje ich częściowego „wykluczenia elektronicznego". Każda ze wspomnianych aplikacji ma swój chiński odpowiednik: Douyin – chiński TikTok; Bilibili – odpowiednik YouTube; iQiyi – platforma z filmami w rodzaju Netflixa; Weibo, WeChat i Renren – odpowiedniki X i Facebooka. Chińczycy byli zdziwieni, że Polacy nie znają tych aplikacji „które mają przecież wszyscy". WeChat służy także do płacenia drogą elektroniczną, czyli telefon zastępuje karty płatnicze. W przelewach bankowych amerykański system SWIFT zastępuje chiński CIPS. Celem tych wszystkich odpowiedników jest uzyskanie niezależności od wielkich amerykańskich korporacji cyfrowych i bankowych, które mogą współpracować z rządem USA przeciwko Chinom, szantażując rząd tego kraju wyłączeniem Google'a, kart kredytowych czy SWIFT-u. Jest to możliwe nie tylko w teorii. Po oskarżeniu przez Międzynarodowy Trybunał Karny Beniamina Netanjahu o zbrodnię ludobójstwa amerykańskie koncerny wyłączyły wszystkie karty płatnicze sędziom tej instytucji: na stałe Nicolasowi Guillou (Francja), a czasowo Beti Hohler (Słowenia), Luz del Carmen Ibáñez Carranza (Peru) i Kimberly Prost (Kanada). Wyobraźmy sobie szantaż, którego mogliby użyć Amerykanie wobec 1,3 mld Chińczyków, gdyby zależeli od amerykańskich kart kredytowych! Wagę posiadania odpowiednika SWIFT docenili Rosjanie w czasie toczącego się konfliktu zbrojnego z Ukrainą, gdy w ramach sankcji administracja Joe Bidena usunęła firmy rosyjskie z systemu. Eksport i import rosyjski przestałyby istnieć, gdyby nie szybkie podłączenie Rosjan do chińskiego CIPS.

W czasie amerykańskiej wojny napastniczej przeciw Iranowi mogliśmy przekonać się o znaczeniu chińskiego systemu BeiDou – odpowiednika GPS. Amerykanie zaczęli zakłócać GPS w okolicach Zatoki Perskiej, aby uniemożliwić irańskim wojskom rażenie własnych baz za pomocą pocisków balistycznych i dronów. Jednak Persowie nie działali na popularnym GPS, lecz na chińskim BeiDou. W efekcie skutecznie razili (i rażą) amerykańskie cele. Wyobraźmy sobie ewentualny konflikt zbrojny Pekinu z Waszyngtonem, gdyby ten drugi mógł manipulować sygnałem i odczytem GPS!

Podobnych przykładów można wymieniać setki, choćby w postaci szybkiego pościgu Chin za amerykańskimi i tajwańskimi półprzewodnikami, których eksport Donald Trump do niedawna uważał za potężne narzędzie presji na Pekin. Za każdym razem odpowiedź była i jest taka sama: jeśli Amerykanie w czymś mają monopol, to nie błagamy, lecz angażujemy duże pieniądze i ośrodki badawcze, aby ich dogonić i stworzyć podobne narzędzia. Sam pomysł Nowego Jedwabnego Szlaku wpisuje się w tę logikę: skoro Anglosasi dominują w handlu światowym dzięki panowaniu na morzach, to trzeba zbudować największy kolejowy szlak handlowy na świecie, aby drogą lądową połączyć z Chinami Europę i Bliski Wschód.

Amerykanie nie pozostają dłużni i, głosząc zasady wolnego rynku światowego, raz po raz im zaprzeczają, nakładając kolejne cła na kolejne chińskie produkty lub ograniczenia eksportowe, np. w przypadku półprzewodników. Dziennikarze wykryli, że CIA inspiruje na całym świecie kampanie przeciw chińskim produktom zarzucające im, że są kiepskiej wartości i szybko się psują. Dziennikarze śledczy piszą, że CIA ma na ten cel specjalny tajny fundusz, o wielkości którego nie informuje opinii publicznej, podobnie jak o szczegółach robienia czarnego PR-u chińskim produktom. Politykę podobną prowadzi YouTube. Serwis ten nie zakazuje publikacji filmów i materiałów na temat Chin i po przyjeździe z tego kraju zamieściłem na moim kanale cztery filmy reportaże. I nie przypominam sobie, aby dochód z reklam na jakimkolwiek innym filmie był tak niski w stosunku do oglądalności. Średnio jest to zaledwie ok. 40 zł za 10 tys. wyświetleń. Algorytm dobiera do tematyki chińskiej najniżej płatne reklamy. Niczego nie zakazując, YouTube śle mi prosty przekaz: chcesz zarabiać na reklamach, to nie nagrywaj o Chinach. Trwa chińsko-amerykańska wojna handlowo-technologiczno-informacyjna i obydwie strony walczą ze sobą bez pardonu o hegemonię nad światem.

WSPÓLNOTA WAŻNIEJSZA NIŻ JEDNOSTKA

Ostatnio jednym z moich najchętniej studiowanych autorów stał się Xi Jinping. Przeczytałem już ok. 1,5 tys. stron różnych antologii jego pism i z niemalejącym zainteresowaniem czytam kolejne prace. To ciekawa lektura dla politologa, w całości poświęcona problematyce budowy państwa absolutnie suwerennego – którego nie powstydziliby się ani wzmiankowani wcześniej Bodin, Hobbes i Ludwik XIV – a równocześnie stworzeniu państwa turbokapitalistycznego, przez cały czas twierdząc, że jest to „socjalizm o chińskiej specyfice".

Nas jednak interesuje suwerenne Państwo Środka, które Zachód ciągle atakuje za pomocą zideologizowanej formuły praw człowieka. Chińczycy twierdzą, że zachodnie rozumienie praw człowieka nie jest uniwersalne, lecz zachodniocentryczne. Zapisany w prawach człowieka indywidualizm i prawa jednostki to spuścizna obcej Chinom tradycji indywidualistycznej wyniesionej z protestantyzmu, oświecenia, rewolucji francuskiej i liberalizmu. Skądinąd myśl tę potwierdzają badania życiorysów chińskich dysydentów, przeprowadzone przez zachodnich dziennikarzy: ok. 50 proc. z nich należy do radykalnych sekt protestanckich, głównie metodystów i zielonoświątkowców, gdy ogólna liczba protestantów w Chinach to jakieś 2–3 proc., co powoduje, że ich przekaz przeciętnemu obywatelowi tego państwa jest obcy. Chińskie rozumienie praw człowieka nie jest indywidualistyczne, lecz wspólnotowe. Podmiotem praw przyrodzonych są wspólnoty narodowe.

Problem znakomicie ujmują Ai Silin i Qu Weijie: „Teoria jakoby »prawa człowieka były nadrzędne wobec suwerenności państwowej« zakłada, że prawa i wolności jednostki mają wyższy priorytet niż suwerenność państwowa, a szacunek i ochrona praw człowieka stanowią moralną podstawę legitymizacji suwerenności. »Jednostka« jest tu jednak metafizycznym założeniem – jest postrzegana jako samotny, niezależny podmiot moralny, któremu przysługują

eprasa.pl dd77bf8fed

identyczne prawa niezależnie od narodowości, pochodzenia etnicznego, kultury, wiary i wszelkich relacji społecznych. Z perspektywy filozoficznej teoria ta opiera się na ontologii »najpierw jednostka, potem społeczeństwo«.

Jak dowodzą chińscy autorzy, aby cieszyć się prawami, najpierw trzeba zostać uznanym za pełnoprawnego człowieka przez wyzwolenie się z podłego statusu kolonialnego lub półkolonialnego, jak uczyniły w XX stuleciu Chiny, zdobywając własne suwerenne i niepodległe państwo. Tylko ono, a nikt z zewnątrz, może obdarzyć swoich obywateli prawami i egzekwować ich przestrzeganie. Najpierw jest zatem państwo, a dopiero potem mogą istnieć prawa obywatelskie i być przestrzegane prawa człowieka w takim pojęciu, w jakim dane państwo je rozumie.

Xi Jinping twierdzi, że są tylko dwa fundamentalne prawa tak pojętego człowieka wspólnotowego: prawo do posiadania absolutnie suwerennego państwa i prawo do rozwoju ekonomicznego skutkującego wyjściem mas z nędzy. Proponuję się skupić na tym pierwszym prawie, gdyż zawiera ono istotę problemu suwerenności, definiowanej raz po raz jako „prawo do istnienia". Chiński prezydent głosi, że współczesne państwo musi być absolutnie suwerenne, nie może ulegać obcym interwencjom w swoje wewnętrzne sprawy, a obowiązujące prawo międzynarodowe słusznie uznaje równość i bezwarunkową suwerenność wszystkich państw.

Xi Jinping stwierdza „Podkreślamy usilnie, że godność wszystkich państw i wszystkich ludów winna być szanowana. Naciskamy na fakt, że wszystkie państwa są równe, czy są duże czy małe, silne czy słabe, bogate czy biedne. Należy pozwolić każdemu ludowi na wolny wybór jego własnej drogi rozwoju, przeciwstawiać się wszelkiej ingerencji w jego sprawy wewnętrzne i bronić zasady sprawiedliwości międzynarodowej. […] tylko dany lud może orzec, czy obrana przezeń droga rozwoju jest dobra".

Z tych słów wynika, że zasada suwerenności państwa jest postrzegana jako absolutnie pierwotna w stosunku do praw człowieka, szczególnie w ich zachodnim rozumieniu. Z idei praw człowieka nie wypływa i wypływać nie może uprawnienie do ingerencji w stosunki wewnętrzne tych państw, które rzekomo czy rzeczywiście tychże praw nie przestrzegają. Gdy do takiej sytuacji dochodzi, to wtenczas prawa człowieka stają się ideologią hegemonicznego panowania wielkich potęg nad państwami słabszymi. Xi Jinping nawet nie ukrywa, że chodzi mu o amerykańskie roszczenia do interwencji w sprawy wewnętrzne innych państw pod pretekstem ochrony praw człowieka. W istocie chińskie prawo do istnienia jest bliskie XIX-wiecznemu europejskiemu prawu narodów do samostanowienia, decydowania o posiadaniu własnego państwa i samodzielnego ukonstytuowania jego ustroju politycznego bez oglądania się na opinię całego świata dookoła. Amerykanie mają prawo zbudować sobie liberalną demokrację, Chińczycy liberalny autorytaryzm etc. I nikt nie będzie Chińczyków pouczał, gdyż są najstarszą cywilizacją świata, której pisemne świadectwa liczą sobie ok. 6 tys. lat, gdy cywilizacja amerykańska to zaledwie licząca 250 lat „świeżynka". Ta potęga i legitymizacja przez 6 tys. lat tradycji jest bezustannie przypominana światu. Młodszym nie wypada pouczać starszych.

Według Xi Jinpinga z idei praw człowieka nie wypływa i wypływać nie może uprawnienie do ingerencji w stosunki wewnętrzne tych państw, które rzekomo czy rzeczywiście tychże praw nie przestrzegają

IZRAEL JAKO WYJĄTEK

Czy oznacza to, że zasada suwerenności państwa jest tak absolutna, że żadne zdarzenia nie mogą spowodować jej uchylenia? Z zasady „prawa do istnienia" wynika, że – podobnie jak u Hobbesa – państwo istnieje, aby jego obywatele mogli żyć i spokojnie przeżyć swoje życie. Czyli prawo do życia jest ważniejsze niż suwerenność, szczególnie gdy nie chodzi o pojedynczą jednostkę, lecz o cały naród czy populację. Dlatego Chińczycy głoszą pogląd o tzw. minimalizmie praw człowieka. Uważają, że nie istnieją jakieś uniwersalne i ahistoryczne prawa ludzkie, gdyż zawsze ten, kto je stanowi, za ich podstawę uważa własną kulturę i próbuje narzucić jej standardy jako uniwersalne pozostałemu światu. Dlatego dzisiejsze prawa człowieka to kalka światopoglądowa zachodniego indywidualizmu, w której zawiera się pogarda wobec dziejów, doświadczenia i dorobku innych kultur. Zasada suwerenności państwa to naturalny prawny argument zabezpieczający państwa przed tą inwazyjną ideologią. Minimalizm praw człowieka zakłada tylko jeden wyjątek, gdy interwencja zagraniczna może być uprawniona: zaplanowane i realizowane masowe akty ludobójstwa, wobec których ludzkość nie może przejść i udawać, że ich nie dostrzega. Dlatego Pekin tak głośno i stanowczo krytykuje politykę Izraela, często na mapach zaznaczając, że ziemie Izraela to „Palestyna". Każdy inny przypadek zgody na interwencję w cudze sprawy otwiera drogę do negacji zasady suwerenności, prowadząc do powtarzających się agresji amerykańskich na mniejsze państwa pod pretekstem obrony praw człowieka.

Wyjąwszy ten jeden jedyny wyjątek, Chińczycy samo posiadanie suwerennego państwa uznają za pierwsze prawo człowieka. Postawa ta staje się zrozumiała na tle tutejszej historii, szczególnie zaś tzw. wieku upokorzenia, gdy będące mocarstwem jeszcze w XVII i XVIII stuleciu Chiny, w XIX w. nagle spadły do roli półkolonii dla Amerykanów i Europejczyków. W pierwszej połowie XX w. dodatkowo doszedł podbój i okrutna okupacja połowy kraju przez Japończyków. Wszystko to razem wytworzyło głęboką narodową traumę i niezwykle mocne przeczulenie na punkcie suwerenności – zarówno własnej, jak i innych państw, co ostatecznie spowodowało wyniesienie zasady „istnienia" narodu w formie suwerennego państwa do zasady powszechnej i rangi podstawowego prawa człowieka.

Reasumując, dochodzimy do ciekawego paradoksu. Jako największy eksporter na świecie Chiny są zainteresowane budową i utrzymywaniem światowego wolnego rynku, czyli pogłębianiem globalizacji ekonomicznej. Nie łączą jej jednak z globalizmem, czyli ideologią promującą integrację państw i polityczne zjednoczenie świata. Pekin wolny rynek światowy łączy z niezwykle rygorystycznie pojętą zasadą suwerenności państwa.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl dd77bf8fed

Jak opowiadać polską historię Wrocławia



Marcin Skalski

Opowieść o wielowiekowej polskiej historii Wrocławia mogłaby być przykładem propagandy politycznej najwyższej próby, z którą prawda historyczna nie musi akurat iść na kompromis. Wymagałoby to jednak zgłębienia dziejów swojego narodu, a także przezwyciężenia własnej głupoty i kompleksów

Dyskusja nad stosunkiem Polaków do dziedzictwa historycznego we Wrocławiu ostatnim razem eskalowała ze względu na dwie nieodległe w czasie decyzje podjęte wobec miejscowych zabytków. Pierwsza z nich dotyczyła rzekomej zamiany polskiego godła państwowego na portret króla Prus Fryderyka II Wielkiego w reprezentacyjnej Auli Leopoldina Uniwersytetu Wrocławskiego. Druga, podjęta przez konserwatora zabytków, wzbudziła z kolei kontrowersje z uwagi na przywrócenie przedwojennego napisu na Moście Grunwaldzkim z jego niemiecką nazwą: Most Cesarski.

Przekonanie, że pielęgnowanie miejscowej spuścizny historycznej nieuchronnie musi wiązać się z oddaniem hołdu jej niepolskiemu w danym przypadku rodowodowi, należy jednak odczytywać jako wyraz wciąż towarzyszących naszemu narodowi kompleksów. Na przykładzie Wrocławia można się jednak przekonać, że rzadko kiedy dzieje danego miejsca widziane są tak samo przez różne zainteresowane strony. W rzeczywistości, opowiadane na liczne i niewykluczające się wzajemnie sposoby, zawsze oddają one po prostu jedną z narodowych i subiektywnych perspektyw. Historia Śląska nie jest tu wyjątkiem, a do swojego punktu widzenia mają prawo przede wszystkim Polacy. Polski Wrocław nie pojawił się przecież wyłącznie na gruzach niemieckiego Breslau. Trwał on przez wieki w naszych rodakach, w polskim słowie i w materialnym dziedzictwie kulturowym.

WIĘŹ ETNICZNA

Jedna z wiodących teorii o początkach przynależności Śląska wraz z Wrocławiem do monarchii Piastów głosi, że obszar ten został zbrojnie odebrany Czechom, którzy z kolei wcześniej podporządkowali sobie ziemie Ślężan po upadku Wielkich Moraw. Próby rewindykacji Śląska przez Czechów zakończyły się niepowodzeniem i najpóźniej w roku 990 region podlega już władzy Mieszka I. W 1000 r., w wyniku słynnego zjazdu w Gnieźnie, Wrocław staje się z kolei jednym z trzech biskupstw podległych gnieźnieńskiej metropolii kościelnej. Tutaj bije także swoją monetę Bolesław Chrobry – denara, który jest widocznym znakiem książęcej władzy.

To właśnie we Wrocławiu przebywa również Chrobry podczas oblężenia Niemczy, mającego miejsce w 1017 r., w trakcie niemieckiego najazdu. Cesarza Henryka II wspierają także jego czescy wasale. „Bolesław oczekiwał z niepokojem we Wrocławiu na wynik oblężenia. Gdy dowiedział się, że cesarz odjechał, a gród stoi nienaruszony, weselił się w Panu i brał udział w świeckiej radości swoich wojów" – odnotowywał niemiecki kronikarz Thietmar z Merseburga. Jest to jedna z kilku wojen polsko-niemieckich toczonych za panowania Bolesława, który umacnia swą władzę, a także broni i rozszerza granice państwa.

Polityczne i militarne dzieło Chrobrego bez wahania można nazwać narodotwórczym, a jednymi ze świadków tego podejmowanego ogniem i mieczem trudu są Wrocław i Dolny Śląsk. Współcześni wrocławscy historycy podkreślają także znaczenie ówczesnej więzi etnicznej, pisząc w monografii miasta:

„Bolesław jako pierwszy przyjął tytuł »Princeps Poloniae«. Jakże silna musiała być od samego początku manifestacja i propaganda idei więzi etnicznej, skoro już wówczas w świadomości pisarzy obcych i miejscowych utrwaliły się jednolite pojęcia »Polonia« i »Poloni« na oznaczenie terytorium państwa, ciągle jeszcze rozczłonkowanego i złożonego z różnoplemiennej przecież ludności" (Wydawnictwo Dolnośląskie, 2001).

Trudno nie przyznać racji autorom – idea władzy suwerennej wewnętrznie i zewnętrznie przetrwała upadek państwa Bolesława, reakcję pogańską, a także najazd czeski. To także dzięki niej Kazimierz Odnowiciel odbudował polską państwowość, a w roku 1050 odzyskał z rąk Czechów Śląsk wraz z Wrocławiem.

Król Bolesław Chrobry doczekał się pomnika we współczesnym polskim Wrocławiu. Koń, którego dosiadł monarcha, sprawia jednak wrażenie wycofanego, przestraszonego. Sam rumak jest odchylony i zupełnie nie licuje z ekspansywnym charakterem ujeżdżającego go władcy. Chociaż Chrobry jest przedstawiony w opisie pomnika jako „pierwszy koronowany władca Polski", to uczyniono

eprasa.pl dd77bf8fed

z niego także „sojusznika papiestwa i cesarstwa w idei zjednoczenia Europy w roku 1000" – co wpisuje się w polit-poprawną propagandę marginalizującą zarówno wojny Chrobrego z cesarstwem, jak i podniesienie przez niego suwerenności władzy monarszej do rangi racji stanu. Profesor Stanisław Rosik z Instytutu Historycznego Uniwersytetu Wrocławskiego twierdzi wręcz, że „pomnik Chrobrego został postawiony w bardzo konkretnej intencji: wskazania wagi jednoczenia się Europy", co z kolei – jak uważa historyk – ma być przedstawione jako prototyp Unii Europejskiej.

PRZECIWKO NIEMCOM

Dalsze koleje dziejów piastowskiej monarchii również podają w wątpliwość wspólnotę celów niemieckiego cesarstwa oraz państwa polskiego. Podczas kolejnej z polsko-niemieckich wojen cesarz Henryk V dokonuje wraz ze swymi czeskimi wasalami najazdu, w trakcie którego dochodzi do legendarnej i silnie zakorzenionej w zbiorowej świadomości Polaków obrony Głogowa w 1109 r. Co ważne, obrona ta była tyleż skuteczna, co heroiczna. Niemcy przywiązują bowiem do maszyn oblężniczych wzięte na zakładników dzieci polskich obrońców, a ich uwolnienie uzależniają od poddania się miasta. Jednak książę Bolesław Krzywousty odmawia, a wedle relacji Galla Anonima ma odpowiedzieć agresorom: „Lepiej będzie i zaszczytniej, jeśli zarówno mieszczanie, jak i zakładnicy zginą od miecza za ojczyznę, niż gdyby, kupując zhańbiony żywot za cenę poddania grodu, mieli służyć obcym".

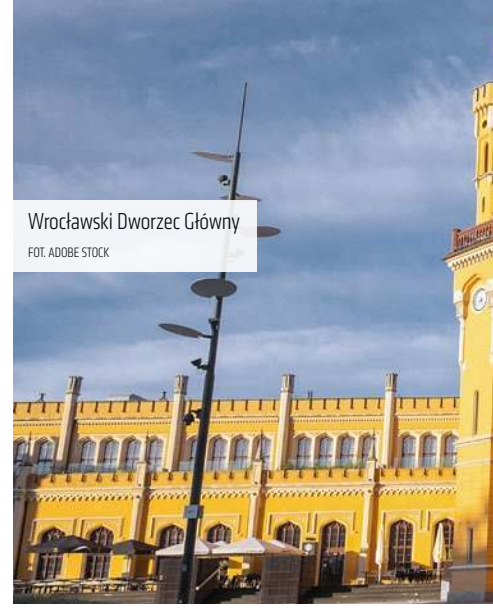
Sama obrona Głogowa jest dziś upamiętniona w tym dolnośląskim mieście efektownym pomnikiem odsłoniętym w 1979 r. Pod kamienną bryłą imitującą maszynę oblężniczą, na której przedstawiono rozkrzyżowane dzieci, znajdują się zaś tablice ze wspomnianym cytatem z „Kroniki polskiej" Galla Anonima po polsku i po łacinie. Na tym odsłoniętym przecież jeszcze w czasach PRL upamiętnieniu próżno jednak szukać jakichkolwiek kontekstów innych niż stricte polskie, dlatego też w III RP taki nazbyt „nacjonalistyczny" pomnik powstać raczej nie miałby prawa. Wszakże w tym samym Głogowie nie stanął nawet planowany na millennium podniesienia Korony Królestwa Polskiego pomnik naszego pierwszego króla. Chlubnym wyjątkiem jest za to nieodległy Lubin, który od 2024 r. może poszczycić się rzeźbą przedstawiającą dumnego polskiego monarchę w wojowniczej pozie. Na deficyt tego typu upamiętnień zwrócił uwagę Marek Zawadka, dyrektor miejscowego Muzeum Historycznego: „Uważam, że dużo miast na ziemiach zachodnich powinno postawić pomnik i Chrobremu, i pionierom, którzy przyjechali tutaj w 1945 r. Lekceważymy sobie tę historię" – podkreślał.

Panowanie księcia Krzywoustego skutkuje tymczasem, jak wiadomo, rozbiciem dzielnicowym. Dzieło terytorialnego odrodzenia Korony Królestwa Polskiego podejmują w XIII w. Piastowie śląscy: Henryk I Brodaty oraz jego syn Henryk II Pobożny. Tego drugiego z książąt papieski legat nazwie z kolei mianem „Henricus christianissimus princeps Poloniae" – najbardziej chrześcijańskiego księcia Polski. Śmierć Henryka Pobożnego w słynnej bitwie pod Legnicą w 1241 r. uniemożliwia jednak zjednoczenie ziem Królestwa Polskiego, o co książę zabiegał za życia.

„TE DZIECI SĄ POLACY"

W wiekach X–XII rdzenna ludność Wrocławia była etnicznie polska, obcokrajowcy zaś byli reprezentowani jedynie przez członków stanu duchownego. Na początku XII w. kronikarz Gall Anonim określa Wrocław mianem „sedes regni principalis" – jedną z trzech stołecznych siedzib królestwa, na równi z Krakowem i Sandomierzem. W okresie piastowskim początki swe biorą znajdujące się na Ostrowie Tumskim, czyli w najstarszej osadzie miasta, m.in. Kościoły św. Marcina, św. Idziego, późniejszy Kościół śś. Piotra i Pawła oraz, rzecz jasna, sama archikatedra wrocławska. W Kościele Świętego Krzyża z XIII w. polskie kazania wygłaszano z kolei aż do roku 1919. Podczas wizyty we Wrocławiu w 1821 r. Mszy Świętej wysłuchuje tu Julian Ursyn Niemcewicz, który wspomina potem „wyborne polskie kazanie, co do języka prawdziwie staroświeckiej wymowy i treści".

Z czasów piastowskich pochodzą także świątynie znajdujące się na prawobrzeżu Odry: w Kościele św. Wojciecha kazania i pieśni polskie zostały zlikwidowane dopiero za rządów Prusaków w 1819 r.; taką samą decyzję podjęto wobec sporadycznych już wtedy polskich nabożeństw



Wrocławski Dworzec Główny
FOT. ADOBE STOCK

w Kościele św. Maurycego. Jeszcze pod koniec XVIII w. do parafii tej należały z kolei liczne, czysto polskie wsie położone 4–10 km od centrum miasta.

Tymczasem świadomość polskiej przeszłości Wrocławia skłania XV-wiecznego mistrza polskiej propagandy politycznej Jana Długosza do następujących rozważań: „Wrocław był częścią Królestwa Polskiego i za zmiłowaniem Bożym wróci do jedności z całością Królestwa Polskiego, kiedy Pan zmiłuje się nad ludem polskim" – pisał. Podobnie wybrzmiewa relacja pochodząca z połowy XIX w., która – choć nie ukrywa nieubłaganych dla polskości realiów – to obiera podobny punkt odniesienia w historii.

„Polaków, zdaje się, nie ma. Ale szukaj pilniej, przysłuchuj się lepiej. Na ulicach opadną cię dzieci obdarte i nic nie mówiąc, będą do ciebie wyciągały ręce. Te dzieci proszą o jałmużnę – nic nie mówią, bo nie wiedzą, czy ich zrozumiesz. Ale odezwij się po polsku, to one ci po polsku odpowiedzą. Te dzieci są Polacy, wydziedziczeni właści-



Pomnik Bolesława Chrobrego we Wrocławiu
FOT. ADOBE STOCK

eprasa.pl dd77bf8fed



ciele polskiej ziemi i polskiego miasta" – wspomina autor korespondencji z Wrocławia, która ukazała się w 1859 r. Tym samym teza o PRL-owskim rodowodzie terminu Ziem Odzyskanych nie wytrzymuje konfrontacji z faktami. Królewska i piastowska przeszłość Wrocławia były częścią słownika propagandy politycznej nawet wtedy, gdy miejscowi polscy autochtoni stanowili już niemal wyłącznie miejski proletariat. Obejmujący władzę w Polsce komuniści nie wymyślili więc koła na nowo, mówiąc po drugiej wojnie światowej o odzyskaniu pradawnych ziem piastowskich.

STARE MIASTO PIASTÓW

A to przecież właśnie na Dolnym Śląsku zostaje utrwalone zdanie uznawane za najstarsze zapisane w języku polskim. Było to: „Daj, ać ja pobruszę, a ty poczywaj" z „Księgi Henrykowskiej" z lat 70. XIII w., która jest kroniką miejscowego opactwa cysterskiego. W samym Wrocławiu polszczyzna również po raz pierwszy ukazuje się w druku – są to modlitwy „Ojcze nasz", „Zdrowaś Mario", „Wierzę w Boga" wydane w 1475 r. Tymczasem wśród drukowanych we Wrocławiu jeszcze w XVIII w. książek, śpiewników, modlitewników oraz czasopism spory odsetek stanowią pozycje polskojęzyczne, w czym przodowała firma wydawnicza rodziny Kornów. Z kolei w samym roku 1806 posiadała ona w swoim katalogu aż 58 tytułów po polsku.

Jeszcze za rządów austriackich usiłowano jednak zapobiegać rozszerzaniu się polskich wpływów na Dolnym Śląsku, ograniczając np. napływ Polek do żeńskich klasztorów w Trzebnicy oraz w samym Wrocławiu. W pierwszej połowie XVIII w. polityka ta ulega zmianie, w związku z czym wrocławska akademicka oficyna ojców jezuitów wydaje wówczas także liczne publikacje po polsku. Następnie niemal cały Śląsk dostaje się pod władzę Prusaków, stając się później częścią zjednoczonych Niemiec. W 1911 r. niemiecki i pruski następca tronu odczytuje na Uniwersytecie Wrocławskim list swojego ojca, cesarza Niemiec Wilhelma II, w którym stolicę Dolnego Śląska nazywa on „starym miastem Piastów, gdzie narodom słowiańskim najpierw zabłysło światło chrześcijaństwa i gdzie słupy graniczne kultury niemieckiej przesunięte zostały na wschód".

Obecność żywiołu polskiego we Wrocławiu potwierdza tymczasem możliwość składania od czasów przejęcia miasta przez Prusy przysięgi przez przedstawicieli zawodów zaufania publicznego po polsku. W języku polskim władza pruska publikowała także swe oficjalne zarządzenia. W wieku XIX Wrocław jest zaś na tyle istotnym ośrodkiem polskiego słowa, że pod względem liczby pozycji wydawniczych w ojczystej mowie dystansują go jedynie Warszawa, Wilno, Kraków, Lwów i Poznań, czyli główne miasta przedrozbiorowej jeszcze Rzeczypospolitej. Natomiast na przełomie wieków XIX i XX do napływających do miasta Polaków należało łącznie kilkaset restauracji, hoteli, aptek i drogerii, a sporadycznie nawet małe fabryki. Miejscowa ludność polska długo utrzymywała się za to na dolnośląskiej prowincji oraz na obrzeżach Wrocławia, choć władze pruskie systematycznie pozbawiały ją polskich nabożeństw czy też lekcji ojczystego języka w szkołach. Mimo tego rodzimy żywioł polski, choć już znacznie przerzedzony, jeszcze w połowie XIX w. sięgał po sam Wrocław.

GŁUPOTA I KOMPLEKSY

Gdy współczesny polski Uniwersytet Wrocławski pisze na swojej stronie, że Fryderyk II – którego wizerunek odzyskała po remoncie Aula Leopoldina – „wspierał polską mniejszość na Dolnym Śląsku", to można to zrzucić na karb niewiedzy bądź ignorancji. W końcu to właśnie ten władca wydaje pierwsze zarządzenia germanizacyjne na Śląsku, a ustępstwa względem polszczyzny wynikają z realiów, czyli liczebności jej użytkowników muszących rozumieć przecież urzędowe komunikaty. Jednakowoż polskie godło nie tyle zamieniono na wizerunek pruskiego króla, ile „jedynie" usunięto z zabytkowej uniwersyteckiej auli. Dla przywrócenia jej wyglądu z XVIII w., gdy Orła Białego być tam przecież nie mogło, niepotrzebnie jednak zafałszowano historię wielosettysięcznej swego czasu społeczności polskich Dolnoślązaków, o których przypomniano sobie akurat w najbardziej niefortunnym kontekście. Z pewnością nasi pobratymcy zasługują na dużo lepsze upamiętnienie niż wspominanie rzekomych zasług germanizatorów Śląska.

Co innego jednak, gdy obiekt użyteczności publicznej, którym jest przeprawa przez Odrę, odzyskuje inskrypcję upamiętniającą Hohenzollernów, bo właśnie do tej dynastii odwołuje się nazwa Mostu Cesarskiego. Celem odzyskania Wrocławia przez Polskę było przecież nie tylko usunięcie politycznych skutków ich panowania na Śląsku, lecz także widocznych śladów ich bytności. Historyczna obecność i późniejszy los polskich autochtonów na Dolnym Śląsku wskazują za to, że jako naród naprawdę wróciliśmy na te z wielkim trudem odzyskane dla polskości ziemie. W związku z tym pomysł odtwarzania w polskim mieście upamiętnień niemiecko-pruskiej dynastii to przejaw zarówno głupoty, jak i kompleksów wobec cudzej historii. To również porzucenie lojalności wobec ludzi, z którymi łączyły nas więzy krwi, tak istotne dla budowy wspólnoty narodowej już od czasów Chrobrego. Perspektywa sui generis na dzieje Wrocławia w niczym więc nie urąga prawdzie historycznej. Najpierw trzeba jednak chcieć ją obrać.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl dd77bf8fed



Przewodniczący episkopatu USA, abp Paul Coakley, podkreśla, że każda aborcja „oznacza śmierć dziecka i krzywdę matki" FOT. JULIO CESAR CHAVEZ/REUTERS/FORUM

Biskupi USA walczą z aborcją



Paweł Chmielewski

Za pontyfikatu papieża Franciszka Watykan próbował przerzucić ciężar zainteresowania amerykańskich biskupów z aborcji na inne problemy. Wszystko wskazuje na to, że to się nie udało

Aborcja została zalegalizowana w Stanach Zjednoczonych w 1973 r. Od tego czasu za oceanem zabito dziesiątki milionów dzieci. Kościół katolicki nigdy nie zaakceptował tego dramatycznego stanu rzeczy. Inaczej niż w wielu krajach europejskich, gdzie dzieciobójstwo prenatalne również doczekało się uznania prawnego, w Ameryce nie brakuje biskupów, którzy stanowczo wspierają ruch pro-life i ostro krytykują polityków aprobujących aborcjonizm. Przecież to właśnie w Stanach Zjednoczonych toczy się żywa batalia o dopuszczanie takich polityków do Komunii Świętej – i są tacy hierarchowie, którzy po nazwisku wskazują ludzi wykluczonych od sakramentów. W Europie rzecz nie do pomyślenia… Nawet w Polsce Komunii Świętej udziela się bezrefleksyjnie każdemu politykowi, a kiedy jakiś ksiądz odważy się na wierność wyższym zasadom – jak zrobił to swego czasu kapłan z Warszawy, który odmówił Eucharystii Szymonowi Hołowni – wybucha powszechne oburzenie.

LUDOBÓJCZE PRAKTYKI

Dla Amerykanów kwestia aborcji pozostaje priorytetowa. To słuszne, bo jeżeli państwo dopuszcza zabijanie dzieci nienarodzonych, to w sposób fundamentalny i kategoryczny wyklucza się z grona prawdziwie cywilizowanych wspólnot politycznych. Franciszek próbował jednak zmienić duszpasterskie ukierunkowanie amerykańskiego episkopatu. Papież z Argentyny wprawdzie wielokrotnie piętnował aborcję, porównując ją do „wynajęcia płatnego mordercy", ale w praktyce blokował bardziej spektakularne działania i wyraźnie wspierał tych hierarchów, którzy uważali zabijanie nienarodzonych za problem równoważny z innymi.

Tak było w 2021 r., krótko po objęciu prezydentury przez nominalnego katolika, Joe Bidena. Polityk nie krył zdecydowanego wsparcia dla aborcjonizmu; już w pierwszych decyzjach politycznych przywrócił finansowanie tej ludobójczej praktyki poza granicami Stanów Zjednoczonych. Konsekwentnie walczył ze wszystkimi, którzy starali się aborcję ograniczyć. Kiedy w 2022 r. amerykański Sąd Najwyższy uchylił orzeczenie z 1973 r. i pozwolił poszczególnym stanom na swobodne ograniczanie „prawa" do aborcji, Biden manifestował oburzenie. Przeszedł do czynów, ułatwiając przesyłanie pocztą śmiercionośnych pigułek aborcyjnych. Amerykańscy biskupi widzieli, co się dzieje. Próbowali nawet kategorycznie napiętnować Bidena, ale na przeszkodzie… stanął Watykan. W episkopacie USA zapadła decyzja o przygotowaniu specjalnego listu duszpasterskiego na jesień 2021 r., gdzie wprost wskazano by błędy Bidena i innych proaborcyjnych demokratów. Plany nie zostały jednak zrealizowane. Grupa liberalnych kardynałów z Ameryki poleciała do Rzymu i uzgodniła kontratak. Stolica Apostolska skierowała pismo do ówczesnego przewodniczącego Konferencji Episkopatu USA, wskazując, że planowany list może zostać opublikowany – ale tylko pod warunkiem, że będzie miał jednogłośne poparcie wśród biskupów. Rzecz niemożliwa do spełnienia. Dictum okazało się skuteczne; faktycznie opublikowany list był w tonacji dość słaby i nie zawierał jasnego potępienia postawy Joe Bidena.

KTO ZASŁUGUJE NA POTĘPIENIE?

Oporem wobec nadawania aborcji priorytetu kierował kard. Blase Cupich,

eprasa.pl dd77bf8fed

arcybiskup Chicago. Ten liberalny hierarcha od lat głosi koncepcję „bezszwowej szaty", po angielsku – „seamless garment". Koncepcja zakłada, że cała etyczna nauka Kościoła jest ze sobą tak ściśle połączona, że nie można niczego z niej wyjmować i priorytetyzować. Koncepcję stworzył jeden z poprzedników Cupicha w Chicago, Joseph Bernardin. Innymi słowy, nie należy wskazywać aborcji jako szczególnego problemu, ważniejszego od innych kwestii – takich jak imigracja, ubóstwo, ekologia czy trudności osób starszych. Wszystko trzeba traktować na równi!

To brutalna ocena, ale wydaje mi się w pełni uzasadniona: otóż koncepcja „bezszwowej szaty" jawi się jako liberalno-demokratyczna wersja bizantynizmu. Pozwala na zachowanie pełnej zgodności pomiędzy Kościołem a Partią Demokratyczną. Jeżeli jakiś polityk z tego ugrupowania jest zagorzałym aborcjonistą, ale zarazem broni imigrantów albo walczy z ubóstwem, to w myśl omawianej koncepcji nie zasługuje wcale na potępienie. Jeden punkt na minus, dwa na plus… Republikanin może być za to kategorycznie antyaborcyjny, ale chce uszczelniać granice i nie prowadzi jakiejś szczególnej kampanii na rzecz walki z ubóstwem. Dwa na minus, jeden na plus. Demokrata wygrywa! Cóż, demokraci dysponują dużymi pieniędzmi, a w wielu regionach USA ustaliła się współpraca Kościoła i reprezentantów tego ugrupowania. Dlaczego kwestia aborcji miałaby stawać temu nagle na drodze?...

Papież Franciszek poparł linię Cupicha nie tylko wspomnianym aktem z 2021 r. Według relacji samego Bidena miał mu powiedzieć, że jest „dobrym katolikiem"; prezydent USA przyjmował w Rzymie Komunię Świętą, to samo robiła równie proaborcyjna Nancy Pelosi, ówczesna spiker Izby Reprezentantów. Kiedy o fotel prezydenta USA rywalizowali skrajnie lewacka Kamala Harris i Donald Trump, Franciszek powiedział, że oboje są siebie warci, bo Harris popiera aborcję, a Trump jest przeciwko imigrantom.

Następca Jorge Maria Bergoglia, Leon XIV, wydaje się stać na dokładnie tym samym stanowisku. Jeszcze przed objęciem urzędu papieskiego odbierał doktorat honoris causa na Uniwersytecie Chiclayo w Peru; wygłosił wtedy mowę pochwalną na cześć koncepcji „bezszwowej szaty", wprost wymieniając Cupicha i Bernardina. Jesienią 2025 r. w spontanicznej wypowiedzi dla dziennikarzy stwierdził, że jeżeli ktoś sprzeciwia się aborcji, ale zamyka granice dla imigrantów, to nie jest wcale pro-life. Polityka personalna USA za Leona nie różni się wiele od tej, którą prowadzono za Franciszka – według amerykańskich komentatorów Cupich ma nadal bardzo wiele do powiedzenia w sprawie obsady diecezji.

A jednak… Amerykańscy biskupi zajmują się wieloma tematami, również imigracją – ale aborcja pozostaje dla nich czymś wyjątkowym. Jeszcze za życia Franciszka, bo w listopadzie 2023 r., ogłosili, że problematyka zabijania dzieci nienarodzonych będzie mieć szczególny status w rekomendacjach wyborczych przed wyścigiem o prezydenturę w kolejnym roku. Jak wskazali, z powodu aborcji zabija się w USA ponad milion dzieci rocznie – i właśnie dlatego ta sprawa musi pozostać dla Kościoła „najwyższym priorytetem".

MODLITWY O ZAKOŃCZENIE PLAGI

To samo widać w tym roku. Biskupi USA postanowili zająć się narastającym problemem aborcji farmakologicznych, które ułatwił Biden w reakcji na decyzję Sądu Najwyższego. Dziś większość zabójstw dzieci poczętych w USA dokonuje się właśnie za sprawą przyjmowania tabletek o działaniu wczesnoporonnym. W sierpniu 2026 r. Komisja Konferencji Episkopatu USA do spraw działań pro-life ogłosiła, że rozpoczyna specjalną ogólnonarodową inicjatywę w tej kwestii. Wezwano wiernych do intensywnej modlitwy o zakończenie plagi aborcji aż do końca października – miesiąca, który w USA jest tradycyjnie poświęcony inicjatywom pobożnościowym wymierzonym w aborcjonizm.

Jak podkreślił przewodniczący episkopatu USA, abp Paul Coakley, każda aborcja „oznacza śmierć dziecka i krzywdę matki". „Na skutek łatwiejszego dostępu do pigułek aborcyjnych liczba aborcji dramatycznie się zwiększa" – dodał. Biskupi chcą, by wierni modlili się do Boga zwłaszcza za wstawiennictwem św. Józefa jako obrońcy życia. Katolików wezwano też do wysyłania e-maili do instytucji powiązanych z aborcją celem wskazywania fundamentalnego zła tej procedury. Arcybiskup Coakley razem z biskupem Danielem Thomasem, szefem komitetu do spraw pro-life, skrytykowali też działalność rządowej Agencji Żywności i Leków, która za Bidena dopuściła swobodę handlu środkami wczesnoporonnymi. Pomimo zmiany prezydenta Agencja nie odeszła od swojej polityki – a nawet zatwierdziła w 2025 r. dopuszczalność w obrocie nowego środka aborcyjnego, co środowiska pro-life ostro krytykują, zarzucając administracji Donalda Trumpa rażącą bezczynność i hipokryzję.

Świadomy katolicyzm w Stanach Zjednoczonych jest w coraz większej mierze konserwatywny. Odejście od liberalizmu w stronę ortodoksji obrazuje postawa obecnego wiceprezydenta USA, J.D. Vance'a. Polityk pojawił się niedawno nawet na Mszy trydenckiej, co w kontekście obecnych sporów jest jasną manifestacją wierności wobec tradycyjnego, rzetelnego nauczania Kościoła. Kiedy nominalnie katolicka gubernator stanu Massachusetts, Maura Healey, zniosła w sierpniu wszystkie ograniczenia czasowe dotyczące aborcji, abp Coakley nazwał to publicznie mianem „skandalu" i „wielkiego ciosu" w cały amerykański ruch pro-life, a biskupi z Massachusetts pisali o „ciężkiej niemoralności" i wezwali lokalny senat do tego, by odrzucił decyzję demokratycznej gubernator.

Można mieć nadzieję, że pomimo wysiłków liberalnego stronnictwa w Kościele w USA, wspieranego przez chętnych do zgniłych kompromisów dyplomatów z Watykanu, walka z aborcją nadal pozostanie priorytetem wiodącej części amerykańskich biskupów. Jak zwykle naprawdę wiele zależy od katolików świeckich oraz ich politycznego zaangażowania. Im więcej w polityce przekonanych katolików, którzy nie wahają się akcentować ortodoksji, tym łatwiej hierarchom Kościoła odważnie walczyć o prawdę. To lekcja także dla nas, Polaków – tym ważniejsza, że wielkimi krokami zbliża się kolejna kampania wyborcza. Oby politycy otwarcie przyznawali się do pełnego posłuszeństwa nauce Kościoła, bez żadnych wyjątków.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest publicystą portalu PCh24.pl.

eprasa.pl dd77bf8fed

Inaczej niż Michnik



Józef Dajczgewand przed Uniwersytetem Warszawskim podczas obchodów 40. rocznicy wydarzeń marcowych, 7 marca 2008 r. FOT. JACEK WAJSZCZAK/REPORTER

Filip Memches

Mimo że ekipa gomułkowska sięgnęła wobec Józefa Dajczgewanda po antysemicką retorykę, to on sam nie dał się wkręcić w powtarzanie dętej tezy o tym, że antysemityzm był grzechem głównym komunistów rządzących Polską u schyłku lat 60.

Wydarzenia marcowe roku 1968 w Polsce są do dziś różnie interpretowane. Jedna z najbardziej rozpowszechnionych opowieści brzmi: wolnościowy bunt przeciw reżimowi Władysława Gomułki podniosła warszawska młodzież, ale o specyficznym rodowodzie. Uczestnicy protestów pochodzili z domów dygnitarzy o korzeniach żydowskich, których jednak spychano w aparacie władzy na boczny tor, gdyż domagali się reformy systemu. Kontekstem tej sytuacji było to, że owi działacze odgrywali znaczącą rolę polityczną w czasach stalinowskich, potem jednak przeszli na pozycje rewizjonistyczne. Tak więc władza, tłumiąc studencką rewoltę, nie tylko postanowiła się rozprawić z młodymi opozycjonistami, lecz także jednocześnie utrzeć nosa dysydenckiej frakcji w łonie rządzącej partii komunistycznej.

Znamienne, że ta opowieść może odpowiadać ludziom z dwóch „baniek", które – jeśli chodzi o stosunek do Marca '68 – między sobą mocno się różnią. W jednej z nich obowiązuje następujący przekaz: w wydarzeniach marcowych ujawniła się istota realnego socjalizmu w wersji PRL-owskiej, czyli skrywany za fasadą głoszonej oficjalnie ideologii komunistycznej polski nacjonalizm. Oto młodzi romantycy oddani szlachetnym lewicowym ideałom padli ofiarą ponurych, siermiężnych, wyzutych z marzeń o naprawie świata aparatczyków, którzy dodatkowo rozpętując kampanię „antysyjonistyczną", odwołali się – skądinąd szczerze – do antysemickich resentymentów polskiego plebsu i tym samym zyskali jego poparcie. W drugiej „bańce" zaś przekaz jest taki, że Marzec '68 oznaczał reprodukcję „żydokomuny". Dlatego, że nie przypadkiem wydarzenia marcowe zainicjowały dzieci dawnych prominentów, czyli ludzi, którzy z uwagi na swoje żydowskie geny powodowani byli wrogością wobec Polski taką, jaką ona jest, to znaczy wobec dwóch podtrzymujących ją „reakcyjnych" filarów: katolicyzmu i patriotyzmu. W czasach stalinizmu wprowadzali oni nad Wisłą totalitarny porządek, lecz potem, rozczarowani efektami swoich wysiłków, opowiedzieli się za liberalizacją systemu jako warunkiem budowy prawdziwego socjalizmu. Ale swojemu potomstwu przekazali afekt antypolski.

Postawa Józefa Dajczgewanda jest kłopotliwa dla ludzi z obu tych „baniek". Ten zmarły w Szwecji 4 września br. (w dniu swoich 82. urodzin) uczestnik Marca '68 nie pasuje do streszczonej na wstępie opowieści. Dlatego zasługuje na wspomnienie. Ale to tylko jeden z wielu powodów, dla których warto o nim napisać.

DZIAŁANIA HAPPENINGOWE

Przede wszystkim Dajczgewand nie był członkiem nowej elity społecznej – czerwonej „Warszawki", czyli grona osób, które po ustanowieniu dyktatury komunistów wychowywały się jako dzieci dygnitarzy w cieplarnianych warunkach. Choć będąc w wieku szkolnym, należał do żydowskich drużyn harcerskich związanych z Hufcem Walterowskim Jacka Kuronia. Urodził się w Leninabadzie, wówczas – czyli w roku 1944 – w Tadżyckiej Socjalistycznej Republice Sowieckiej. Dziś, w niepodległym Tadżykistanie, miasto to nosi swoją historyczną nazwę – Chodżent. Rodzice Józefa Dajczgewanda – Fajga i Szlomo – przed jego przyjściem na świat uciekli spod okupacji niemieckiej do ZSRS. W roku 1946 rodzina Dajczgewandów wróciła do Polski. Szlomo dostał posadę krawca w warsztatach więziennych w Sieradzu. W tym mieście Józef spędził swoje dzieciństwo. Ale liceum ogólnokształcące ukończył w Łodzi. Następnie zaczął studiować na Uniwersytecie Warszawskim – najpierw matematykę oraz fizykę, a potem filozofię. I właśnie w trakcie studiów uaktywnił się jako kontestator systemu.

Zanim się to jednak stało, Józef Dajczgewand uczestniczył w spotkaniach Klubu Studentów i Młodej Inteligencji „Babel". Było to przedsięwzięcie legalne – afiliowane przy warszawskim oddziale Towarzystwa Społeczno-Kulturalnego Żydów w Polsce. Po wydarzeniach marcowych „Babel" został zamknięty.

eprasa.pl dd77bf8fed

Natomiast na kurs kolizyjny z władzą Dajczgewand wszedł, gdy wziął udział w niezależnych obchodach 10. rocznicy Października '56. Przypominanie o odwilży, czyli zakończeniu stalinizmu w Polsce, nie było ekipie Gomułki na rękę, ponieważ w latach 60. zaczęto społeczeństwu przykręcać śrubę. I tak Dajczgewand został ukarany usunięciem ze Związku Młodzieży Socjalistycznej. Tu trzeba zaznaczyć, że organizację tę utworzono w roku 1957, właśnie na fali odwilży.

Jednocześnie podczas studiów Dajczgewand założył w akademiku przy ulicy Kickiego dyskusyjną grupę Nowe Formy. Jej celem było sianie fermentu intelektualnego, choćby poprzez działania o charakterze happeningowym (prekursorskie wobec tego, co w latach 80. robiła Pomarańczowa Alternatywa). Dajczgewand rzucił hasło: „Tysiąc kwiatów na tysiąclecie [Polski]". Było ono oczywistym ironicznym nawiązaniem do słów Mao Zedonga „Niech rozkwita sto kwiatów, a sto szkół myśli niech się ze sobą spiera" (komunistyczny dyktator Chin w ten sposób komunikował potrzebę wewnętrznej debaty w partii, na której czele stał).

W grudniu 1967 r. Dajczgewanda pozbawiono miejsca w akademiku, a w styczniu 1968 r. wstrzymano mu stypendium. Nie zraziło go to jednak do dalszego narażania się władzy. Był wśród studentów, którzy oprotestowali zawieszenie „Dziadów" Adama Mickiewicza w Teatrze Narodowym (głośny spektakl w reżyserii Kazimierza Dejmka ekipa Gomułki potraktowała jako antysowiecką prowokację), a następnie – 8 marca 1968 r. – zebrali się na słynnym wiecu na UW, domagając się przestrzegania swobód zapisanych w konstytucji PRL i wycofania decyzji o usunięciu z uczelni Adama Michnika oraz Henryka Szlajfera (zgromadzenie zostało brutalnie rozpędzone przez siły milicyjne). W efekcie Dajczgewand trafił do aresztu, a potem stanął przed sądem. Zapadł wyrok 2,5 roku więzienia. W roku 1969 jednak Dajczgewanda amnestionowano i w kolejnym roku wyemigrował on do Szwecji. Stamtąd wspierał opozycję przedsierpniową – Komitet Obrony Robotników i Studenckie Komitety Solidarności – a później NSZZ „Solidarność" (można odnotować, że w roku 1978 na spotkaniu Towarzystwa Przyjaźni Szwedzko-Sowieckiej spalił portret ówczesnego przywódcy ZSRS Leonida Breżniewa).

WYBRAKOWANA TECZKA

Choć Józef Dajczgewand należał do „komandosów" – środowiska, którego trzon stanowili studenci UW na czele z Adamem Michnikiem – to zachowywał względem nich intelektualną odrębność. Kiedy oni byli pod wpływem „Listu otwartego do partii" Jacka Kuronia i Karola Modzelewskiego (w dokumencie tym władza została skrytykowana z lewicowych pozycji za biurokratyzację systemu), on podchodził do tego tekstu sceptycznie. Stracił bowiem złudzenia wobec ideałów socjalizmu. Znalazło to odzwierciedlenie w roku 2005 w wywiadzie udzielonym przez niego w wydawanej w Szwecji „Nowej Gazecie Polskiej". Powiedział w nim, że już rodzice przedstawiali mu prawdziwy obraz Związku Sowieckiego, choć ta przerażająca rzeczywistość kłóciła się z ich wyobrażeniami ideologicznymi, którym dawali wciąż wyraz. Kolejnym etapem światopoglądowej ewolucji była lektura zakazanych publikacji. Dajczgewand otrzymywał je od przyjaciół, którzy jeździli za granicę. Natomiast inaczej było z paryską „Kulturą". Jej egzemplarze trafiały do biblioteki uniwersyteckiej, ale korzystać z nich można było tylko za specjalnym zezwoleniem, które Dajczgewand uzyskał od filozofa prof. Adama Schaffa.

Przebywając na emigracji marcowy opozycjonista pozostał politycznym outsiderem do końca życia. Na przebieg dokonujących się po roku 1989 w Polsce zmian patrzył krytycznie (zresztą podobnie jak dwoje innych uczestników Marca '68: Irena Lasota i Antoni Zambrowski). Tymczasem dawni „komandosi", którzy stali się częścią establishmentu III Rzeczypospolitej, odnosili się do Dajczgewanda z rezerwą. Ale i on zachował wobec nich dystans. Dajczgewand, inaczej niż Michnik, był zwolennikiem lustracji. W przywołanej rozmowie z „Nowej Gazety Polskiej" stwierdził, że zapoznał się z materiałami zgromadzonymi na swój temat w teczce bezpieki i się okazało, iż są one wybrakowane. Dajczgewand nie krył swojego zdziwienia: „Przecież w moją sprawę wmieszanych było masę osób. A części z nich w teczce nie ma. Mało jest o Adamie Michniku… Podejrzewam, że może ktoś starał się część dokumentów schować…". Na pytanie, kiedy tak mogło się stać, odrzekł aluzyjnie: „Kiedy mieli szansę. Jak ktoś ma dostęp do informacji, koleguje się z generałami, może wejść, zobaczyć wszystko, sfotografować i trzymać to jako… Nie wiem, to są spekulacje i w dodatku złośliwe".

Polityczna osobność Dajczgewanda dała o sobie również znać, gdy z okazji 40. rocznicy Marca '68 odebrał Krzyż Komandorski Orderu Odrodzenia Polski z rąk prezydenta Lecha Kaczyńskiego. W odróżnieniu od innych dawnych „komandosów" uhonorowanie przez tego polityka poczytywał za zaszczyt (wtedy Seweryn Blumsztajn takie samo odznaczenie, nadane mu dwa lata wcześniej, demonstracyjnie głowie państwa zwrócił). Z kolei w roku 2010 wszedł w skład warszawskiego społecznego komitetu poparcia Jarosława Kaczyńskiego przed przyśpieszonymi wyborami prezydenckimi.

BOHATEROWIE MARCA '68 TO NIE POMNIKI

W roku 2007 na łamach czasopisma „Fronda" ukazał się tekst, w którym Dajczgewand (wspólnie z Bogumiłą Tyszkiewicz, w latach 80. aktywistką Pomarańczowej Alternatywy we Wrocławiu) wyłożył swoje stanowisko dotyczące wydarzeń marcowych. Można je streścić następująco: Marzec '68 nie był buntem warszawskiej bananowej młodzieży reprezentującej wyobcowaną kulturowo względem większości społeczeństwa mniejszość etniczną, lecz zrywem ogólnonarodowym. Do wystąpień przeciw władzy doszło wówczas w wielu miastach Polski. Aresztowano dużo więcej robotników niż studentów. Ponadto należy odrzucić mit Marca '68 jako początku ruchu dysydenckiego w PRL. Opór wobec komunistów stanowił ciągłość sięgającą walki toczonej przez żołnierzy podziemia antykomunistycznego po drugiej wojnie światowej.

To ważne świadectwo. Mimo że ekipa Gomułki sięgnęła wobec Dajczgewanda po antysemicką retorykę, to on sam nie dał się wkręcić w powtarzanie dętej tezy o tym, że antysemityzm był grzechem głównym komunistów rządzących Polską u schyłku lat 60. Wystrzegał się bowiem ideologizacji pamięci o Marcu '68, a nawet więcej – uważał, że dla zgłębienia prawdy o wydarzeniach marcowych trzeba ich bohaterów przestać traktować jak pomniki.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl dd77bf8fed



FOT. CULTURE CLUB/GETTY IMAGES

Pius XII a teoria ewolucji: Jak było naprawdę?

eprasa.pl dd77bf8fed



Sergiusz Muszyński

Papież Pius XII w żadnym miejscu swojej encykliki „Humani generis" nie udzielił poparcia koncepcji transformizmu gatunkowego. W samej treści dokumentu nazywa teorię ewolucji „nieudowodnioną" w dziedzinie nauk przyrodniczych. Potępia tych, dla których „sens literalny Pisma św. i hermeneutyka biblijna […] winny ustąpić miejsca, według ich zwodniczych pomysłów, nowej egzegezie nazwanej symboliczną i duchową"

12 sierpnia 1950 r. papież Pius XII wydał encyklikę „Humani generis", skierowaną przeciw modernistycznym błędom tzw. nouvelle théologie, które zdominują Kościół po Soborze Watykańskim II. Paradoksalnie, mimo tradycyjnej wymowy całego dokumentu, bywa on przywoływany przez liberalnych teologów w sposób oderwany od jego właściwego kontekstu i znaczenia. Czyni się to oczywiście w zakresie tego, co Pastor Angelicus napisał (a raczej: czego tak naprawdę nie napisał) o hipotezie ewolucyjnego pochodzenia ludzkiego ciała.

Każdy, kto choćby pobieżnie śledził karkołomne próby godzenia wiary katolickiej z Darwinem, z pewnością zetknął się z argumentem ad „Humani generis". Encyklika ta miała jakoby pojednać doktrynę Kościoła z ideą transformizmu gatunkowego. Niekiedy można się wręcz spotkać z fałszywym przedstawianiem samego Piusa XII jako zwolennika darwinizmu. W tej narracji ortodoksyjny katolicyzm miałby rzekomo nie mieć nic przeciw tej teorii, a jej odrzucenie byłoby domeną jedynie niektórych sekt protestanckich.

PRZECIW DARWINIZMOWI

Zacznijmy więc od przypomnienia, że tradycyjna koncepcja katolicka zakłada bezpośrednie stworzenie zarówno ciała, jak i duszy pierwszych ludzi. Pan Bóg ukształtował Adama „z prochu ziemi" (Rdz 2, 7), a Ewę z jego żebra, które wyjął, gdy ten był pogrążony we śnie (Rdz 2, 21–22). W ten sposób genezę człowieka rozumieją ojcowie i doktorzy Kościoła, a także tradycyjne katechizmy i podręczniki. Niegdyś w ten właśnie sposób nauczano przyszłych duchownych we wszystkich katolickich seminariach.

Próby podważania tej doktryny rozpoczęły się dopiero w XIX w. wraz z teorią ewolucji, usiłującą wykazać rzekome pochodzenie człowieka od wcześniejszych organizmów. W reakcji na wzrastającą popularność tej hipotezy Kościół stale przypominał swoje tradycyjne nauczanie. Tak oto synod w Kolonii w 1860 r. potępił pogląd o powstaniu „człowieka co do ciała […] na drodze samoczynnej ciągłej przemiany natury mniej doskonałej ku doskonalszej", co zyskało aprobatę Piusa IX. Następnie Leon XIII w „Arcanum divinae sapientiae" napisał o stworzeniu Adama z mułu ziemi i wyprowadzeniu Ewy z jego boku jako o „znanych wszystkim i niewątpliwych rzeczach", którym zaprzeczają „nieprzyjaciele wiary chrześcijańskiej". W ramach ofensywy antymodernistycznej św. Piusa X zagadnienie podjęła Papieska Komisja Biblijna. W dekrecie z 30 czerwca 1909 r. podkreśliła konieczność co do zasady literalnego i historycznego rozumienia pierwszych trzech rozdziałów Księgi Rodzaju. Wśród prawd, które w tym aspekcie wyszczególniono, znalazły się m.in. „specjalne stworzenie człowieka" oraz „utworzenie pierwszej kobiety z pierwszego człowieka". Warto przy tym zaznaczyć, że w dokumencie podkreślono możliwość odczytywania dnia z opisu stworzenia świata także jako inny odcinek czasu niż dzień słoneczny.

Stanowczo przeciw darwinizmowi reagowało również wielu ortodoksyjnych teologów. Dla przykładu: kard. Camillus Mazzella w traktacie „De Deo Creante" (1880) uznał pogląd o powstaniu choćby samego tylko ciała ludzkiego drogą ewolucji z form niższych za noszący znamiona herezji. W Polsce silnie przeciw transformizmowi gatunkowemu występował m.in. znany teolog i wykładowca na Uniwersytecie Jagiellońskim ks. prof. Maciej Sieniatycki w II tomie swojego „Zarysu dogmatyki katolickiej" (1932). Jak stwierdza, tzw. teistyczny ewolucjonizm „ma przeciw sobie powszechną naukę Ojców i naukę Pisma św.". Przypomina również XIX-wieczne orzeczenia rzymskiej Kongregacji Indeksu potępiające dzieła autorów (Leroya i Zahma) usiłujących jednać teorię ewolucji z wiarą katolicką.

Powyższe doskonale ilustruje, jak problematyczna z perspektywy ortodoksji katolickiej jest hipoteza, jakoby ciało ludzkie miało wyewoluować poprzez naturalne procesy z materii uprzednio już żyjącej. Tych trudności w żadnym razie nie rozwiązuje koncepcja późniejszego wtłoczenia przez Pana Boga duszy rozumnej w tak ukształtowanego „hominida". Wynika to z faktu, że zgodnie z nauką katolicką człowiek jest jednością duchowo-cielesną, a dusza stanowi formę ciała ludzkiego. Nie byłoby więc możliwe odrębne powołanie do istnienia duszy rozumnej, tak aby na końcu rzekomej ewolucji Stwórca wprowadził ją w ciało, które dotąd było zwierzęce. Sprzeciwia się temu również samo rozumne odczytanie Pisma Świętego, bez prób absurdalnego naginania tekstu. Jak więc wyjaśnia św. Tomasz z Akwinu, „pierwsze uformowanie ludzkiego ciała nie mogło dokonać się jakąś stworzoną mocą, ale bezpośrednio przez Boga" (ST, I, q. 91, a. 2).

Problematyczna jest hipoteza, jakoby ciało ludzkie miało wyewoluować z materii uprzednio już żyjącej

W jaki więc sposób powyższe należy odnieść do tego, co Pius XII napisał w encyklice „Humani generis"? Przede wszystkim papież w żadnym miejscu dokumentu nie udzielił poparcia koncepcji transformizmu gatunkowego. Wprost przeciwnie – w samej treści encykliki nazywa teorię ewolucji „nieudowodnioną" w dziedzinie nauk przyrodniczych. Potępia tych, dla których „sens literalny Pisma św. i hermeneutyka biblijna, wypracowane pod nadzorem Kościoła przez tylu znakomitych egzegetów,

eprasa.pl dd77bf8fed

winny ustąpić miejsca, według ich zwodniczych pomysłów, nowej egzegezie nazwanej symboliczną i duchową". Przypomina również, że choć pierwszych 11 rozdziałów Księgi Rodzaju nie odpowiada dokładnie sposobowi pisania naczelnych historiografów greckich i łacińskich, to należą one jednak we właściwym sobie sensie do historycznego rodzaju literackiego. Oprócz tego papież gani tych, którzy dokonują „zbyt swobodnej" interpretacji ksiąg Starego Testamentu, fałszywie powołując się na jeden z listów Papieskiej Komisji Biblijnej.

Swój dystans do teorii ewolucji Pius XII wyraził również w przemówieniu do Papieskiej Akademii Nauk z 1941 r., w którym wprost nauczał zarówno o stworzeniu pierwszego człowieka z prochu ziemi, jak i o utworzeniu Ewy z ciała Adama. Oczywistym nawiązaniem do teorii ewolucji było sformułowane w tym wystąpieniu przekonanie, że „tylko od człowieka mógłby pochodzić inny człowiek". W ten sposób Pius XII dawał wyraz swojemu przekonaniu, że nie ma podstaw, aby w jakikolwiek sposób negować tradycyjne odczytanie Księgi Rodzaju.

POLEMIKA Z TEORIĄ EWOLUCJONIZMU

W świetle tych zastrzeżeń, jak również w zgodzie z poprzednim nauczaniem Kościoła należy odczytywać zgodę na „polemikę nad doktryną ewolucjonizmu", zawartą w „Humani generis". Nie jest ona niczym więcej niż zgodą na dyskusję, obwarowaną wieloma warunkami. Po pierwsze, papież zabrania uznawania teorii ewolucji za naukowo bezsporną, podczas gdy takie stanowisko już wówczas charakteryzowało kręgi darwinowskie. Jak stwierdza, „swobody roztrząsań naukowych niektórzy nadużywają lekkomyślnie, tak sprawę stawiając, jak gdyby pochodzenie ciała człowieka z materii organicznej było już z pewnością udowodnione". Stanowczo nakazuje, aby z należną powagą traktować argumenty przedkładane przez przeciwników hipotezy ewolucji. Daje również jednoznacznie do zrozumienia, że potencjalne aprobowanie stanowiska ewolucyjnego jest bardzo problematyczne z perspektywy katolickiej. Gani bowiem tych, którzy uważają, jakoby „źródła Objawienia nic nie zawierały, co by wymagało w tej sprawie wielkiego umiaru i ostrożności". Oprócz tego zdecydowanie potępia poligenizm, zastępujący pierwszą parę historycznych rodziców bliżej nieokreśloną liczbą „hominidów". Podkreśla brak możliwości pogodzenia tego poglądu z katolicką nauką o grzechu pierworodnym.

Aby „ochrzcić" Darwina, zwolennicy ewolucjonizmu musieliby porzucić katolicką naukę o duszy

Jak nietrudno dostrzec, z encykliki „Humani generis" nie wybrzmiewa optymizm względem teorii ewolucji. Wprost przeciwnie – Pius XII silnie się od niej dystansuje, obwarowując wszelką dyskusję na ten temat poważnymi zastrzeżeniami. Przedstawianie zapisów tej encykliki w taki sposób, jak gdyby jakkolwiek afirmowała ona tę hipotezę, jest więc rażącym zaprzeczeniem samej jej treści. Niestety, tego rodzaju narracja jest dziś powszechna wśród części komentatorów, co należy ocenić jako mijanie się z prawdą w sposób skrajny. Zarazem wielu zwolenników darwinizmu w zasadzie nigdy nie przestrzegało warunków dyskusji, nakreślonych przez Piusa XII. Znaczna ich część od początku stosowała narrację, zgodnie z którą ewolucja jest już rzekomo bezspornie udowodniona, czego „Humani generis" wprost zakazuje. Podobnie nie wydają się przejmować tym, że uzgodnienie tradycyjnego odczytu źródeł Objawienia z tą teorią jest (mówiąc eufemistycznie) wielce problematyczne. Nieustannie również lekceważą i dezawuują jednoznaczne potępienie poligenizmu, mimo że w świetle tradycyjnych podręczników (np. autorstwa ks. Sieniatyckiego) monogenizm należy uważać za dogmat wiary. Coraz powszechniej atakują również katolickie nauczanie o ludzkiej duszy, usiłując także z niej uczynić produkt rzekomej ewolucji.

CEL ENCYKLIKI

Na zakończenie pozostaje zadać pytanie, w jakim więc celu Pius XII w ogóle zezwolił na tego rodzaju dyskusję. Być może odpowiedź odnajdziemy na pierwszych stronach „Humani generis", gdzie papież podkreśla, że teolodzy katoliccy nie powinni lekceważyć poglądów „odchylających się w mniejszej lub większej mierze od drogi prawdy" ani wymawiać się od ich znajomości. Z jednej strony bowiem „bez uprzedniego zbadania choroby nie uda się z niej należycie uleczyć chorego", z drugiej zaś – błędne poglądy zmuszają nas ponownie do gruntownego przestudiowania określonych prawd teologicznych. Oprócz tego warunki, które Pius XII zastrzegł w praktyce wykluczają ostatecznie zaaprobowanie tej hipotezy przez Kościół. Dowodzi tego choćby fakt, że są one przez ewolucjonistów nieustannie łamane. Z kolei za zwolennikami bezpośredniego stworzenia ciała Adama z prochu ziemi stoją cała katolicka tradycja odczytywania tekstu biblijnego, wszyscy ojcowie i doktorzy, jak również wcześniejsze wypowiedzi Magisterium. Nie wydaje się bowiem możliwe, aby móc tę koncepcję uzgodnić choćby ze wspomnianym dekretem Papieskiej Komisji Biblijnej z 30 czerwca 1909 r.

Podsumowując, nie odbieram katolickim zwolennikom rzekomej ewolucji prawa do udziału w dyskusji, skoro przyznał im je sam papież. W przeciwieństwie do przypadków jego posoborowych następców do ortodoksji Piusa XII nie można formułować jakichkolwiek wątpliwości. Niemniej debata z ich strony nieustannie toczy się zarówno z naruszeniem zastrzeżeń, które formułuje „Humani generis", jak i przy ignorowaniu Tradycji oraz wcześniejszego Magisterium Kościoła. Dzieje się tak zapewne dlatego, że pogodzenie tej idei z doktryną katolicką jest zwyczajnie niewykonalne. Aby „ochrzcić" Darwina, zwolennicy ewolucjonizmu muszą porzucić nie tylko ugruntowane w Tradycji odczytanie Księgi Rodzaju, lecz także w praktyce katolicką naukę o duszy. Oprócz tego, jeśli mamy toczyć polemikę, to powinna ona być oparta na uczciwych podstawach. Jakikolwiek by był powód dopuszczenia przez Piusa XII do takiej debaty, jedno jest pewne: przedstawianie tego papieża jako kogoś, kto w jakimkolwiek stopniu sprzyjałby teorii ewolucji, jest ordynarnym fałszowaniem treści encykliki „Humani generis".

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl dd77bf8fed



KOMUCHOŻERCA

Europa, Europa!

LESZEK ŻEBROWSKI

Gdy kres II wojny światowej w Europie był już bliski, Niemcy uporczywie szukali mięsa armatniego, które mogliby rzucić na front. Wydawało im się, że liczny i bitny żołnierz polski może nieco odroczyć klęskę. Dlatego w Propaganda-Amt Josepha Goebbelsa zaczęły się pojawiać coraz bardziej absurdalne pomysły, że sprawa przeciągnięcia Polaków na ich stronę pójdzie lekko, łatwo i przyjemnie. Zaczął się zatem łabędzi śpiew zbrodniarzy, przeinaczający całkowicie realia wojny i okupacji. Niemcy przekonywali, że położenie Polaków nie było całkiem złe: „Naród polski jako taki, będący podłożem historii polskiej, przeszedł nietknięty poprzez doświadczenia cierpień i kłopotów wojskowych i politycznych". Tak pisali w październiku 1944 r., gdy Niemcy mieli już za sobą miliony ofiar, obozy zagłady i koncentracyjne pracowały pełną parą, łapanki na ulicach i masowe rozstrzeliwania były na porządku dziennym!

„Prawdziwe więc niebezpieczeństwo, a mianowicie groza ostatecznej zagłady narodowej i ostatecznego kresu historii polskiej, nie istniało nigdy". Znikły gdzieś (na chwilę) zamiary wytępienia Słowian, Żydów i Cyganów. Ale czy mógł im ktoś wtedy jeszcze w cokolwiek uwierzyć? Była to propaganda całkowicie tandetna, nastawiona na otumanienie prymitywnych umysłów, ale nawet te żyjące stale w zagrożeniu zdrowia i życia nie mogły temu ulec. To było już o kilka milionów ofiar za późno.

Ale równolegle w innej ulotce z tego zakresu Niemcy nadal straszyli:

„Rządy niemieckie wrócą. Stoi to poza wszelką wątpliwością. Stosunek ich do Polaków może być zupełnie inny, niż był przedtem. – Gdy Niemcy wchodzili w roku 1939 do Polski, traktowano ich jako wrogów. Zależnie od tego, jak będą przyjmowani, gdy będą wracać, […] ułoży się przyszły stosunek Niemców do Polaków. Niemcy nie mają skłonności niszczenia narodu polskiego, przeciwnie, pragnęliby go widzieć na godnem jego przeszłości i kultury miejscu wśród rodziny narodów nowej Europy".

„Nikt z was nie wymaga niczego, co by się nie dało pogodzić z Waszą godnością i z Waszym poczuciem narodowym. Warto jednak, abyście wciąż pamiętali o tym, że jesteście Polakami i że kultura polska jest kulturą zachodnią, związaną nierozerwalnie z duchem i tradycją historyczną całej Europy". My pamiętaliśmy, oni nam szansy nie dali. Warto o tym pamiętać dziś, gdy elementy tej propagandy są stale obecne w stosunku do nas i są coraz bardziej nachalne. Tak pisali wtedy: „Tylko orientacja europejska może uratować Polskę". To jest stale aktualne, ale niekoniecznie pod przewodem sił rozumiejących Europę wyłącznie po swojemu i dla siebie. ©℗



HISTORIA WIECZNIE ŻYWA

Seria pożarów na VII Zjazd PZPR

SŁAWOMIR KOPER

Komuniści z reguły skrzętnie ukrywali wszelkiego rodzaju katastrofy, gdyż najlepszemu z ustrojów nic złego nie mogło się wydarzyć. Ponadto podanie wyników śledztwa do publicznej wiadomości groziło ujawnieniem zaniedbań i lekceważenia norm bezpieczeństwa, co mogło zakończyć się wybuchem społecznego niezadowolenia.

Tym bardziej zastanawiająca była seria pożarów, które wybuchły w Warszawie we wrześniu 1975 r. Nie udało się ich ukryć, gdyż większość wydarzyła się w miejscach istotnych ze względów wizerunkowych. Wieczorem, 21 września, spłonął Centralny Dom Dziecka zlokalizowany na rogu Alej Jerozolimskich i Kruczej. Trzy piętra wielokondygnacyjnego sklepu uważanego za perłę stołecznego modernizmu wypaliły się niemal kompletnie.

Śledztwo wykluczyło podpalenie, a szybkie rozprzestrzenianie się ognia tłumaczono tym, że pożar rozpoczął się na ostatnim piętrze, gdzie sprzedawano wykładziny, tkaniny i dywany. Za przyczynę wypadku uznano zatarcie łożysk w niewyłączonym mechanizmie schodów ruchomych, co miało spowodować iskrzenie i w konsekwencji pojawienie się płomieni.

Dwa dni później ogień pojawił się na moście Łazienkowskim. Tym razem sprawa była znacznie poważniejsza pod względem prestiżowym, gdyż czwarta przeprawa przez Wisłę była jedną ze sztandarowych inwestycji ekipy Edwarda Gierka. Dodatkowym problemem dla propagandy było to, że most uruchomiono z wielką pompą zaledwie rok wcześniej, a media zachłystywały się sukcesem. Przy okazji podkreślano też do znudzenia, że konstrukcja była bezpieczna, gdyż została zbudowana z niepalnych materiałów.

Okazało się jednak, że nie do końca, a nieszczęście zaczęło się od pożaru drewnianej budki pod mostem, od której zajął się drewniany pomost techniczny. Rzekomo niepalne materiały okazały się całkiem palnymi i przeprawa została poważnie uszkodzona. Remont trwał miesiąc, a w Warszawie plotkowano, że podpalacze użyli napalmu, ponieważ most nie miał prawa stanąć w ogniu.

24 września spłonął barakowóz przy ulicy Czerniakowskiej, znajdujący się w pobliżu zabudowy mieszkalnej. Dzień później w ogniu stanęła szopa na terenie Toru Wyścigów Konnych na Służewcu, a po kolejnych trzech dniach ogień pojawił się na wydziale lamp jarzeniowych Zakładów Wytwórczych Lamp Elektrycznych im. Róży Luksemburg. Nic dziwnego, że warszawska ulica szeptała, że nieznani sprawcy zaplanowali siedem pożarów na VII Zjazd PZPR, który miał się odbyć na początku grudnia.

Sytuacja jednak się uspokoiła i dopiero tragiczny wybuch w Rotundzie PKO niespełna cztery lata później stał się powodem do przypominania wcześniejszych wydarzeń. ©℗

eprasa.pl dd77bf8fed



Witold Repetowicz

Mało wiarygodna propaganda sukcesu nie pompuje popularności premiera Beniamina Netanjahu przed izraelskimi wyborami parlamentarnymi. Tymczasem Izrael od dawna pogrąża się w amoku i szuka nowych wrogów. Przyciskany przez ekstremistycznych koalicjantów-rywali izraelski premier coraz mocniej prowokuje więc Turcję do konfrontacji zbrojnej. Wojna to najlepsza ucieczka do przodu trzęsących się u podstaw reżimów, choć zwykle kończy się to dla nich tragicznie



Idą wybory, więc trzeba wojny

Historia zna wiele przypadków, gdy chylące się ku upadkowi reżimy doprowadzały do wojen, które miały pompować ich popularność na fali nacjonalistycznego uniesienia, a w rzeczywistości przynosiły im klęskę i zgubę. Tak było z grecką juntą w 1974 r. czy argentyńską w 1982 r. Fakt, Netanjahu różni się od greckich „czarnych pułkowników" czy też argentyńskiego gen. Leopoldo Galtieriego tym, że został demokratycznie wybrany, a w Izraelu wciąż panuje wolność słowa i zgromadzeń (choć nie dla Palestyńczyków). Pamiętajmy jednak, że III Rzesza też długo zachowywała pozory rządów prawa, choć oczywiście różnicą jest to, że w Izraelu panuje pełny pluralizm partyjny.

Ale jak ten pluralizm wygląda w praktyce? Na 14 miejsc w 120-osobowym Knesecie mogą liczyć dwie współrządzące partie ekstremistyczne Bezalela Smotricza i Itamara Ben-Gwira. To zwolennicy wypędzania milionów cywilów z ich domów, organizatorzy terrorystycznych bojówek tzw. osadników, marzący o aneksji sąsiednich terytoriów, bombardowaniu Palestyńczyków i Libańczyków „na oślep", burzeniu arabskich domów i planujący robienie z egzekucji Palestyńczyków masowego widowiska. W Europie takie ugrupowania byłyby zdelegalizowane jako reinkarnacja NSDAP, ale oczywiście według Izraela takie porównanie to antysemityzm.

Inni koalicjanci Netanjahu to dwie partie ultraortodoksyjnych Żydów, które w Europie uznane zostałyby za psychopatycznych fundamentalistów, których najlepiej wsadzić do szpitala psychiatrycznego, a na pewno trzymać pod kontrolą służb specjalnych. No i sam Likud, który pod przywództwem Netanjahu zaczął konkurować z ekstremistami na szalone i zbrodnicze pomysły.

eprasa.pl dd77bf8fed



Netanjahu nie jest – przynajmniej na razie – aż tak szalony, by planować bezpośredni atak na tureckie terytorium. Chciałby jednak wciągnięcia Turcji do wojny poza jej terytorium

FOT. AMMAR AWAD/REUTERS/FORUM

Po masakrze 7 października 2023 r. poparcie dla Likudu spadło do poziomu 15–18 mandatów (w poprzednich wyborach uzyskał 32 mandaty). Ale do wyborów, które mają się odbyć 27 października 2026 r., było wtedy daleko. Netanjahu sądził, że urządzi w Gazie krwawą jatkę, ogłosi się pogromcą Hamasu i odzyska poparcie. Tymczasem Hamas wciąż istnieje i nie udało się też na razie zrealizować zbrodniczego planu wypędzenia mieszkańców. Po miesiącach równania Gazy z ziemią poparcie dla Likudu lekko poszło jednak w górę, więc idąc za ciosem Netanjahu otworzył nowy front – w Libanie. Tu propaganda sukcesu ruszyła z kopyta i już w 2024 r. wieszczono wszem i wobec, że Hezbollah został całkowicie pozbawiony swojego arsenału. Tyle że twierdzenie to było mocno przesadzone, a słupki sondażowe Likudowi nie drgnęły.

KLĘSKA W IRANIE

No to następny w kolejce był Iran. Była w tym pewna logika, bo mało kto w Izraelu nie ma obsesji na punkcie zagrożenia ze strony tego państwa. Większość wierzy, że priorytetem polityki Iranu jest uderzenie na Izrael za pomocą broni nuklearnej, choć w rzeczywistości zawsze było to absurdem.

Dwie wojny z Iranem znów nie spowodowały jednak odrabiania strat w sondażach. W pierwszej Izrael pokazał, że bez wsparcia USA nie jest w stanie w żadnym stopniu zaszkodzić irańskiemu programowi nuklearnemu. A druga skończyła się tym, że Izrael w ogóle nie został dopuszczony do negocjacji w sprawie nowego dealu. To, że utknęły one w martwym punkcie, nie ratuje Netanjahu, bo USA marcowa wojna zbyt dużo kosztowała, a tam też się zbliżają wybory. Trump wycofał się z gróźb nowego uderzenia na Iran, więc Netanjahu mógł tylko zgrzytać zębami. Tymczasem jest atakowany z obu stron. Ekstremistyczni sojusznicy chcą eskalacji, najlepiej na każdym froncie, bombardowania Bejrutu, zerwania rozejmu w Gazie i rozpoczęcia czystki etnicznej, a także masowych egzekucji i pogromów na Zachodnim Brzegu. A opozycja zarzuca Netanjahu słabość i klęskę w wojnie z Iranem.

Trzy główne siły opozycyjne: koalicja Razem Naftalego Bennetta, Yashara Gadiego Eisenkota oraz Nasz Dom Izrael Awigdora Liebermana w Europie uchodziłyby za nacjonalistyczną prawicę. Z Likudem są w konflikcie, bo nienawidzą Netanjahu, ale za korupcję, a nie jego politykę wobec Palestyńczyków, Libanu czy Iranu. Poza tym Lieberman reprezentuje mało religijnych Żydów rosyjskich, więc jest też w konflikcie z ultraortodoksami. Czasem ma wobec Palestyńczyków pomysły, których by się nie powstydził Ben-Gwir, a po zawarciu rozejmu między USA a Iranem atakował Netanjahu za wycofanie się pod naciskiem USA z planu dywanowych nalotów na Bejrut. Partie te mogą liczyć łącznie na kolejne ok. 47–49 mandatów. Resztę, ok. 22–23 mandatów, zbierają lewicowi Demokraci oraz partie arabskie, które są izolowane przez większość ugrupowań w Knesecie.

Przy takiej scenie politycznej i atmosferze przedwyborczej trudno by nawet najbardziej szalone pomysły szokowały. Coraz realniejsza staje się więc groźba militarnej konfrontacji między Izraelem a Turcją. Stosunki między tymi dwoma państwami przez dekady zimnej wojny były bardzo dobre i Turcja była pierwszym państwem muzułmańskim (rządzonym jednak przez zwalczających islamizm kemalistów), które uznało Izrael. Służby obu państw współpracowały też, by zwalczać terrorystyczne i partyzanckie ugrupowania palestyńskie i kurdyjskie. Zmiana nastąpiła jednak po 2002 r., gdy w Turcji do władzy doszedł Recep Tayyip Erdoğan i jego umiarkowanie islamistyczna Partia Sprawiedliwości i Rozwoju (AKP). Do pierwszego poważnego kryzysu doszło w 2010 r., gdy izraelskie wojsko zaatakowało płynący „z pomocą" do Gazy turecki statek Mavi Marmara (trzeba przyznać, że część pasażerów stanowili uzbrojeni tureccy nacjonaliści), w wyniku czego zginęło 10 Turków. Turcja zamroziła wówczas relacje z Izraelem, który w 2013 r. zdecydował się, pod naciskiem USA, przeprosić Turcję i w 2016 r. doszło do normalizacji relacji. Turcja nie przestała jednak wspierać Palestyńczyków i pozwoliła liderom Hamasu (palestyńskiej organizacji terrorystycznej) prowadzić swobodną działalność na swoim terytorium. Sam Erdoğan kilkakrotnie spotkał się z liderami tej organizacji. Nic więc dziwnego, że normalizacja długo nie przetrwała i już w 2018 r. doszło do ponownego wzajemnego wydalenia ambasadorów.

WROGIE NARRACJE

Na tamtym etapie konflikt ten był jednak w dużym stopniu teatrem polityczno-dyplomatycznym, podczas gdy wymiana handlowa rosła, a przez Turcję do Izraela płynęła kurdyjska, a następnie azerska ropa (ta ostatnia wciąż zresztą płynie). Równocześnie Beniamin Netanjahu i Recep Tayyip Erdoğan zaczęli obrzucać się nawzajem wyzwiskami i oskarżać o (odpowiednio) mordowanie Kurdów i Palestyńczyków. Nie przeszkodziło to im jednak spotkać się we wrześniu 2023 r. w trakcie sesji plenarnej Zgromadzenia Ogólnego ONZ i omawiać pogłębienia współpracy w zakresie energetycznym. Wydawało się, że dojdzie do resetu stosunków i normalizacji, a propaganda bliskowschodnich krytyków Erdoğana (zwłaszcza powiązanych z Iranem) zaczęła zarzucać mu, że jego „propalestyńskość" jest na pokaz, a w rzeczywistości Turcja nie przestała wspierać Izraela.

Problem w tym, że wrogie narracje rozbudziły emocje w obu krajach, co

eprasa.pl dd77bf8fed

widoczne było wyraźnie po zmianach we wzajemnym postrzeganiu się Turków i Izraelczyków. W sondażu Pew Research Center z 2014 r. aż 86 proc. Turków wyraziło negatywny stosunek do Izraela, a tylko 2 proc. – pozytywny.

Kilka miesięcy wcześniej w podobnym sondażu tego ośrodka 80 proc. Izraelczyków oceniło negatywnie Turcję i tylko 14 proc. miało pozytywne zdanie. Do resetu więc nie doszło, bo miesiąc po spotkaniu obu liderów Hamas zaatakował Izrael, a potem w odwecie Netanjahu zaczął masakrować Gazę. Erdoğan opowiedział się po stronie Palestyńczyków i zintensyfikował wsparcie polityczno-dyplomatyczne dla Hamasu. W odpowiedzi Netanjahu objawił się nagle jako wielki obrońca Kurdów i przyjaciel Partii Pracujących Kurdystanu.

OTWARCIE NOWEGO FRONTU

Eskalację napięć izraelsko-tureckich spowodowało jednak inne wydarzenie, tj. upadek reżimu Baszara al-Asada w Syrii. Paradoksalnie syryjski dyktator liczył na to, że Izrael go ochroni, choć wcześniej państwo to po cichu wspierało syryjskich dżihadystów. Asad, za namową Rosjan, sabotował bowiem obecność swoich irańskich sojuszników w Syrii i nie przyłączył się do wspierania Hamasu po wybuchu wojny w Gazie. Izrael z kolei nie chciał, by którakolwiek strona wygrała tamtejszą wojnę domową, bo to, że szyici i sunnici skoczyli sobie do gardeł, było dla niego korzystne. Asad jednak upadł, a jego miejsce zajęli sojusznicy Turcji. Netanjahu mógł skorzystać z dawnych kanałów kontaktu i dogadać się z Damaszkiem, zwłaszcza że chcieli tego też Amerykanie. Trump i jego ekipa odnieśli się bowiem pozytywnie do tej zmiany, a zwłaszcza do wzrostu wpływów tureckich w Syrii. Ale izraelski premier uznał, że otwarcie jeszcze jednego frontu będzie korzystniejsze dla niego. W końcu ogłosi kolejny sukces i może drgną wreszcie te sondażowe słupki.

Izrael zaczął zatem naloty na Syrię, a nawet zajął niewielkie, lecz strategiczne terytorium. W kwietniu 2025 r. zbombardował natomiast syryjską bazę T-4 koło Palmyry, gdzie Turcja planowała rozmieścić swoje siły, drony oraz systemy obrony powietrznej. Wprawdzie Amerykanom udało się powstrzymać eskalację, ale pojawiły się wówczas pierwsze spekulacje na temat możliwej wojny turecko-izraelskiej, a w Izraelu zarówno rząd, jak i opozycja zaczęły prześcigać się w ekspresji antytureckiej paranoi. Na przykład Naftali Bennett, jeden z głównych konkurentów Netanjahu, w lutym 2026 r. nazwał Turcję „nowym Iranem", a w sondażach opinii publicznej Izraelczycy wskazali Turcję jako drugie, największe zagrożenie dla ich państwa po Iranie.

Chociaż w Izraelu pojawiają się też nieliczne głosy rozsądku, to coraz bardziej przeważa opinia, że Turcja stanowić będzie rosnące zagrożenie, które trzeba zneutralizować. Netanjahu próbował do tego wykorzystać Kurdów, ale Erdoğan okazał się sprytniejszy. Po latach prób siłowego rozwiązania kwestii kurdyjskiej w końcu rozpoczęto rozmowy, które na razie idą całkiem nieźle.

W Izraelu coraz bardziej przeważa opinia, że Turcja stanowić będzie rosnące zagrożenie, które trzeba zneutralizować

Izrael oczywiście próbował wsadzić kij w szprychy tego procesu, zwłaszcza po tym, jak wspierani przez Turcję syryjscy eksdżihadyści ruszyli na Kurdów w styczniu tego roku i zaczęły się mordy. Izrael próbował to wykorzystać, ale poza słowami nie zaoferował Kurdom niczego, a nacisk międzynarodowy na Damaszek osiągnął skutek i Kurdowie ostatecznie dogadali się z nowymi władzami syryjskimi. To otworzyło im drogę również do normalizacji relacji z Turcją.

Netanjahu nie jest aż tak szalony (przynajmniej na razie), by planować bezpośredni atak na tureckie terytorium, bo wie, że uruchomiłoby to art. 5 NATO. Oczywiście takie testowanie spójności sojuszu byłoby na rękę Rosji, a ta ma ogromne wpływy w Izraelu. Niemniej Izrael preferowałby wciągnięcie Turcji do wojny poza jej terytorium. Jeśli nie w Syrii to na Cyprze, którego północną część Turcja okupuje od 1974 r. Izrael w ostatnim czasie zaczął zwiększać swoją aktywność wywiadowczo-militarną na wyspie i zacieśniać współpracę wojskową i w zakresie bezpieczeństwa z Cyprem oraz Grecją. Teoretycznie uderzenie na Turków na Cyprze dałoby Izraelowi przewagę, bo NATO nie miałoby tu zobowiązań sojuszniczych wobec Turcji, a za to UE miałaby je wobec Cypru. Tyle że wątpliwe, by Cypr i Grecja dały się w to wciągnąć.

Wprawdzie taka koalicja miałaby przewagę na morzu i w powietrzu, ale dla Cypru oznaczałoby to ogromne zniszczenia. Poza tym Turcja wzięłaby odwet, uderzając na Izrael od strony Syrii i Libanu. Ostatecznie Izrael poniósłby widowiskową klęskę, zwłaszcza że konfrontacja z Iranem mocno uszczupliła jego zasoby, a wojna z kolejnym państwem to nie to samo co uderzenia w Hamas czy Hezbollah. Ponadto USA też ma ograniczone środki i wątpliwe, by chciały wykorzystywać je przeciwko sojusznikowi z NATO, a bez wsparcia amerykańskiego Izrael nawet w konfrontacji z Iranem poniósłby znacznie większe straty.

Niekorzystna jest też dla Izraela sytuacja regionalna, gdyż Turcja po wybuchu wojny USA i Izraela z Iranem ją potępiła i jej relacje z Iranem są obecnie całkiem niezłe. Niedawno zawarła też pakt obronny z Arabią Saudyjską i Pakistanem i choć nie oznacza to, że państwa te wezmą automatycznie udział w ewentualnej wojnie z Izraelem, to Turcja ma obecnie dobre relacje z prawie każdym w regionie, a Izrael prawie z nikim.

Gdyby zaś Izrael wpadł na obłąkańczy pomysł użycia broni nuklearnej, to musi pamiętać, że Pakistan ma jej znacznie więcej. Wojna Izraela z Turcją to zatem oczywiste szaleństwo, tyle że ostatnie lata powinny nas nauczyć tego, że racjonalności jest w międzynarodowej polityce coraz mniej. Taki scenariusz byłby też katastrofalny dla USA, a zwłaszcza dla Donalda Trumpa. Byłoby to swoiste podsumowanie jego błędnej i chaotycznej polityki na Bliskim Wschodzie. I chociaż Turcja również nie ma zbyt dobrych notowań w amerykańskiej opinii publicznej, to przyśpieszyłoby to narastanie tam nastrojów antyizraelskich. A w Turcji też zbliżają się wybory, więc taki sukces, nawet osiągnięty sporym kosztem, będzie Erdoğanowi służył. Zwłaszcza że jeśli wojna wybuchnie, to nie on ją zacznie.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl dd77bf8fed



FOT. HOK

WIĘZIENIE

Jailscraper to przydomek obiektu, który wyrasta pośrodku Manhattanu. Gra słów „więzienie" („jail") i „drapacz chmur" („scraper") nie jest przypadkowa. W słynnej nowojorskiej dzielnicy powstaje najwyższe więzienie świata, które w założeniu pomieści do 1040 więźniów. Budynek ma liczyć 102 metry wysokości i 13 pięter. W planach są tarasy na dachu i boisko do koszykówki. Całość będzie przypominać bardziej siedzibę korporacji niż zakład karny. Projekt już wywołuje obawy okolicznych mieszkańców.

STRZYKAWKI

Na początku września podczas Święta Muzyki we Francji 145 kobiet zostało ukłutych strzykawkami. Wcześniej w mediach społecznościowych pojawiały się wezwania do takich aktów. Zatrzymano 12 podejrzanych, a zawartość strzykawek badają toksykolodzy. Renomowany niemiecki ochroniarz ostrzega, że do takich incydentów może dojść podczas masowych imprez w Niemczech. Jego zdaniem przyłapanie na gorącym uczynku jest trudne, bo ofiara nie czuje ukłucia strzykawką (przypomina ono ukąszenie komara). W dodatku to narzędzie przestępstwa łatwo jest przemycić przez bramkę.

WYBIŁ PILOTA

Inżynier testujący zdalnie sterowanego robota został przez niego zaatakowany. Do sytuacji zarejestrowanej na wideo, które obiegło świat, doszło w chińskim mieście Shaoxing. Maszyna ruszyła na człowieka i kopniakiem wybiła mu z ręki pilota, którym ten nią sterował. Następnie robot ukłonił się jak zawodnik sztuk walki. Przyczyn takiego zachowania nie podano.

PIENIĄDZE I UCZUCIE

Singapurski biznesmen przegrał sprawę o odzyskanie kwoty równowartości 369 tys. dolarów, wydanych przez niego na wystawne prezenty dla kobiety, z którą był ponad rok w związku i po jakimś czasie się z nią rozstał. To skutek wyroku Sądu Najwyższego w Singapurze. Mężczyzna próbował argumentować, że olbrzymie sumy były pożyczką. Sędziowie na podstawie zeznań świadków uznali, że to nieprawda i orzekli, iż wydatki były podyktowane uczuciem.

JAK DZIECI

W Stadthagen (Dolna Saksonia) doszło do poważnej awantury. Zaczęło się od kłótni dzieci o piłkę. Do akcji wkroczyli rodzice, ale zamiast uspokoić swoje pociechy, sami rzucili się na siebie. W ruch poszły m.in. drewniane elementy mebli. Interweniowała policja. By rozdzielić uczestników bijatyki, użyła gazu pieprzowego. Pięć osób zostało rannych. Trwa śledztwo w sprawie niebezpiecznego uszkodzenia ciała. ©℗

Filip Memches



JACEK PRZYBYLSKI

GLOBALNE OCHŁODZENIE

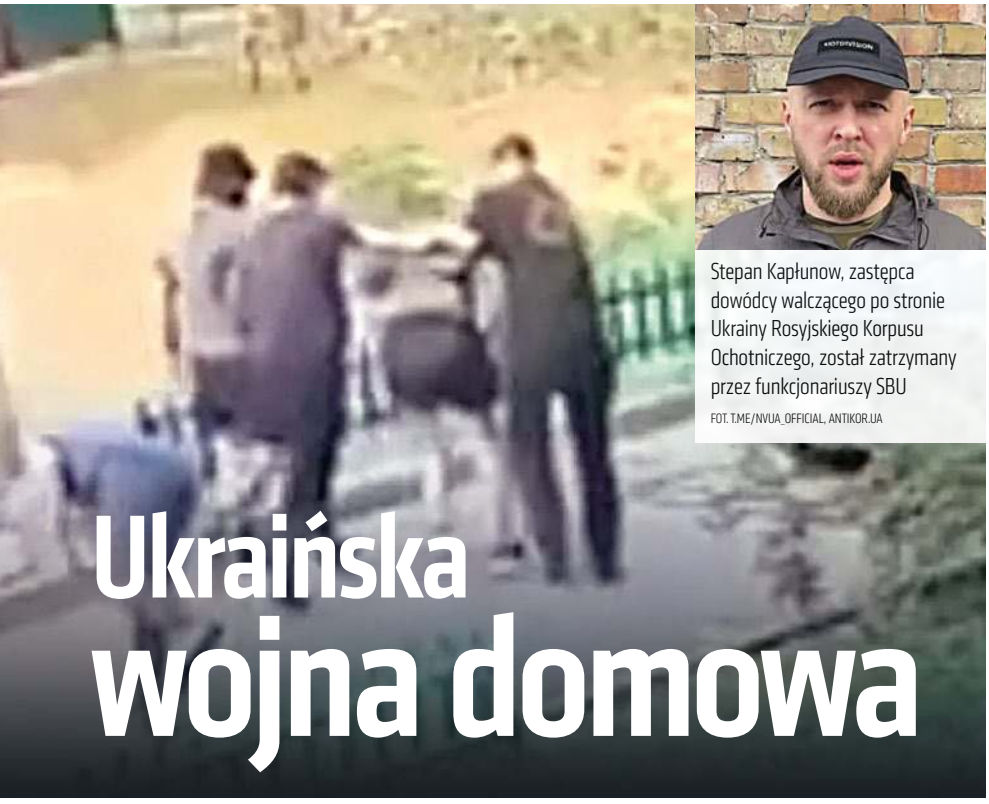
Dłużnicy w tarapatach

Rentowności obligacji rządowych USA osiągnęły poziomy niewidziane od globalnego kryzysu finansowego w 2007 r. Obligacje 30-letnie nie były zaś na takich poziomach od dekad. Powodem są nie tylko wojny prowadzone przez Trumpa, lecz także jego obietnica wypłaty 5 tys. dol. każdemu dorosłemu Amerykaninowi, jeśli republikanie wygrają w listopadowych wyborach. Do rekordowego długu publicznego USA – już wynosi ponad 40 bln dol. i pierwszy raz od 1946 r. przekracza wartość 100 proc. PKB – trzeba by bowiem doliczyć 1,2 bln dol. Kto USA zabroni? Być może zagraniczni inwestorzy, którzy coraz mniej chętnie kupują rządowe papiery.

Powody do niepokoju ma również polski minister finansów. Rząd od miesięcy niebezpiecznie balansuje na granicy limitu zadłużenia. Deficyty budżetowe są na rekordowych poziomach. A rentowność obligacji 10-letnich wciąż niepokojąco rośnie. Polska w ubiegłym tygodniu musiała płacić 6,43 proc. odsetek rocznie za obligacje 10-letnie. Tak drogo nie było od 2023 r. Rosną więc koszty obsługi długu. W tym roku szacuje się je na 90 mld zł (to o jedną piątą więcej niż rok wcześniej), a w 2027 r. na ok. 120 mld zł. Przekroczenie limitu zadłużenia w wysokości 55 proc. PKB jest tylko kwestią czasu.

Rząd zakłada, że wskaźnik ten wzrośnie z 51,9 proc. w 2026 r. do 54,8 proc. w 2027 r. Rada Fiskalna ostrzegła jednak, że ryzyko przekroczenia w 2027 r. progu ostrożnościowego przez państwowy dług publiczny jest „bardzo wysokie". Gdy już do tego dojdzie, rząd będzie musiał ciąć wydatki lub podwyższać podatki. Obawiam się, że znów politycy będą woleli więcej zabrać ciężko pracującym, aby móc jeszcze coś rozdać „swoim" wyborcom. ©℗

eprasa.pl dd77bf8fed



Stepan Kapłunow, zastępca dowódcy walczącego po stronie Ukrainy Rosyjskiego Korpusu Ochotniczego, został zatrzymany przez funkcjonariuszy SBU

FOT. T.ME/NVUA_OFFICIAL, ANTIKOR.UA

Ukraińska wojna domowa



Maciej Pieczyński

Nad Dnieprem ostatnio więcej dzieje się na froncie wewnętrznym niż na froncie zewnętrznym. Wojna na górze usunęła w cień wojnę z Rosją

O tym, że państwo ukraińskie jest toczone licznymi patologiami, wiemy nie od dziś. Do niedawna jednak w tym kontekście mówiło się głównie o korupcji. Ujawniane były kolejne skandale, obnażające chciwość urzędników, opieszałość „kryszujących" (chroniących) ich polityków, a przy okazji przynajmniej względną skuteczność organów ścigania. Mychajło Tkacz, dziennikarz śledczy „Ukraińskiej Prawdy", walkę z łapownictwem określił mianem frontu wewnętrznego, na którym musi zaangażować się sam prezydent Wołodymyr Zełenski. W przeciwnym wypadku kraj, zepsuty od środka, może sobie nie poradzić na froncie zewnętrznym – rosyjskim. Tymczasem od kilku tygodni nieoczekiwanie otworzył się nowy odcinek wewnętrznych starć. Wyjątkowo spektakularny i dla samego państwa niebezpieczny. Odcinek frontu walki między różnymi ośrodkami władzy nad Dnieprem.

WIERZCHOŁEK GÓRY LODOWEJ

Koniec sierpnia. W tajemniczych okolicznościach znika Stepan Kapłunow – zastępca dowódcy Rosyjskiego Korpusu Ochotniczego, podlegającego rozkazom wywiadu wojskowego HUR. Okazuje się, że został zatrzymany przez SBU. I tu pojawia się rozdźwięk. Otoczenie Kapłunowa z HUR mówi o porwaniu. SBU zaś dowodzi, że zatrzymany był agentem Kremla. Miał pomagać FSB w organizacji zamachu na rosyjskiego opozycjonistę, przebywającego na Ukrainie. Późnym wieczorem 1 września funkcjonariusze SBU przywożą Kapłunowa do jego kijowskiego mieszkania, aby przeprowadzić tam czynności procesowe. Na miejscu czeka oddział HUR, by odbić swojego człowieka. Dochodzi do regularnej wymiany ognia między funkcjonariuszami dwóch najważniejszych ukraińskich służb specjalnych. W strzelaninie nikt nie ginie, trzech funkcjonariuszy HUR jest rannych. Nazajutrz sytuacja się uspokaja. Dochodzi do negocjacji. Wkracza trzecia służba – DBR, czyli Państwowe Biuro Śledcze. Status podejrzanych otrzymuje po jednym funkcjonariuszu z SBU i HUR. Prokurator generalny Rusłan Krawczenko na razie stwierdza, że ich wersje się wykluczają, więc potrzebne jest szczegółowe dochodzenie.

Kilka dni później gorąco się robi na sąsiednim odcinku tego samego frontu. 5 września niezależne instytucje antykorupcyjne NABU i SAP ogłaszają, że rozbiły zorganizowaną grupę przestępczą, zajmującą się „kryszowaniem" (czyli „opieką" polegającą na wymuszaniu haraczu) fałszywych call center, wyłudzających telefonicznie pieniądze od ludzi pod pretekstem rzekomych usług bankowych czy inwestycyjnych. Operacja nosiła kryptonim „Kartagina". Organizację przestępczą założył wysoko postawiony urzędnik Biura Prokuratora Generalnego Serhij Kropywa. Do współpracy wciągnął innych pracowników prokuratury. Kropywa i inni podejrzani zostali aresztowani. 7 września prokurator generalny Krawczenko spotyka się z prezydentem Zełenskim oraz z szefem frakcji Sługi Narodu w Radzie Najwyższej. Składa rezygnację z zajmowanego stanowiska. Wciąż jednak formalnie pozostaje w fotelu naczelnego oskarżyciela kraju. Dekret o dymisji czeka na podpis prezydenta. Kilka dni później Krawczenko kontratakuje. Późnym wieczorem 13 września, jako nadal urzędujący prokurator generalny, uderza w szefa NABU Semena Krywonosa. Stawia mu zarzuty m.in. fałszowania dokumentów. W 2008 r. Krywonos był oskarżony o udział w kupowaniu głosów studentów podczas wyborów. Miał wtedy fikcyjnie uznać ojcostwo dziecka samotnej matki, a następnie przedstawić dokumenty wskazujące, że ma na utrzymaniu małoletnie dziecko. Miało mu to umożliwić skorzystanie z amnestii i uniknięcie odpowiedzialności karnej. Krywonos odrzuca tę wersję i twierdzi, że zarzuty Krawczenki są bezpodstawne. Dwie godziny później Krawczenko rezygnuje z państwowej ochrony, a o 2.30 w nocy przekracza granicę z Polską i wyjeżdża z Ukrainy. Dopiero kilka godzin później, będąc już za granicą, publicznie ogłasza zarzuty wobec Krywonosa, a następnie publikuje ponadtrzydziestostronicowy dokument, który ma je uzasadniać. Co więcej, stawia też poważny zarzut NABU i SAP. Niezależne

eprasa.pl dd77bf8fed

służby antykorupcyjne miały w ramach „Kartaginy" przejąć i ukryć materiały dotyczące zarzutów przeciwko ich własnym funkcjonariuszom. Krawczenko opuścił kraj na podstawie legalnie wydanej delegacji. Okoliczności jednak jasno wskazują, że w praktyce była to ucieczka. Dzień po ucieczce Zełenski, za zgodą Rady Najwyższej, ostatecznie dymisjonuje Krawczenkę.

NIEOSTRA GRANICA

Kto w tym wszystkim ma rację? Jednoznacznie ocenić trudno. W obu, luźno ze sobą powiązanych, skandalach kwestia sporu o personalia jest jedynie wierzchołkiem góry lodowej. Na nagraniu opublikowanym przez SBU Kapłunow przyznał się do kontaktów z FSB. Jak jednak zaznaczył jego dowódca Denis Kapustin, sam kontakt nie jest jeszcze równoznaczny ze współpracą. SBU twierdzi, że w telefonie Kapłunowa znalazła jego korespondencję z przedstawicielem FSB. Według Kapustina mogła ona jednak być elementem szerszej gry operacyjnej HUR. Tak czy inaczej, zastępca dowódcy Rosyjskiego Korpusu Ochotniczego po przyznaniu się został wypuszczony. I wtedy wycofał swoje zeznania, twierdząc, że zostały na nim wymuszone presją psychologiczną i groźbami. Niemniej Kapłunow był jedynie iskrą na prochu. SBU i HUR wchodziły sobie w drogę już wcześniej. Portal Suspilne przypomniał, że do ostrego konfliktu doszło już w marcu 2022 r. Kontrwywiad SBU zastrzelił w centrum Kijowa bankiera, uczestniczącego w negocjacjach rosyjsko-ukraińskich. Podejrzewany był o zdradę, miał jednak wykonywać zadania zlecone przez HUR. Obie służby rywalizują ze sobą.

Podobnie rywalizują ze sobą państwowa prokuratura i niezależne organy antykorupcyjne. W teorii mechanizm powinien działać sprawnie: NABU i SAP kontrolują najwyższych urzędników, bo formalnie są poza systemem, nieuwikłane w korupcjogenne systemy zależności. Łapownictwo jest wskazywane w sondażach jako zagrożenie dla bezpieczeństwa niemal tak poważne jak wojna. Każda próba ograniczenia swobody NABU i SAP postrzegana jest przez opinię publiczną jako zamach na demokrację. Z drugiej strony, Krawczenko argumentuje, że niezależność tych instytucji zamienia się w bezkarność. Jeśli NABU i SAP patrzą na ręce wszystkim i cieszą się nieposzlakowaną opinią, to kto będzie patrzeć im samym na ręce? Szczególnie że w warunkach ukraińskich między pozytywnym bohaterem walki z korupcją a negatywnym bohaterem śledztwa w sprawie korupcji czasem jest nieostra granica.

Te dwa potężne skandale mają ze sobą więcej wspólnego, niżby mogło się wydawać. Zarówno w awanturze HUR versus SBU, jak i w konflikcie prokuratura generalna versus NABU i SAP chodzi o mniej więcej to samo. Są to dwa przykłady walki o władzę i wpływy. Stronami frontu nie są ani odmienne polityczne wizje Ukrainy, ścierające się przy urnach, w demokratycznych wyborach, ani klany oligarchiczne, konkurujące o pieniądze i dostęp do ucha rządzących. W warunkach wojny iście mafijnymi metodami walczą ze sobą całe instytucje państwa. Powołane po to, by stawić czoła wrogom zewnętrznym, nieustannie szukają wrogów wewnętrznych. Swoich, a nie państwa.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

REKLAMA



eprasa.pl dd77bf8fed



Wrześniowa ofensywa Huti doprowadziła do nagłego wzrostu cen ropy. Rebelianci przejęli bowiem kontrolę nad kluczowym szlakiem żeglugowym łączącym Europę z Azją FOT. HOUTHI MILITARY MEDIA CENTER/EPA/PAP

Jeźdźcy apokalipsy na... europejskich stacjach paliw



Jacek Przybylski

Wspierani przez Iran bojownicy Huti przejęli kontrolę nad jemeńskim wybrzeżem Morza Czerwonego i cieśniną Bab al-Mandab. To właśnie ten szlak stanowił trasę umożliwiającą dotąd ominięcie blokowanej przez Irańczyków cieśniny Ormuz. Problem nie polega już tylko na tym, że paliwo drożeje, ale na tym, że może go zacząć brakować

Bojownicy wspieranej przez Iran organizacji Ansar Allah – znanej jako Huti – kontrolują znaczną część Jemenu, w tym stolicę kraju – Sanę. W ostatnich sześciu tygodniach zdołali przełamać linie frontu, które od 2022 r. pozostawały w dużej mierze zamrożone i z sukcesami zaczęli atakować cele w sąsiedniej Arabii Saudyjskiej. Ich operacje stały się tak skuteczne, że de facto otworzyły nową linię frontu w regionalnej wojnie, która od lutego – czyli rozpoczęcia wojny Stanów Zjednoczonych i Izraela z Iranem – zmieniła gospodarczy obraz nie tylko Bliskiego Wschodu, lecz także dużej części świata. W ubiegłym tygodniu wspierani przez Iran bojownicy przejęli kontrolę nad portowym miastem Mokka nad Morzem Czerwonym oraz nad wyspami Wielki i Mały Hanisz – położonymi w pobliżu strategicznego przesmyku Bab al-Mandab (zwanego też „Bramą Łez"). Innymi słowy: Huti przejęli kontrolę nad kluczowym szlakiem żeglugowym łączącym Europę z Azją – a dokładniej Morze Czerwone z Oceanem Indyjskim – i zmienili warunki światowego transportu ropy z Bliskiego Wschodu z trudnych na fatalne.

Zdobycie wysp położonych w środku szlaku zwiększyło skuteczność ataków na przepływające tamtędy saudyjskie tankowce, którym bojownicy Huti oficjalnie zabronili korzystania z cieśniny Bab al-Mandab. A to wcale nie jedyne sukcesy wspieranych przez Iran rebeliantów. Huti pochwalili się m.in. zestrzeleniem saudyjskiego myśliwca F-15 (niepotwierdzonym przez saudyjskie władze). Bojownikom finansowanym przez Teheran udało się również 10 września za pomocą dronów poważnie uszkodzić biegnący przez Półwysep Arabski saudyjski rurociąg Wschód-Zachód, liczący 1,2 tys. km i stanowiący w ostatnich miesiącach główną drogę transportu ropy z Bliskiego Wschodu do odbiorców w Europie i na innych kontynentach, omijającą zablokowaną cieśninę Ormuz. Rurociągiem przesyłano dziennie nawet 5–7 mln

eprasa.pl dd77bf8fed

baryłek ropy. Do ataku oficjalnie nikt się nie przyznał, ale według Donalda Trumpa winowajca jest oczywisty: to Iran. Niezależnie od tego, kto był faktycznym sprawcą ataku, efekt uszkodzenia rurociągu jest druzgocący: koncern Saudi Aramco ogłosił anulowanie części dostaw ropy do Europy zaplanowanych na koniec września.

I chociaż Saudowie deklarują, że chcą jak najszybciej przywrócić chociaż połowę przepustowości ropociągu, to naprawienie uszkodzonej magistrali może potrwać ok. sześciu tygodni. Zdaniem analityków zapasy zgromadzone w porcie Janbu bez naprawy rurociągu powinny wystarczyć zaledwie na pięć–siedem dni. Arabia Saudyjska już w sierpniu po atakach na tankowce ograniczyła eksport do zaledwie 3 mln baryłek ropy dziennie, czyli najniższego poziomu od mniej więcej dekady. Tymczasem według szacunków Międzynarodowej Agencji Energetycznej po uszkodzeniu rurociągu dostawy ropy naftowej z Arabii Saudyjskiej spadły do najniższego poziomu od ponad trzech dekad. Zdaniem ekspertów ofensywa rebeliantów na saudyjskie cele może prowadzić do ograniczenia globalnej podaży ropy o od 4 proc. do 5 proc.

Baraa Shiban, badacz specjalizujący się w Jemenie i Zatoce Perskiej w Royal United Service Institute (RUSI), ostrzegł w rozmowie z portalem Al-Dżaziry, że Irańczycy wraz z Huti zagrażają niemal jednej trzeciej globalnych dostaw ropy.

W efekcie militarnych sukcesów Huti cena za baryłkę ropy Brent skoczyła do 108 dol. (to 59 proc. drożej niż w tym samym okresie ubiegłego roku). Cytowani przez Bloomberg News analitycy Goldman Sachs prognozowali już przed kilkunastoma dniami, że ceny ropy mogą wzrosnąć nawet do 120 dol. za baryłkę, jeśli wzrośnie liczba ataków na transport morski na Bliskim Wschodzie. Bankierzy zalecili wówczas inwestowanie w gaz ziemny i olej napędowy jako sposób na osiągnięcie zysków. Na szczęście doniesienia o próbach przywrócenia przesyłu przez Saudów w krótkim czasie zbiły cenę w okolice 102–105 dol. za baryłkę.

Mimo to rosnące geopolityczne niepokoje to zawsze zła wiadomość dla kierowców nad Wisłą. W 2025 r. ropa z regionu Bliskiego Wschodu i Zatoki Perskiej do polskich rafinerii stanowiła ok. 40 proc. wszystkich dostaw. Z rocznego raportu Orlenu wynika, że z Europy i Morza Północnego pochodziło 36 proc. surowca, a z innych kierunków (w tym ze Stanów Zjednoczonych): 24 proc. ropy.

W wydanym 12 września komunikacie Orlen uspokajał. „Dostawy surowca do rafinerii Grupy ORLEN realizowane są bez zakłóceń. Koncern konsekwentnie dywersyfikuje źródła dostaw i rozwija własne wydobycie. Tylko w tym roku spółka m. in. zabezpieczyła do jednej czwartej zapotrzebowania w ramach umowy z norweskim Equinor i zwiększyła własne zasoby o 60 mln baryłek ropy (boe) poprzez zakup udziałów w norweskim złożu Goliat. Grupa ORLEN dysponuje obecnie zdywersyfikowanym i elastycznym portfelem dostawców oraz własnymi zasobami i jest w stanie na bieżąco reagować na zmiany na globalnym rynku surowcowym" – czytamy. Mniejszym optymistą był minister aktywów państwowych. – Sytuacja jest superpoważna. Chyba nie mieliśmy od wielu lat tak skrajnie trudnej i nieprzewidywalnej sytuacji – przyznał Wojciech Balczun.

10 ZŁ ZA LITR?

W ubiegłym tygodniu szok podażowy wywindował ceny na światowych rynkach do poziomu powyżej 100 dol. za baryłkę. Czy może być jeszcze gorzej? Niestety, tak. Kolejne ataki Huti i incydenty w cieśninie Ormuz mogą zwiększyć koszty dostaw i wydłużyć czas potrzebny na przetransportowanie gazu i ropy z Bliskiego Wschodu na Stary Kontynent. Po ograniczeniu przepływu przez cieśninę Ormuz przez irańskie siły zbrojne i przejęciu kontroli nad cieśniną Bab al-Mandab przez jemeńskich rebeliantów jedyną pewną i bezpieczną drogą do Europy pozostaje szlak wokół Przylądka Dobrej Nadziei. Ta trasa wydłuża jednak podróż o mniej więcej dwa–trzy tygodnie. Dłuższy szlak oznacza również oczywiście większe zużycie paliwa przez statki. Do tego trzeba doliczyć koszty szybko rosnących stawek za ubezpieczenia morskie.

Uszkodzone przez irańskie rakiety zakłady przetwórcze na Bliskim Wschodzie przekładają się też na wzrost marż rafineryjnych. – Naprawdę już jest bardzo blisko do tego, żeby w kraju paliwo było na poziomie 10 zł. I to nie jest niestety najbardziej pesymistyczny scenariusz – mówił w ubiegłym tygodniu dziennikowi „Fakt" prezes zarządu Unimotu Adam Sikorski, ostrzegając, że jeśli innym odbiorcom ropy zacznie brakować surowca, to będą go szukać tam, gdzie zaopatrują się też polskie rafinerie. To zaś może oznaczać kolejne podwyżki.

W pierwszej kolejności te wszystkie składniki przełożą się na podwyżki cen ropy oraz gazu. Już w zeszłym tygodniu ceny na stacjach poszybowały w górę. Za litr benzyny 95-oktanowej trzeba było już płacić 7,99 zł. Za benzynę Pb98 trzeba było płacić ok. 8,79 zł za litr, a cena oleju napędowego na wielu stacjach w Polsce przebiła już psychologiczną granicę 9 zł za litr, a gdzieniegdzie zaczęła zmierzać już w kierunku 9,10 zł/l. Lepiej wygląda sytuacja kierowców tankujących autogaz, ale i oni coraz częściej muszą płacić ponad 3 zł/l. Koszmarnie drogo jest nie tylko w Polsce. Według danych automobilklubu ADAC litr oleju napędowego rekordowo wysokie ceny osiągał również np. w Niemczech (średnio 2,453 euro).

Droższe ceny surowców energetycznych oznaczają potężny drenaż portfeli kierowców oraz drastyczny wzrost kosztów transportu towarów, logistyki, ogrzewania czy produkcji. Trzeba też pamiętać, że przez Kanał Sueski i Bab al-Mandab przepływają nie tylko tankowce, lecz także niemal 10 proc. globalnego handlu morskiego. Blokada tego szlaku może więc uderzyć w europejski sektor medyczny, maszynowy, motoryzacyjny czy tekstylny. Szok energetyczny w gospodarce widoczny jest co prawda zwykle z opóźnieniem, ale już teraz wiele zachodnich państw ma problem ze zbyt wysoką inflacją.

Według kierującej Europejskim Bankiem Centralnym Christine Lagarde obecny wstrząs geopolityczny i energetyczny w strefie euro ma charakter długotrwały. Ekonomistka, stojąca na czele banku, który decyduje o polityce monetarnej w 21 krajach strefy euro, ostrzegła w wywiadzie dla „Ouest-France", że podwyższona inflacja w strefie euro utrzyma się na wysokim poziomie jeszcze przez jakiś czas. 10 września Europejski Bank Centralny zdecydował się więc na drugą od wybuchu konfliktu na Bliskim Wschodzie podwyżkę stóp procentowych. Tempo wzrostu cen w strefie euro coraz bardziej oddala się bowiem od 2-procentowego celu EBC (ze wstępnych danych Eurostatu wynika, że w sierpniu inflacja w strefie euro sięgnęła 3,3 proc. w ujęciu rocznym i była najwyższa od

eprasa.pl dd77bf8fed



Zdjęcie satelitarne przedstawiające widok stacji pomp wzdłuż głównego szlaku rurociągu Wschód-Zachód w al-Mesabaah, 13 września 2026 r.

FOT. SATELLITE IMAGE ©2026 VANTOR/AFP/EAST NEWS

niemal dwóch lat). Zdaniem inwestorów do trzeciej w tym roku podwyżki stóp przez Europejski Bank Centralny może więc dojść już na posiedzeniu 29 października. Na podwyżkę stóp zdecydowała się także 16 września amerykańska Rezerwa Federalna (Fed). Wyższe stopy procentowe to zaś większe koszty obsługi kredytu – zarówno przez statystycznego mieszkańca, jak i przez przedsiębiorstwa.

KOLEJNA WOJNA BEZ KOŃCA?

Dobra wiadomość dla zachodniego świata jest taka, że chociaż rebelianci Huti są wyjątkowo zdeterminowani, to mogą mieć coraz większe problemy militarne i logistyczne z utrzymaniem swoich zdobyczy terytorialnych w okolicy cieśniny Bab al-Mandeb. Żeby kontrolować tak duży obszar potrzeba bowiem ogromnych regularnych sił (tymczasem jemeńscy bojownicy specjalizują się głównie w walce partyzanckiej) oraz ciągłości dostaw zaopatrzenia (poleganie na tradycyjnym w przypadku rebeliantów szmuglowaniu broni może w tym wypadku nie wystarczyć). Nie wiadomo, jak długo będą więc w stanie stawiać opór kontrofensywie saudyjskiej armii, która dysponuje chociażby przewagą w powietrzu. Saudyjczycy w ciągu zaledwie 24 godzin walk przeprowadzili na pozycje wroga aż 54 naloty. Ataki na statki przepływające przez cieśninę mogą również sprowokować do działań zbrojnych takie kraje jak np. Wielka Brytania. Arabia Saudyjska ma też możliwość sprawdzenia możliwości „muzułmańskiego NATO", czyli zawartego 7 sierpnia 2026 r. w Mekce sojuszu obronnego z Turcją i Pakistanem. Polityczny powód do wspólnej interwencji by się znalazł. Organizacja Współpracy Islamskiej (OWI) potępiła już „ohydne ataki" na Mekkę i region Medyny.

Jednocześnie Arabia Saudyjska prowadziła za pośrednictwem Dowództwa Centralnego Stanów Zjednoczonych (CENTCOM) rozmowy z Izraelem o wsparciu wywiadowczym w obronie przed atakami jemeńskich rebeliantów. A co w tej sprawie zrobi Donald Trump? Na razie miga się, jak tylko może. Przed listopadowymi wyborami połówkowymi do Kongresu nie może bowiem wygłosić orędzia do Amerykanów, w którym zapowie, że zamierza otworzyć kolejny front w Jemenie. Nie mogąc liczyć na pomoc Amerykanów, Arabia Saudyjska zwróciła się do Chin z prośbą, by te wymogły na Iranie powstrzymanie ofensywy Huti. Pekin spełnił już prośbę i interweniował dyplomatycznie w Teheranie.

Jak będzie konkretnie skutek tej interwencji? Nie wiadomo. Pewne jest jedno: nawet jeśli prozachodnim siłom uda się odbić tereny z rąk jemeńskich rebeliantów, to wojna z Iranem potrwa do listopadowych wyborów w Stanach Zjednoczonych, a zapewne wiele lat dłużej. Jak poinformował kilka dni temu „Wall Street Journal" doradcy obecnego gospodarza Białego Domu – wiceprezydent J.D. Vance, sekretarz stanu Marco Rubio – ostrzegli go, że wojna z Iranem może potrwać dłużej niż jego kadencja (jej koniec planowany jest na 20 stycznia 2029 r.). Sam Trump twierdzi, że wojna na Bliskim Wschodzie skończy się tuż po wyznaczonych na 3 listopada wyborach do Kongresu, ponieważ obecnie Iran „desperacko próbuje wpłynąć na wynik głosowania", ale nie będzie w stanie wytrzymać amerykańskiej presji gospodarczej. Podobną deklarację złożył premier Izraela Beniamin Netanjahu, przekonując w wywiadzie dla „Times of Israel", że wygrana z „terrorystycznym irańskim reżimem" jest już bliska. Na razie to jednak władze w Teheranie są w stanie z sukcesem prowadzić wojnę ekonomiczną, każąc zachodnim społeczeństwom ponosić coraz wyższe koszty tej wojny.

IRAN JAK WENEZUELA?

W sprawie terminu zakończenia wojny na Bliskim Wschodzie 13 września Donald Trump kolejny raz zaprzeczył sam sobie i zasugerował, że wojna mogłaby potrwać dłużej, a Stany Zjednoczone mogłyby pozostać w Iranie i „zachować ropę". Podczas wizyty w Irlandii nawiązał w ten sposób do amerykańskich wysiłków mających na celu siłowe przejęcie kontroli nad jedną piątą rezerw ropy naftowej Wenezueli (potwierdzone zasoby wenezuelskiej ropy to ok. 303 mld baryłek, czyli 20 proc. światowych rezerw). – Ostatecznie wycofamy się (z Iranu), chyba że zdecydujemy się zostać i zatrzymać ropę, tak jak Wenezuela – oznajmił Trump, dodając, że dochody USA z Wenezueli „wielokrotnie przewyższyły koszty wojny".

Amerykański przywódca dodał, że cena ropy „spadnie gwałtownie", gdy tylko wojna z Iranem się skończy. Ten optymistyczny scenariusz biorą pod uwagę również globalni inwestorzy. Według cytowanych wyżej analityków Goldmana Sachsa, jeśli sytuacja rzeczywiście się uspokoi, a poziom eksportu ropy z Bliskiego Wschodu wróci na poziomy przed amerykańsko-izraelskim szturmem na Iran, to cena ropy może szybko spaść do 80 dol. za baryłkę. I chociaż trudno ten scenariusz uważać za najbardziej prawdopodobny, to właśnie jego realizacji państwu, czytelnikom i sobie samemu życzę.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl dd77bf8fed



PROSTO ZYGZAKIEM

Szpitale „szukają" pieniędzy...

PIOTR GABRYEL

Szpitale szukają pieniędzy. Na co? „Szpitale szukają pieniędzy na podwyżki" – tak zatytułował na swojej pierwszej stronie czołówkowy artykuł „Dziennik Gazeta Prawna".

A jak one – te szpitale – szukają tych pieniędzy na podwyżki dla swoich pracowników? Dodajmy, na kolejne sowite podwyżki dla swych świetnie i coraz lepiej opłacanych pracowników, w tym lekarzy (i pielęgniarek), w tym lekarzy milionerów? Ano, po prostu nie odprowadzają do ZUS składek za swoich pracowników, w tym za lekarzy i pielęgniarki... Po prostu nie płacą za nich tych składek…

Przed rokiem szpitale i przychodnie winne były ZUS aż 1 mld zł niezapłaconych składek, a teraz są mu winne już aż 1,18 mld zł, czyli aż o ok. 20 proc. więcej, i z każdym miesiącem ich zadłużenie wobec ZUS rośnie. No ale wiadomo, ustawa premiera Morawieckiego z 2022 r. wprowadziła niedorzecznie horrendalne, coroczne podwyżki minimalnych pensji lekarzy i pielęgniarek i w jej efekcie 1 lipca 2026 r. płace ich znów mocno poszły w górę – w tym roku aż o 8,82 proc. (przy trzyprocentowej inflacji). A w 2025 r. wzrosły aż o 14,34 proc. I właśnie żeby te wielkie podwyżki sobie i coraz bogatszym kolegom medykom wypłacić, niektórzy dyrektorzy szpitali nie płacą za nich składek na ZUS. A nie płacą, bo kto im tego zakaże? A może ktoś zmusi ich do zapłacenia tych zaległych składek?

No i właśnie sobie pomyślałem, że może także my w swoich firmach w ten sam sposób poszukalibyśmy pieniędzy na podwyżki dla siebie i swoich pracowników? I też przestalibyśmy płacić składki do ZUS? I natychmiast oczami wyobraźni zobaczyłem, jak by się to dla nas skończyło: nakazy natychmiastowej zapłaty, zajęte konta, serie kontroli. Tak byłoby w naszym przypadku, ale nie w przypadku niepłacących składek do ZUS szpitali (czy kopalni), które bezkarnie mogą się zadłużać w nieskończoność, a jedyne, co władze państwa potrafią w ich przypadku zrobić, to umorzyć im zaległości i zmusić do zapełnienia powstałej w ten sposób dziury w ZUS nas, pozostałych płatników, jeszcze bardziej podnosząc nam wysokość składek.

I w ten oto sposób szpitale wykorzystują nas podwójnie – raz na niebotycznych podwyżkach pensji z naszych, podatników, pieniędzy (zafundowanych im przez znanego z rozrzutności publicznych pieniędzy premiera Morawieckiego), a dwa – nie płacąc składek do ZUS i zmuszając nas do opłacania ich za nie.

Dlatego ów artykuł, zamieszczony na pierwszej stronie „Dziennika Gazety Prawnej", powinien nosić tytuł: „Jak szpitale łupią innych płatników ZUS". Wtedy byłby bliższy prawdy. Bo szpitale potrafią szukać pieniędzy tylko w naszych kieszeniach. ©℗



NOTATNIK MALKONTENTA

W co zagrał Rozwój Plus?

ŁUKASZ WARZECHA

Do 25 września prezydent musi zdecydować, co zrobi z ustawą o wykonywaniu orzeczeń Europejskiego Trybunału Praw Człowieka. Ustawą groźną i fatalną, którą Sejm uchwalił ostatecznie 4 września.

ETPC nie jest organem Unii Europejskiej (mylić może nazwa oraz siedziba w Strasburgu) – jest organem istniejącej od 1949 r. Rady Europy, organizacji całkowicie odrębnej od UE, której Polska jest członkiem od 1991 r. Należą też do niej takie państwa, takie jak: Turcja, Azerbejdżan, Gruzja czy Albania.

Takie podejście w oczywisty sposób ogranicza suwerenność państwa

Przystąpienie do Rady Europy jest obwarowane ratyfikacją Europejskiej Konwencji Praw Człowieka i właśnie ona jest podstawą wyroków ETPC. Jeśli jednak ktoś sądzi, że wyroki te są pozbawione ideologicznego nalotu, to mocno się myli. Obecna przedstawicielka Polski w tym gremium (od 2024 r.), Anna Adamska-Gallant, była w przeszłości członkiem Stowarzyszenia Sędziów Polskich „Iustitia", zaś w okresie pierwszych rządów Donalda Tuska była sędzią oddelegowanym do Ministerstwa Sprawiedliwości. Sędziów wybiera co prawda Zgromadzenie Parlamentarne RE, ale kandydatów krajów wybierają rządy.

Polska na mocy konwencji jest zobowiązana do uwzględniania wyroków ETPC, jednak niebezpośrednio i nieautomatycznie. Ustawa tworzy zaś taki właśnie mechanizm, zawierając postanowienie, że „podmiot publiczny w zakresie swojej właściwości niezwłocznie podejmuje działania w celu wykonania orzeczenia Trybunału i współdziała z innymi podmiotami publicznymi w tym celu". Takie podejście w oczywisty sposób ogranicza suwerenność państwa i osłabia ewentualny hamulec konstytucyjny.

Najciekawsze jest to, że w czasie głosowania w Sejmie przeciwko były kluby PiS i Konfederacji oraz koła Korony i Demokracji, podczas gdy klub Rozwoju Plus się wstrzymał (tylko Ryszard Terlecki był przeciw). Gdy taka dziwna postawa ludzi pana Morawieckiego zaczęła być publicznie krytykowana, głos zabrał Paweł Jabłoński z R+, twierdząc, że… ustawa niczego nie zmienia i dlatego nie było sensu głosować przeciwko. Argument zaiste intrygujący. W takim razie po co rząd ten projekt przedstawił? Z braku zajęcia? Tusk się akurat nudził? Bardziej jednak zasadne jest pytanie: dlaczego R+ w tak drażliwej, ważnej kwestii ustawił się w koniunkturalnej pozycji? ©℗

eprasa.pl dd77bf8fed



FOT. ADOBESTOCK

Z dr. Jakubem Boguckim, analitykiem rynku paliw z e-petrol.pl
rozmawia Tomasz Cukiernik

Paliwowa drożyzna

TOMASZ CUKIERNIK: W mediach społecznościowych pojawiają się wyliczenia, że w 2022 r. baryłka ropy kosztowała 118 dol., dolar był po 4,5 zł, a cena litra benzyny wynosiła 5,84 zł, a w tym roku baryłka kosztuje 82 dol., dolar jest po 3,8 zł, a mimo to benzyna kosztuje 7,9 zł. Na ile to jest zgodne z prawdą?

DR JAKUB BOGUCKI: Wskazywana cena 5,84 zł z 2022 r. była efektem wprowadzonej wówczas nadzwyczajnej tarczy antyinflacyjnej i obniżonej stawki VAT, co miało charakter tymczasowy. Kiedy w tamtym okresie notowania ropy faktycznie osiągały szczyty, ceny na polskich stacjach regularnie przekraczały 7,5–8 zł. Zestawianie momentu sztucznego zamrożenia podatków z bieżącymi realiami podatkowymi fałszuje obraz sytuacji. Kluczowe nieporozumienie dotyczy też samego mechanizmu wyceny. Kierowcy często zapominają, że stacje nie kupują surowej ropy, lecz gotowe paliwo. Ostateczna cena na pylonie zależy w ogromnej mierze od tzw. crack spreadu, czyli marży rafineryjnej definiowanej jako różnica między ceną baryłki surowca a ceną gotowego produktu na giełdach międzynarodowych. Może się więc zdarzyć, że sama ropa na giełdach tanieje, ale jeśli na świecie brakuje mocy przerobowych, rosną koszty energii dla rafinerii albo popyt na gotowe paliwa utrzymuje się na wysokim poziomie, to crack spread rośnie. W efekcie koszt samego procesu produkcji winduje cenę końcową. Do tego dochodzą skumulowane koszty inflacyjne ostatnich lat – od transportu po utrzymanie infrastruktury stacji. Ostateczna cena paliwa to skomplikowana pochodna podatków, logistyki i globalnych marż rafineryjnych, a nie prosty przelicznik samej ceny ropy i kursu dolara.

Jak to jest, że na wiosnę obniżenie akcyzy i VAT dało spadek o 1 zł na litrze w przypadku popularnej 95, a po wakacjach przywrócenie samego wyższego poziomu VAT dało wzrost też o 1 zł? Czyli w dół zawsze mniej, a w górę zawsze więcej?

Wynika to z faktu, że ruchy cen przy dystrybutorze nigdy nie są pochodną wyłącznie jednej zmiennej podatkowej. Wiosną mieliśmy do czynienia ze skumulowanym efektem jednoczesnego cięcia VAT i akcyzy, na co nakładały się wówczas bardzo wysokie notowania ropy, kursy walut oraz polityka cenowa operatorów. Z kolei po wakacjach przywrócenie wyższej stawki VAT zbiegło się z zupełnie innymi trendami w zakresie cen netto surowca i paliw gotowych.

Rzecznik rządu Adam Szłapka na konferencji prasowej nie potrafił odpowiedzieć na pytanie, jak to jest możliwe, że na stacjach Skolima paliwo jest o 50–60 gr na litrze tańsze niż na Orlenie. Przecież Skolim raczej nie dopłaca do interesu.

Tu mogę się odnieść do ogólnego mechanizmu – nie znając detali polityki cenowej stacji Skolima, mogę tylko domniemywać. Tego typu różnice cenowe na pojedynczych, niezależnych stacjach

eprasa.pl dd77bf8fed

wynikają najczęściej z przyjętej strategii marketingowej, kosztów własnych oraz polityki marżowej, a nie z tego, że właściciel fizycznie dopłaca do każdego litra paliwa. W przypadku obiektów takich jak stacja prowadzona przez znanego muzyka na Podlasiu paliwo bywa traktowane jako produkt przyciągający klientów, podczas gdy kluczowym źródłem zysku mogą być wysokomarżowe produkty dodatkowe – takie jak artykuły spożywcze, napoje, kawa czy różnego rodzaju gadżety. Marża na samej benzynie czy oleju napędowym bywa w takich miejscach symboliczna, ponieważ biznes zarabiać może na tym, co kierowca dokupi w sklepie lub punkcie gastronomicznym przy okazji tankowania. Dodatkowo popularność właściciela w mediach sprawia, że tańsze paliwo generuje bezpłatny rozgłos reklamowy.

Okazuje się, że bez tak wysokich narzutów unijnych i krajowych, które mamy w Polsce, paliwo może być naprawdę tanie. Na Białorusi litr kosztuje 3,25 zł. A przecież w przeciwieństwie do Wenezueli czy Iranu (4–15 gr za litr) Białoruś raczej paliw nie dotuje. Czy u nas byłoby to możliwe?

Niskie ceny paliw na Białorusi wynikają przede wszystkim z całkowitego uzależnienia gospodarczego od Rosji i głębokich gospodarczych powiązań datujących się jeszcze od czasów sowieckich oraz odmiennego systemu podatkowego i regulacyjnego. Tamtejszy sektor energetyczny opiera się na politycznie uwarunkowanych dostawach surowców ze Wschodu. My funkcjonujemy w warunkach zdywersyfikowanego zaopatrzenia i systemie opartym na unijnych normach oraz rynkowych notowaniach giełdowych ropy i paliw. Pytanie o to, co można zmienić, jest więc pytaniem pośrednio o bezpieczeństwo energetyczne (skąd brać ropę, żeby nie być np. podatnym na surowcowy szantaż?), a także o samą mechanikę systemu unijnych dyrektyw, które narzucają Polsce i innym krajom członkowskim m.in. minimalne stawki akcyzy i opłaty paliwowej – przystępując do takiej struktury UE, zgodziliśmy się na takie rozwiązania, które w zamyśle miały nie dopuścić do nieuczciwej konkurencji podatkowej między krajami członkowskimi.

Jak to było z tym bulwersującym polskie społeczeństwo eksportem paliw przez Orlen na Ukrainę po 3 zł za litr, o czym mówił poseł Przemysław Wipler? Czyli na Ukrainę da się sprzedawać tanio, a kieszenie Polaków trzeba drenować?

Zarzut, że Orlen sprzedaje Ukrainie paliwo po zaniżonych cenach, został przez koncern już wyjaśniony w komunikacie – problem leżał tu w porównaniu wartości eksportowej bez podatków z polską ceną hurtową zawierającą daniny. Według wyjaśnień Orlenu średnia cena eksportowa w 2025 r. wynosiła 2,94 zł/l, podczas gdy porównywalna cena w Polsce, również bez podatków i opłat, wynosiła 2,84 zł/l. Innymi słowy, na eksporcie paliwa na Ukrainę Orlen – według własnych danych – nie ponosił straty, lecz osiągał marżę. Wydaje się, że w spektakularnych zarzutach mogło dojść do pewnego niezrozumienia zasad międzynarodowego handlu, co dało taki medialny rozgłos sprawie. Co do realiów ukraińskich – średnia cena benzyny 95 na Ukrainie pod koniec lipca – według ukraińskiego portalu finansowego Minfin – wynosiła ok. 6,85 zł.

Od czego zależą ceny paliw w Polsce?

Ceny paliw w Polsce zależą przede wszystkim od globalnych notowań ropy naftowej na giełdach oraz kursu dolara, ponieważ to w tej walucie kupuje się surowiec. Drugim kluczowym czynnikiem są koszty przerobu i marże rafinerii, które rosną, gdy na świecie brakuje gotowego paliwa. Całość dopełniają krajowe podatki i opłaty, takie jak akcyza, opłata paliwowa oraz podatek VAT, które stanowią dużą część ceny na stacji.

Jaki jest aktualnie udział podatków i opłat w cenie paliw w Polsce?

Udział podatków i opłat w cenie detalicznej benzyny 95 w początkach września 2026 r. wynosi 53,3 proc., natomiast w przypadku oleju napędowego sięga on 57,7 proc. To dużo, ponieważ ponad połowa ceny każdej tankowanej litrowej porcji trafia do państwowej kasy, lecz pamiętajmy, że wysokość tych obciążeń w dużej mierze zależy od ustaleń na poziomie Unii Europejskiej.

Pojawiają się głosy, że wysokimi cenami paliw polski konsument wspiera wojnę na Ukrainie? Jest w tym ziarno prawdy?

Nie bardzo rozumiem, jak polski kierowca miałby wspierać wojnę na Ukrainie – jeśli już jakiś konflikt pomaga Rosji w prowadzeniu wojny na Ukrainie, to raczej przedłużający się konflikt bliskowschodni, który destabilizuje globalny rynek, co generuje popyt na ropę z Rosji i podbija jej ceny. Polskie rafinerie całkowicie odcięły się od rosyjskich dostaw, opierając produkcję na kierunkach norweskim, amerykańskim i bliskowschodnim, więc płacone w kraju rachunki nie zasilają rosyjskiego budżetu wojennego.

W jaki sposób wysokie ceny paliw uderzają w polską gospodarkę?

Tu odpowiedź niestety jest oczywista – wysokie ceny paliw wywołują „efekt domina", bo droższy transport oznacza, że rosną koszty dowozu produktów do sklepów, więc jedzenie, ubrania i inne dobra automatycznie stają się droższe. W uproszczeniu – przez to ludziom zostaje w portfelach mniej pieniędzy na inne wydatki, co sprawia, że mniej kupują, a firmy mają niższe zyski.

Jakie przewiduje pan ceny paliw w Polsce w bliższej i dalszej przyszłości?

Ceny paliw w Polsce w najbliższym czasie pozostaną pod silną presją zawirowań bliskowschodnich, a dopóki ta sytuacja będzie trwać, dopóty o jakichkolwiek znaczących obniżkach na stacjach można na razie zapomnieć. Konflikt na Bliskim Wschodzie, który bezpośrednio winduje notowania ropy naftowej na globalnych rynkach, utrudnia logistykę i podbija także ceny paliw gotowych, a tym samym stabilizacja czy spadek cen przy dystrybutorach są mało prawdopodobne. Dodatkowo rządowe interwencje znane z przeszłości – takie jak czasowe cięcia akcyzy, podatku VAT czy sztuczne utrzymywanie marż przez koncerny paliwowe – w obecnej sytuacji budżetowej są – jak deklarują rządzący – po prostu poza zasięgiem państwa. W kasie państwa nie ma wolnych środków na finansowanie tarcz osłonowych, które mogłyby zamortyzować skoki cenowe. Kierowcy muszą się więc przygotować na okres utrzymującej się drożyzny, głównie za sprawą kryzysu wokół cieśniny Ormuz.

© Ⓟ Wszelkie prawa zastrzeżone



dr Jakub Bogucki *– analityk rynku paliw z e-petrol.pl.*

eprasa.pl dd77bf8fed

Dywizje piłkarskie na start



Tomasz Zbigniew Zapert

Jest istotnym elementem kalendarza futbolowego. Umożliwia rozwój maluczkim, gigantów zmusza do mobilizacji. 24 września rusza Liga Narodów UEFA

Utworzono ją przed ośmioma laty w celu wyeliminowania międzypaństwowych meczów towarzyskich. Z reguły wzbudzających niewielkie zainteresowanie i zazwyczaj ogromnie nudnych. Nowy projekt odmienił oblicze piłki nożnej na Starym Kontynencie. Każdy gol może bowiem otwierać wrota ku mistrzostwom Europy, względnie powodować degradację do niższej klasy.

Rozgrywki – finansowane głównie z praw telewizyjnych i umów sponsorskich – wpisały się już na trwałe w tradycję piłkarską. Systematycznie windują poziom gry. Ekipy otrzymują możliwość współzawodnictwa z przeciwnikami o zbliżonej klasie, co zwiększa szansę na rozwój i zyskanie doświadczenia. Rotacje między dywizjami podwyższają temperaturę konfrontacji, mobilizując uczestników do podnoszenia umiejętności. Spotkania o punkty oferują zaś kibicom emocje, których sparingi na ogół bywają pozbawione. Tym bardziej że rezultaty meczów w Lidze Narodów UEFA są uwzględniane w klasyfikacji FIFA. Wygrane i remisy dodają punktów, poprawiając lokaty zespołów na globalnej liście rankingowej, a co za tym idzie – wpływają na losowania i rozstawienia w najbardziej spektakularnych imprezach międzynarodowych.



FOT. ODLEKSANDR PRYKHODKO/ADOBE STOCK

AWANSE I SPADKI

Klucz zawodów stanowi podział europejskich drużyn narodowych na cztery dywizje (A, B, C, D) – według rankingu UEFA. Dzięki temu konkurują w nich – systemem każdy z każdym, mecz i rewanż – zespoły o podobnym potencjale. Triumfatorzy zmagań w dywizjach: B, C i D awansują o „jedną literę alfabetu", a najsłabsze ekipy z dwóch pierwszych spadają –1. W zasadzie nie ma zatem pojedynków pozbawionych znaczenia. Przeważnie odbywają się one od września do listopada. Zwycięzcy grup z dywizji A walczą w czerwcu roku następnego – w turnieju finałowym – o miano czempiona Ligi Narodów.

Dywizje A, B i C mieszczą po cztery grupy czterodrużynowe, a dywizja D liczy dwie grupy trzyzespołowe. Starcia zapewniają także bój o dodatkowe miejsce w mistrzostwach Europy. Konkurują o to najlepsze teamy z każdej dywizji, które nie zakwalifikowały się do Euro drogą eliminacji.

JEDNOŚĆ EUROPY

Mecze w ramach Ligi Narodów UEFA inauguruje hymn. Skomponowany przez holenderskich kompozytorów w wykonaniu tamtejszej orkiestry radiowej i chóru. Melodia łączy takty muzycznej klasyki z brzmieniem elektronicznym. Zwycięzca rozgrywek otrzymuje oryginalny puchar. Wykonano go ze srebra, waży 7,5 kg, mierzy 71 cm wysokości, kształt symbolizuje konsolidację piłki nożnej na Starym Kontynencie.

Debiutancki Final Four – rok 2019 – zorganizowano w Portugalii. Gospodarze wygrali imprezę dzięki pokonaniu w finale Holandii 1:0. Dwa lata później we Włoszech Francja zwyciężyła Hiszpanię 2:1. Ta ostatnia okazała się najlepsza w 2023 r. (Holandia), pokonała – po serii rzutów karnych, 5:4 – Chorwację. Konkurs „jedenastek" rozstrzygnęli też na swoją korzyść – przed rokiem – Portugalczycy (5:3 z Hiszpanami).

POLONICA

Za pierwszym razem Biało-Czerwoni, pod egidą trenera Jerzego Brzęczka, okazali się słabsi w grupie od Włochów oraz Portugalczyków. Degradacji uniknęliśmy dzięki… korekcie regulaminu. UEFA zdecydowała się powiększyć dywizję A do 16 teamów.

W następnej edycji Polaków przed spadkiem uchroniła obecność w grupie słabej – wówczas! – reprezentacji Bośni i Hercegowiny. Poza dwoma zwycięstwami nad zawodnikami z Bałkanów zremisowaliśmy pierwszą potyczkę z Włochami, a rewanż i konfrontacje z Holendrami przegraliśmy.

Zimowy termin mundialu w Katarze sprawił, że zmagania trzeciej Ligi Narodów rozpoczęły się nie po najważniejszej imprezie roku, ale przed nią. Aż cztery kolejki z sześciu rozegrano już w czerwcu 2022 r. Podwładni Czesława Michniewicza rozpoczęli od zwycięstwa nad Walią 2:1. Później jednak doszło do kompromitacji w Brukseli. Wprawdzie po strzale Roberta Lewandowskiego wyszliśmy na prowa-

id dd77bf8fed

TERMINARZ GRUPY CZWARTEJ DYWIZJI B LIGI NARODÓW:

Kolejka 1. (25 września):	Polska – Bośnia i Hercegowina Szwecja – Rumunia
Kolejka 2. (28 września):	Szwecja – Polska Rumunia – Bośnia i Hercegowina
Kolejka 3. (2 października):	Polska – Rumunia Bośnia i Hercegowina – Szwecja
Kolejka 4. (5 października):	Bośnia i Hercegowina – Polska Rumunia – Szwecja
Kolejka 5. (14 listopada):	Rumunia – Polska Szwecja – Bośnia i Hercegowina
Kolejka 6. (17 listopada):	Polska – Szwecja Bośnia i Hercegowina – Rumunia

Wszystkie spotkania będą się rozpoczynać o godz. 20.45.

KADRA POLSKI NA WRZEŚNIOWO-PAŹDZIERNIKOWE MECZE LIGI NARODÓW

Bramkarze:
- Marcin Bułka (Al-Hilal),
- Kamil Grabara (Juventus),
- Mateusz Kochalski (Wieczysta).

Obrońcy:
- Jan Bednarek (FC Porto),
- Matty Cash (Aston Villa),
- Tomasz Kędziora (Dynamo Kijów),
- Jakub Kiwior (FC Porto),
- Wojciech Mońka (Lech),
- Kacper Potulski (1. FSV Mainz 05),
- Przemysław Wiśniewski (Widzew),
- Norbert Wojtuszek (Jagiellonia).

Pomocnicy/skrzydłowi:
- Przemysław Frankowski (Stade Rennais),
- Jakub Kamiński (Benfica),
- Wiktor Nowak (Slavia Praga),
- Tymoteusz Puchacz (Sabah FK),
- Filip Rózga (Sturm Graz),
- Bartosz Slisz (Brøndby IF),
- Michał Skóraś (RC Lens),
- Sebastian Szymański (Stade Rennais),
- Kacper Urbański (Górnik Zabrze),
- Nicola Zalewski (Atalanta),
- Piotr Zieliński (Inter Mediolan).

Napastnicy:
- Adrian Benedyczak (Kaimpaşa SK),
- Robert Lewandowski (Chicago Fire),
- Karol Świderski (Widzew),
- Mateusz Żukowski (1. FC Magdeburg).

dzenie, lecz gospodarze odpowiedzieli aż sześcioma (!) golami. Kolejnym rywalem byli Holendrzy. Na boisku w Rotterdamie prowadziliśmy już 2:0, niemniej skończyło się podziałem punktów.

Następnie wyższość nad nami ponownie wykazali Belgowie, dlatego decydujące dla pozostania w czołówce okazały się mecze wrześniowe. Najpierw ulegliśmy Holandii 0:2, potem pokonaliśmy na wyjeździe Walijczyków 1:0. I to właśnie oni opuścili dywizję A, chociaż obok Polaków ciągle rywalizowali o udział w tym czempionacie. Obydwie drużyny zagrały zresztą w finale baraży o Euro 2024. Podopieczni już wtedy Michała Probierza skuteczniej egzekwowali karne.

Dopiero czwarta odsłona Ligi Narodów, w której stanęliśmy w szranki z Portugalczykami, Chorwatami oraz ze Szkotami, zakończyła się dla nas boleśnie. Inauguracyjna wygrana 3:2 w Glasgow stanowiła miłe złego początki, ponieważ potem przyszły porażki z Portugalią (w tym pamiętne 1:5), przegrana i remis z Chorwacją, więc ostatni mecz – 18 listopada 2024 r. ze Szkocją – miał znaczenie kluczowe, gdyż wskazywał spadkowicza. Do remisu, gwarantującego Polakom baraż o utrzymanie, zabrakło dosłownie sekund. Po trafieniu Johna McGinna w trzeciej minucie i wyrównaniu Kamila Piątkowskiego w 59. minucie zwycięską bramkę dla przyjezdnych w doliczonym czasie gry zdobył Andrew Robertson. Ostatni gwizdek arbitra – oznaczający przesunięcie reprezentacji Polski do dywizji B – spowodował, że nieckę Stadionu Narodowego w Warszawie wypełniła kakofonia gwizdów kompletu publiczności na trybunach. I tym sposobem tej jesieni gracze powołani przez selekcjonera Jana Urbana będą walczyć – z Bośnią i Hercegowiną, Rumunią oraz ze Szwecją – nie o Wielką Czwórkę, tylko – jedynie – aby awansować stopień wyżej, do dywizji A. Początek zgrupowania naszej kadry – 21 września w Warszawie.

OD WRZEŚNIA DO CZERWCA

Piąta edycja rozgrywek Ligi Narodów UEFA potrwa od 24 września 2026 r. do 13 czerwca 2027 r. Triumfatorzy grup w dywizjach B, C i D awansują o szczebel w szóstej edycji Ligi Narodów. Analogicznie zespoły z ostatnich miejsc grupowych w dywizjach A i B spadną do dywizji B i C, natomiast dywizję C opuszczają dwa teamy z ostatnich miejsc – z najmniejszą liczbą punktów.

Drużyny zajmujące trzecie miejsce w grupach dywizji A zagrają baraże z ekipami z drugich lokat w grupach dywizji B. Trzeci z rozgrywek dywizji B zmierzą się z wicemistrzami grup dywizji C. Z kolei ostatni w tabelach grup dywizji C, którzy nie spadli bezpośrednio, zagrają baraż z wicemistrzami grup dywizji D.

Kwartet zwycięzców oraz wicemistrzów grup z dywizji A rozegra między sobą ćwierćfinały. Wygrani zakwalifikują się do batalii finałowej, zaplanowanej na czerwiec przyszłego roku. Jeszcze nie wiadomo, kto będzie ją gościł. Przekonamy się o tym w grudniu, po zakończeniu zmagań grupowych. Głównych faworytów imprezy fachowcy upatrują w Hiszpanii, we Francji oraz w Anglii, choć nie zapominajmy, że szczególną atrakcją sportu bywają niespodzianki. Na czele klasyfikacji snajperskiej imprezy figuruje Norweg. Erling Haaland (19 goli) przed Portugalczykiem Cristiano Ronaldo oraz Serbem Aleksandarem Mitroviciem – obydwaj po 15. Najlepszy z Polaków, oczywiście Robert Lewandowski, zaledwie czterokrotnie wpisywał się na listę strzelców LN. Czy niebawem poprawi to nader mizerne osiągnięcie? Oby! Liga Narodów UEFA będzie transmitowana en bloc na sportowych antenach Polsatu, ale mecze Polaków pokaże również „TVP w likwidacji". Wypada mieć nadzieję, że nie będzie ich relacjonował redaktor Dariusz Szpakowski.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl dd77bf8fed

POCZET POLSKICH WODZÓW

Ostatni zagończyk



JACEK KOMUDA

Antoni Józef Madaliński herbu Larysza to wojownik nowej ery Rzeczypospolitej, dowódca z czasu wojny w obronie Konstytucji 3 maja, który rozpoczął powstanie kościuszkowskie. W jego działaniach odżył duch dawnych zagończyków XVII w., odbudowując morale jazdy polskiej po latach upadku.

Madaliński urodził się w niezamożnej rodzinie szlacheckiej w Porowie, w Wielkopolsce. Karierę rozpoczął w wojsku, stając się w 1768 r. towarzyszem jazdy w jednej z chorągwi wielkopolskich. Następnie wziął udział w konfederacji barskiej, gdzie został mianowany pułkownikiem ziemi przemyskiej. 17 grudnia 1770 r. jego oddział pobił pod Wysokiem Ksawery Branicki, a Madaliński trafił do niewoli. Nie przeszkodziło mu to kontynuować kariery w kawalerii narodowej; w 1776 r. został porucznikiem.



FOT. MWP

Jednak po trzech latach zrezygnował ze służby, odsprzedając godność, co wywołało zatarg z dowództwem i aresztowanie. Z opresji wybawili go Sułkowscy; dzięki ich protekcji dzierżawił najpierw kilka kluczy i majątków ziemskich. W 1786 r. Madaliński, tytułujący się pułkownikiem, został posłem na sejm z województwa kaliskiego, a dwa lata później – z gnieźnieńskiego. Na Sejmie Wielkim należał do zwolenników reform, a także do Zgromadzenia Przyjaciół Konstytucji.

W 1789 r. awansowany został do stopnia majora, a w lipcu 1791 r. kupił za pokaźną sumę 32 tys. zł stopień wicebrygadiera. Służąc w pierwszej brygadzie wielkopolskiej, wziął udział w wojnie z Rosją, przy czym pierwszy jej dowódca Damazy Mioduski próbował uniknąć walki z Moskalami i opóźniał marsz, przeciwko czemu Madaliński protestował. Ostatecznie brygadier został zdymisjonowany 9 lipca, a już sześć dni później jego następcą został właśnie Madaliński; wicebrygadierem ogłoszono Jana Henryka Dąbrowskiego, co doprowadziło do konfliktów między dowódcami. Niestety, było już za późno, aby Madaliński zdołał wziąć udział w wojnie. Wkrótce król Stanisław August Poniatowski podpisał haniebną kapitulację i przystąpił do konfederacji targowickiej, której władze pozostawiły bohatera na stanowisku. W styczniu 1793 r. część oddziałów brygady usiłowała bronić Sierakowa i Gniezna przed wkraczającymi do Wielkopolski Prusakami. Po ujawnieniu prawdziwych zamiarów Berlina brygadę wycofano pod Sandomierz, a później pod Ostrołękę. Targowiczanie obawiali się buntu w wojsku i w tym celu przygotowali redukcję oddziałów. Jednak spisek oficerów już trwał; Madaliński sam zgłosił się do naczelnika krajowego sprzysiężenia, gen. Ignacego Działyńskiego, i rozwinął działalność konspiracyjną, należąc do zwolenników szybkiego rozpoczęcia powstania. Podejrzenia o przynależność do spisku stały się przyczyną przesłuchania go przez gen. Kajetana Miączyńskiego, na polecenie moskiewskiego ambasadora Osipa Igelströma, który obawiał się buntu.

Chociaż Madaliński udawał, że przeprowadza przygotowania do redukcji brygady, to 28 lutego 1794 r. otrzymał rozkaz dostawienia do Warszawy dwóch oficerów spiskowców; czterech innych aresztowano w stolicy, samego zaś brygadiera wezwano w końcu przed Komisję Wojskową, co mogło oznaczać tylko uwięzienie i pozbawienie dowództwa. Wobec wykrycia spisku Madaliński zdecydował się rozpocząć powstanie, nie czekając na przyjazd do kraju Tadeusza Kościuszki. 11 marca nakazał skoncentrować szwadrony w Ostrołęce, gdzie odebrał od oficerów przysięgę, a dzień później zarządził marsz do Przasnysza. W ten sposób rozpoczął się długi marsz brygady przez Raciąż i Wyszogród, a po stoczeniu potyczek z wojskami moskiewskimi i pruskimi – do Sochaczewa. O wojennych dziełach tego oddziału pisałem rok temu w osobnym felietonie, dziś więc poświęcam więcej miejsca samemu dowódcy. Marsz Madalińskiego na spotkanie z Kościuszką, który przybył do Krakowa, pełen był starć, zasadzek i walk, przypominając zagony dawnych dowódców jazdy z czasów wojen polsko-moskiewskich i potopu szwedzkiego. 2 kwietnia połączył się z wojskami naczelnika w Luborzycy, na północny wschód od Krakowa, i uczestniczył potem w bitwach pod Racławicami i pod Szczekocinami, gdzie został ranny. Następnie brał udział w zdobyciu Bydgoszczy i obronie stolicy. Po klęsce pod Maciejowicami i upadku powstania został aresztowany przez Prusaków w styczniu 1795 r. i uwięziony w Magdeburgu. Wkrótce jednak zwolniono go z więzienia, a nawet przyznano pensję 800 talarów, gdyż władze pruskie zamierzały wykorzystać go w razie spodziewanego konfliktu z Rosją lub Austrią. Ostatecznie zwolniony w 1797 r. osiadł na wsi i nie odegrał już żadnej roli w życiu politycznym i wojskowym.

Zmarł w 1804 r. w Borowem i pochowany został w sąsiednim Przybyszewie, a jego serce znalazło się w Lubani. ©℗

eprasa.pl dd77bf8fed



FOT. JAP

CHANGAN DEEPAL S05 PRO RWD

Nowy kompaktowy chiński SUV łączy nowoczesne wzornictwo rodem z Włoch, przestronne i nieźle wykończone wnętrze z elektrycznym napędem. Deepal S05 chwali się też pięcioma gwiazdkami w testach zderzeniowych Euro NCAP.

Marka Changan w Polsce i w Europie jest stosunkowo nowa, ale w Chinach ma ugruntowaną pozycję czwartego pod względem wielkości producenta aut. W 1957 r. firma Changan Automobile stworzyła pierwszego chińskiego jeepa. Produkcją aut na masową skalę zajmuje się zaś od 47 lat. Na rynku, na którym niektóre marki działają dopiero od trzech lat, to ważna zaleta. Podobnie jak obecność na 115 rynkach świata.

Deepal S05 może się podobać, bo został zaprojektowany w centrum designu w Turynie. Model jest dostępny w dwóch wariantach napędowych: jako czysty elektryk lub hybryda plug-in. Do testów wzięliśmy samochód wyłącznie z napędem elektrycznym w najtańszej wersji Pro RWD. Maksymalna moc systemu w testowanym modelu wynosi 272 KM, a maksymalny moment obrotowy 290 Nm. Auto mierzące 459,8 cm długości, 190 cm szerokości i 160 cm wysokości, na sprint od zera do 100 km/h potrzebuje 7,5 s. To przyzwoity wynik, choć istotnie tańsze MG5 przyspiesza do setki w 6,3 s. Prędkość maksymalna wynosi 180 km/h.

Istotną zaletą Deepala S05 jest maksymalna moc ładowania: aż 200 kW. Dzięki temu na szybkiej ładowarce poziom energii z 10 proc. do 80 proc. można podnieść w 23 minuty. Czas ładowania prądem stałym od 30 proc. do 80 proc. wynosi zaś zaledwie 15 minut. Akumulator o pojemności 68,82 kWh oraz współczynnik oporu powietrza wynoszący 0,25 pozwalają przejechać na jednym ładowaniu ok. 480 km w cyklu mieszanym. Średnie zużycie energii to według producenta 15,9 kWh/100 km. Średnia podczas naszego testu była niższa: 14,9 kWh/100 km.

Przestronna kabina jest nieźle wyciszona i wykończona solidnie wyglądającymi, dobrze spasowanymi materiałami. Bagażnik z tyłu ma 492 l, a z przodu (tzw. frunk) 159 l. Za kierownicą nie ma ani tradycyjnych, ani cyfrowych zegarów. Prędkość odczytuje się na centralnym wyświetlaczu. Za pomocą ekranu reguluje się nawet położenie lusterek bocznych. To mało wygodne. Zwłaszcza że auto jest tak naszpikowane różnymi asystentami bezpieczeństwa, że jazda przypomina czasem grę komputerową – co chwilę coś tu brzęczy i pika.

Deepal S05 prowadzi się stabilnie i przewidywalnie. Zawieszenie jest zestrojone z myślą o komforcie, ale nie jest zbyt miękkie. W tej półce cenowej można znaleźć samochód, który da więcej frajdy z jazdy, a w wersji podstawowej będzie o wiele lepiej wyposażony. Model S05 w testowanej wersji Pro RWD kosztuje 169,9 tys. zł. W tej cenie nie ma niemal żadnych udogodnień, do których konkurenci zdążyli nas już przyzwyczaić. Podgrzewana przednia szyba? Elektryczna klapa bagażnika? HUD? Ładowarka bezprzewodowa? Nastrojowe oświetlenie? Podgrzewane i wentylowane przednie fotele? Nic z tych rzeczy. Na szczęście wszystkie wyżej wymienione udogodnienia są w wersji Max RWD za 179,9 tys. zł.

SKANER CARLY



Kompaktowe wymiary, łatwość monitorowania stanu technicznego auta, przyjazny interfejs i niezły stosunek ceny do możliwości – to największe zalety skanera do diagnostyki samochodowej opartego na technologii OBD.

Na koniec 2025 r. średni wiek samochodu osobowego w Polsce wyniósł 16,24 r. i był najwyższy w historii. Przed zakupem używanego auta jego stan można szybko sprawdzić właśnie tego typu skanerem. Carly – i podobnych dostępnych na rynku urządzeń – warto używać w garażu regularnie, aby jak najwcześniej wykrywać potencjalne usterki i ograniczyć koszty wizyt u mechanika (zwłaszcza że sama kontrolka „Check Engine" często nie wskazuje jednoznacznie, co się akurat dzieje).

Jak to działa? Wystarczy ściągnąć aplikację, podłączyć skaner do portu OBD w samochodzie i sparować go za pomocą Bluetooth ze smartfonem, by po mniej więcej trzech minutach zobaczyć na ekranie wynik testu różnych systemów auta. Carly sprawdza m.in. sterownik silnika, automatycznej skrzyni biegów, moduły klimatyzacji, napęd, elektronikę hamulców, system poduszek powietrznych, moduł ETACS, sterownik immobilizera etc. Za pomocą testowanego urządzenia można też sprawdzić stan akumulatora (na wynik tego testu trzeba już jednak poczekać 24 godziny). Połączone z aplikacją urządzenie identyfikuje ewentualne problemy, które dzieli na trzy kategorie: umiarkowane, poważne i krytyczne. W aplikacji można też usunąć wybrane kody błędów z pamięci sterownika samochodu. Oprogramowanie potrafi określić również ogólny stan pojazdu na podstawie danych o zużyciu poszczególnych elementów.

Carly testowałem na różnych modelach samochodów, zarówno tych najnowszych, jak i tych, które niebawem będą pełnoletnie. Za każdym razem po połączeniu z aplikacją skaner działał prawidłowo. W Google Play można jednak znaleźć wpisy użytkowników, narzekających na działanie skanera z ich markami lub rocznikami samochodów. Przed podjęciem decyzji o zakupie warto więc prześledzić różne wątki. Inne minusy? Zebranych danych nie można od razu z aplikacji puścić na drukarkę. Plik PDF trzeba najpierw wysłać na swój e-mail.

Cena subskrypcji pakietu podstawowego, w który wliczony jest uniwersalny skaner (według producenta powinien być kompatybilny ze wszystkimi markami), wynosi 256 zł. Pakiet premium – ze skanerem, diagnostyką, podstawowymi funkcjami OBD, testem akumulatora i danymi dotyczącymi silnika, skrzyni biegów, hamulca ręcznego etc. – dla jednej marki samochodów zaczyna się od 265 zł, a dla wszystkich marek od 295 zł.

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

STRONĘ PRZYGOTOWAŁ **JACEK PRZYBYLSKI**

eprasa.pl dd77bf8fed



MAGDALENA M. KRUPA Z D. CHRUZIK I ANNA POPEK Z D. CHRUZIK

SIOSTRY GOTUJĄ

Polskie apple pie

Sezon na jesienne ciasta możemy uznać za otwarty. W sklepach i na targowiskach możemy już kupić wiele odmian jabłek, a to z kolei prowokuje myśli o szarlotce na kruchym cieście. No właśnie, na kruchym czy może na półkruchym? Jest to od zawsze nasz dylemat i siostrzany spór, bo Ania lubi ciasto półkruche, a ja wolę szarlotkę na kruchym maślanym spodzie. Ciasto półkruche jest nieco lżejsze od tradycyjnego kruchego, przez co szarlotka jest delikatniejsza i bardziej miękka. Tak czy inaczej, do każdej wersji szarlotki najlepiej pasuje gałka lodów waniliowych lub sos waniliowy. I jak to wszystko pogodzić? A co by państwo powiedzieli na takie połączenie – sernik z karmelizowanymi jabłkami na kruchym, korzennym spodzie? Według nas brzmi bardzo dobrze! Przepis ten podsunęła nam przyjaciółka, która na co dzień mieszka w Stanach, a tam szarlotki i apple pie są bardzo popularne. W Ameryce często łączy się jabłka z karmelem w przeróżnych ciastach, tartach i deserach. Spód możemy wykonać z ciasta kruchego albo wykorzystać kruche lub maślane ciasteczka naturalne lub o smaku korzennym. Tradycyjne apple pie jest symbolem tożsamości narodowej Amerykanów i w każdym amerykańskim domu ciasto z jabłkami często gości na stole. My podajemy przepis na połączenie szarlotki i sernika, bo dla niezdecydowanych to wybór idealny, a przy tym wart państwa uwagi.



FOT. ADOBE STOCK

Sernik z karmelizowanymi jabłkami

Spód ciasta:

• 250 g ciasteczek kruchych naturalnych lub korzennych • 100 g rozpuszczonego masła

Masa serowa:

• 400 g serka śmietankowego, najlepiej typu filadelfia • 400 g serka na sernik z wiaderka • 200 g cukru drobnego • 4 jajka • aromat waniliowy lub ekstrakt z wanilii • sok z połówki cytryny • 2 płaskie łyżki mąki ziemniaczanej

Jabłka karmelizowane:

• 3 średnie jabłka kwaśne odmiany szara reneta • 2 łyżki masła • 2 łyżki cukru brązowego lub muscovado

Ciasteczka rozdrobnić i wymieszać z roztopionym masłem, wyłożyć na blaszkę o wymiarach 24 x 24 cm, docisnąć i piec w piekarniku w temperaturze 180 st. C przez 10 minut.

Sery przełożyć do misy, dobrze wymieszać rózgą albo mikserem na małych obrotach, dodać cukier i ekstrakt waniliowy. Dodawać po jednym jajku, nadal powoli mieszając. Dodać sok z cytryny i na koniec mąkę ziemniaczaną.

Jabłka obrać, pokroić na kawałeczki, masło rozpuścić i dodać cukier, rozpuścić i gotować parę chwil, aż zrobi się delikatny karmel. Dodać jabłka i wymieszać delikatnie, aby obtoczyć jabłka w karmelu. Odstawić. Na podpieczony spód wyłożyć masę serową, a następnie delikatnie wyłożyć jabłka. Wstawić do piekarnika na 50 min, piec w 160–170 st. C na programie góra-dół. Można zrobić kruszonkę lub pokruszyć kruche ciasteczka i posypać. Smacznego! ©℗



JOANNA BOJAŃCZYK

NIEPRAKTYCZNA PANI DOMU

Na grzyby

Nie, tego nie bierz – powiedziała przyjaciółka, gdy pochyliłam się nad zdrowiutkim, średnich rozmiarów grzybkiem, który niczego nie podejrzewając, usadowił się pośrodku leśnej drogi. – To muchomor cytrynowy, truje mniej niż sromotnikowy, a chyba nie chciałabyś pożegnać się ze światem w taki piękny wrześniowy dzień.

Rzeczywiście nie chciałabym, tym bardziej w pełni sezonu grzybowego. Nasz mały domek znajduje się na samym koniuszku województwa warmińsko-mazurskiego, na olbrzymiej połaci lasów, których dbający o przyrodę leśnicy nie zdołali jeszcze wyrżnąć w całości, choć bardzo się starają. Piły słychać nie tylko zimą.

O tej porze nasz dom pełen jest zapachu grzybowego, który dobiega z elektrycznej suszarki na dole. Plony bywają obfite, ale tylko wtedy, gdy zbiera pan Bojańczyk. A chętnych nie brakuje. Grzybiarze z miasteczka przyjeżdżają całymi rodzinami, wywołując niechęć miejscowych, czyli nas. Do lokalsów już się zaliczamy, zważywszy na 30-letni staż w okolicy.

Opowieści o tym, kto co znalazł i gdzie, krążą po wiosce, ale dokładne współrzędne nie są podawane. Każdy swoich „miejsc" strzeże jak osobistej tajemnicy.

Są jednak wyjątki. Nasi najbliżsi sąsiedzi i przyjaciele służą nam nie tylko jako podręczny Instytut Certyfikacji Runa Leśnego („Dobry czy trujący?"), lecz także gotowi są udostępnić własne najtajniejsze miejsca.

W ten sposób kilka lat temu, kierowana instrukcjami sąsiada Zbyszka, typu: „Za trzecią sosną znajdziesz omszały dąb i tam czeka na ciebie dorodny borowik", rzeczywiście mimo ulewnego deszczu dotarłam do wspaniałego okazu prawdziwka i nigdy tego nie zapomnę kochanemu sąsiadowi.

Cieszmy się, że mamy w Polsce swobodę zbierania grzybów. Nawet w rezerwatach, parkach leśnych i ostojach zwierzyny. Bo już w takich Niemczech wolno zbierać „tylko małe ilości". Co to znaczy, nie wiem, na pewno podpadam pod pozwolenie, bo nigdy nie przekroczyłam 10 sztuk. We Francji – do pięciu litrów na osobę dziennie, a w prywatnym lesie – za zgodą właściciela. We Włoszech – 3 kg, ale na wielu terenach obowiązują zakazy. Podejrzewam, że Włosi posiedli tajemnicę uprawy prawdziwków z hodowli; nie mogę uwierzyć, że te ich idealne funghi porcini, które kupuje się pokrojone, bielusieńkie i czyściutkie, wyrosły naprawdę w umbryjskim lesie.

„Grzyby nic nie dają" – mówiła moja mama, mając na myśli ich wartości odżywcze. Gdy trafię dorodnego borowika, puszczam mimo uszu te skądinąd słuszne uwagi i zabieram się do usmażenia grzybka z czosnkiem na maśle. ©℗

eprasa.pl dd77bf8fed



PIOTR KOWALCZUK
Z RZYMU

PIECZEŃ RZYMSKA

O masowym szaleństwie

Zazwyczaj w ten właśnie sposób opisujemy to, co dzieje się z ludźmi w Korei Północnej, u Ruskich czy w islamskich satrapiach. Ponurą sytuację tłumaczymy sobie zazwyczaj efektywnością działań propagandy i terrorem krwawych, zideologizowanych reżimów. Ale jak wyjaśnić zbiorowe szaleństwo w krajach kwitnącej demokracji, z dostępem do wszelkiej informacji – od eksplozji kretyńskiego wokizmu, przez genderowe szaleństwa LGBTQIA +, po kult św. Migranta?

Federico Rampini jest znakomitym korespondentem „Corriere della Sera", a także współpracownikiem poważnych periodyków i programów włoskich telewizji. Posiada obywatelstwo włoskie i amerykańskie. Świetnie zna tradycje i kulturę obu krajów, co sprawia, że lektura jego niebanalnych esejów czy słuchanie komentarzy jest wytworną ucztą, szczególnie pośród jazgotu i zacietrzewienia włoskiej „żurnalii" i klasy politycznej.

Z okazji rocznicy zamachów z 11 września Rampini napisał obszerny esej pt. „25 lat później, »Zemsta« Bin Ladena". Zwrócił uwagę, że od czasu zamachu urodziło się 100 mln Amerykanów (30 proc. amerykańskiej populacji ma mniej niż 25 lat – P.K.) i zadał sobie pytanie, co ci młodzi ludzie wiedzą o tej tragedii i co o niej myślą.

Z pomocą przyszedł sondaż zrobiony na zlecenie „Daily Mail". Jak wynikło z badań, aż 33 proc. Amerykanów w wieku od 18 do 29 lat uważa potworne działania bojówek bin Ladena za emanację „sił dobra".

To zdaniem Rampiniego pokłosie ogromnej popularności w amerykańskim internecie manifestu Osamy bin Ladena pt. „List do Ameryki". Napisany został w 2002 r., a przebojem w sieci stał się trzy lata temu dzięki platformie TikTok. Bin Laden wywodzi, że wszystkim nieszczęściom świata winni są Izrael, Żydzi i naturalnie wspierający ich amerykańscy politycy, więc ataki na cywilów w USA są w pełni usprawiedliwioną formą odwetu. Poza tym terrorysta krytykował zachodni styl życia, demokrację i bezbożność, przeciwstawiając im prawo szariatu.

Konkluzja jest smutna: Pamięć historyczna na Zachodzie nie jest już przekazywana poprzez kulturową osmozę, ale przez cyfrowy ekosystem. W efekcie amerykańskie pokolenie wkraczające w dorosłość, pozbawione fundamentów wiedzy, nie jest w stanie krytycznie ocenić treści przekazywanych na TikToku, traktując je jak owoce z drzewa prawdy.

Ale cóż się dziwić amerykańskiej gówniarzerii, skoro Rada Stosunków Amerykańsko-Islamskich, jedna z największych organizacji islamskich w USA, umieściła manifest bin Ladena na liście lektur szkolnych. ©℗



JERZY KARWELIS

DEKAMERONKI

Her story

Czy też tak macie, że łapiecie się w Internecie na jakiś memiczny wpis, potem go sprawdzacie i okazuje się, że to wcale nie mem, ale prawda? No, takie mamy „memiczne" czasy widocznie. Tak samo było ostatnio ze mną – otóż natrafiłem na wpis, że na Uniwersytecie Jagiellońskim otwarto instytut herstorii.

Najpierw wyjaśnię, co to za diabeł. HERstoria, zamiast historii, to nie tylko zabawa słowna. Z nazwy „historia" plemiona postępowe wywiodły wadę, że historia jest pisana z punktu widzenia „jego", czyli mężczyzny, stąd człon „his". HIStoria to objaw supremacji mężczyzn, wszędzie tam tłumy facetów albo się leją, albo królują. Pozostaje niewiele dla pań: caryca Katarzyna, królowa Wiktoria, zaś z wojowania już chyba tylko Joanna d'Arc. Aby wypełnić tę lukę kobietami, zaproponowano odwrócenie biegunów i historię bada się z punktu widzenia roli pomijanych dotychczas kobiet. Narobiło się na Zachodzie pełno takich kierunków, zaś przyjście tego i do nas warte byłoby odnotowania.

Zapytałem AI, czy to prawda, i dostałem odpowiedź hybrydową: nie, osobnych wydziałów (na razie?) nie ma, ale ten obszar stanowi na innych wydziałach (historia, filologia, nauki społeczne) wydzielony wątek badawczy i edukacyjny. Naucza się więc studentów tej genderowej perspektywy praktycznie na wszystkich uczelniach. Wątek ten jest więc rozpuszczony po różnych wydziałach i już za chwilę, moim zdaniem, pojawią się osobne jednostki organizacyjne do tego rodzaju „nauki".

Popatrzmy bowiem – na większości uczelni, w tym w PAN, prowadzących projekty i specjalizacje z dziedziny tzw. Gender Studies herstoria jest elementem trwale włączonym. Ten trend jest kontynuacją unaukowiania procesu ściśle ideologicznego, który polega na wyszukiwaniu coraz to bardziej egzotycznych grup podejrzewanych o systemowe wykluczenie. Nad wydumanymi z powodów ideologicznych problemami pochylają się później całe rzesze naukowców, produkujących agitki politycznej poprawności, udające naukę. Wszystko w imię wyciągnięcia grup gnębionych na równe pozycje z grupami gnębiącymi, choćby przez zasadę „dyskryminacji pozytywnej", kiedy w celu zrównania grup społecznych poniża się te uznane za supremacyjne.

Ja osobiście też należę do grup łącznie dyskryminowanych. Spróbujcie znaleźć robotę dla łysego gościa w wieku emerytalnym. Przydałaby się jakaś katedra naukowa tropiąca poniżanie nas, łysych emerytów, w całej historii i awansie społecznym. Jakby co – zgłaszam się na kierownika takiej placówki i niniejszym przyjmuję zapisy. Podania proszę przesłać na adres redakcji. Może być też adres „Gazety Wyborczej". ©℗

eprasa.pl dd77bf8fed



SPODE ŁBA

Pomnikowy Zełenski

DARIUSZ WIEROMIEJCZYK

W bardzo swoisty sposób przypomniał nam o sobie były prezydent Andrzej Duda. Przy okazji Forum Ekonomicznego w Karpaczu postanowił on podzielić się refleksjami na temat problemów wynikających ze sprowadzenia do Polski milionów migrantów z Ukrainy. „Ileż można wytrzymać z obcymi ludźmi pod jednym dachem?" – zadumał się były prezydent. „Z teściami nie możemy wytrzymać, z siostrą, bratem, którzy jak wyjeżdżają po kilku dniach, to często mówimy: uff, miło było, ale wszystko ma swój czas". Sprowadzenie złożonych problemów społecznych do wymiaru konfliktów z teściami jest dla Andrzeja Dudy typowe – innym instrumentarium poznawczym polityk ten niestety nie dysponuje. Napiętych relacji rodzinnych można mu tylko współczuć. Tłumaczą one, poniekąd, decyzję o zakupie używanego, dwumiejscowego samochodu Porsche Boxster. „To jest kabriolet, więc cała przyjemność jest wtedy, gdy jeździ się z normalną prędkością, a nawet wolniej, z otwartym dachem" – oświecił Andrzej Duda. Na rodzinnej wyprawie, z teściami, szwagrami i zięciem, przyjemnością tą podzielić się nie da.

RYSUJE CEZARY KRYSZTOPA



Nie mniej intrygujące były inne refleksje byłego prezydenta. Okazał się on zwolennikiem „rewizjonistycznego" nurtu polskiej historiografii – choć w mocno uproszczonej postaci. Dla opisu zachowania władz polskich w roku 1939 tak radykalnych ocen nie używa nawet Piotr Zychowicz. „On [prezydent Zełenski] nie uciekł, jak polski rząd w roku 1939 […]. Uznałem, że dla Polaków, dla przyszłych polskich polityków, dla obecnych i dla innych powinien stanowić wzór tego, jak powinien zachować się prezydent w tak trudnej sytuacji, w jakiej on się znalazł. Tak nie umiały zachować się polskie władze w 1939 r. Uciekły wobec niemieckiej nawały, a później jeszcze sowieckiej, ale tak naprawdę uciekły w zasadzie już wobec niemieckiej" – mówił w Karpaczu Duda. Postawienie prezydentowi Mościckiemu, ministrowi Beckowi i marszałkowi Śmigłemu-Rydzowi ukraińskiego komika za wzór, któremu nie potrafili dorównać, to dla wielu badaczy prawdziwa rewolucja. W jakim stopniu ukształtował poglądy dr. Andrzeja Dudy jego doradca i mentor, prof. Andrzej Nowak? Wpływ tego uczonego na własne rozumienie polskich dziejów poprzedni oraz obecny lokator Pałacu Prezydenckiego podkreślali wielokrotnie.

Były polski prezydent nie ograniczył się do krytyki swoich poprzedników. Wyrazy szczerego zachwytu zachował dla Wołodymyra Zełenskiego. Zdaniem Andrzeja Dudy ukraiński przywódca „powinien być na wieki wieków bohaterem Ukrainy za to, co zrobił w 2022 r.". „Natchnął naród i właśnie dlatego Kijów nie padł […]. Był gotów oddać życie za swój kraj i jestem o tym święcie przekonany".

Nie tylko Andrzej Duda gotów jest, w naszych czasach, stawiać Wołodymyrowi Zełenskiemu pomniki za odwagę. Norweski premier Jonas Gahr Støre oznajmił całemu światu, że w czasie lotu do Oslo samolot Zełenskiego został „prawie uderzony przez drona, kiedy startował z lotniska w Mołdawii. Oto w jakiej rzeczywistości on żyje". Okazało się jednak, że dron, o którym była mowa, eksplodował w mołdawskiej wiosce oddalonej od lotniska w Kiszyniowie o skromne 160 km, a trajektoria i czas jego lotu nie stwarzały dla samolotu Zełenskiego zagrożenia. Dramatyczne opowieści norweskiego premiera o maszynie „prawie trafionej" przez Rosjan okazały się absurdalną konfabulacją.

Stanisław Cat-Mackiewicz napisał o ministrze Józefie Becku, że „z nagrobka swojej polityki zrobił sobie piedestał". Prezydent Andrzej Duda obok swojego piedestału budować zaczął pomnik Wołodymyrowi Zełenskiemu, Józefowi Beckowi wymierzając, przy okazji, solidnego kopniaka. Gdyby jednak, co w wypadku Andrzeja Dudy nie może być wykluczone, pomnik ukraińskiego prezydenta postanowiono pokryć złotem, zadania tego nie należy powierzać rekomendowanym przez Kijów fachowcom. Faktury za wykonaną usługę mogą się z „rzeczywistością" grubo nie zgadzać. ©℗

eprasa.pl dd77bf8fed



KRYSTIAN KRATIUK

Z INNEJ PERSPEKTYWY

Papież rok później

Od kilku miesięcy z Watykanu docierają informacje, według których mimo kilkukrotnych zaproszeń papież nie przyjedzie do Polski w roku 2027, ale rok później. Mimo że Leona XIV zaproszono w związku z obchodami 150. rocznicy objawień Matki Bożej w Gietrzwałdzie, ze Stolicy Apostolskiej płyną sygnały, że „papieże zawsze unikali wizyt w roku wyborczym".

Informację o tym, że to właśnie polskie wybory stają na przeszkodzie papieskiej wizycie, niedawno potwierdził w jednym z wywiadów ks. kard. Grzegorz Ryś.

Ze zdumienia nie wierzyłem własnym uszom, przetarłem oczy i spróbowałem sobie przypomnieć wizyty papieży w różnych miejscach świata, które przecież śledzę w miarę uważnie. I zaraz skojarzyłem wizytę Franciszka na Łotwie 12 dni przed wyborami parlamentarnymi w 2018 r. albo miesiąc przed wyborami w Republice Środkowej Afryki. Potem sprawdziłem dokładniej – papież z Argentyny odwiedził tuż przed wyborami, właśnie w „roku wyborczym", osiem krajów.

Zmrużywszy oczy, byłem też pewien, że pamiętam obrazki z wizyty Benedykta XVI w Hiszpanii rządzonej przez arcylewaka Zapatero. Sprawdziłem datę – był tam na kwartał przed wyborami parlamentarnymi. Partia Zapatero sromotnie tamte wybory przegrała. A Benedykt XVI w latach wyborczych odwiedził również Chorwację i Meksyk, przemawiał więc przed wyborami do katolickich narodów.

Nie musiałem się wysilać na zamykanie oczu, jeśli chodzi o Jana Pawła II. Jak każdy Polak mojego pokolenia znam na wyrywki daty jego wizyt i nie zapomnę tych z lat 1991, 1995 i 1997. Za każdym razem, gdy papież odwiedzał wtedy ojczyznę, de facto trwała kampania wyborcza, choć może jeszcze nie oficjalna. A prócz Polski Jan Paweł II odwiedził w „latach wyborczych" jeszcze siedem państw.

Co więcej, papież Wojtyła podczas pobytów w naszym kraju postanowił aktywnie włączyć się w proces wyborczy, w sposób inteligentny i nieszczególnie delikatny. Najmocniej widać było to w roku 1991, kiedy prowadził wręcz kampanię wyborczą – nie za jakąkolwiek partią, ale z pewnością za konkretną wizją Polski.

W istocie cała pielgrzymka sprzed 35 lat była wielkim papieskim wykładem o tym, jak urządzić odzyskaną ojczyznę. Osnową wizyty Jan Paweł II uczynił Dekalog. Proponował Polakom fundament, na którym jego zdaniem należało zbudować państwo: obiektywne prawo moralne, którego nie ustanawia parlament, większość ani aktualna władza. „Nie osiągniemy szczęścia ani nawet zwyczajnej stabilizacji, nie licząc się z prawem Bożym" – mówił w Płocku.

Była to wizja państwa demokratycznego, ale nie aksjologicznie pustego. W Lubaczowie mówił: „Państwo ma chronić wolność sumienia i wyznania każdego obywatela, ale usuwanie Boga i religii z życia publicznego pod hasłem neutralności oznacza w istocie »ateizowanie państwa i życia społecznego«". W Radomiu z piątego przykazania wyprowadzał bezwzględną ochronę życia człowieka „od pierwszej chwili poczęcia aż do naturalnej śmierci". W Kielcach przypominał, że rodzina jest podstawą „wszystkich społeczności i społeczeństw".

Jak zatem widać, tradycja papieskich odwiedzin narodów przygotowujących się do wyborów jest tak długa jak sama nowoczesna tradycja „papieskich pielgrzymek". Szkoda, że Watykan zdecydował się wyjaśnić nieobecność papieża Leona na ważnej dla polskich katolików uroczystości takim dziwacznym wytrychem.

No chyba że ci, którzy doradzali Ojcu Świętemu, pamiętali, jak przyjęta została przez niektórych wizyta z roku 1991. A spotkała się z otwarcie krytyczną reakcją liberalnej opinii publicznej, także tej wywodzącej się spośród „katolików otwartych". Szczególnie bolała papieża postawa „Tygodnika Powszechnego" – w słynnym liście do Jerzego Turowicza wypomniał redakcji, że po 1989 r. Kościół nie znajdował w tym piśmie takiego wsparcia i obrony, „jakiego miał poniekąd prawo oczekiwać", a jego krytycy znajdowali tam swoje miejsce.

Kto wie? Może ktoś chciał chronić Leona XIV przed taką reakcją polskich „katolików otwartych"? Ktoś, kto nie pamięta, że w Polsce zdecydowanie więcej jest katolików normalnych. ©℗

Tradycja papieskich odwiedzin narodów przygotowujących się do wyborów jest długa. Szkoda, że Watykan zdecydował się wyjaśnić nieobecność Leona XIV na ważnej dla nas uroczystości takim wytrychem

eprasa.pl dd77bf8fed

ZŁOTO



FOT. W. CEJROWSKI LTD/JAROSŁAW SOSIŃSKI

Wojciech Cejrowski
korespondencja z USA

Moim kumplom w USA opowiedziałem dwie rzeczy z Polski: że znaleźliśmy ropę i płytko położone pokłady złota. Ucieszyli się i gratulowali. Tak reaguje normalny człowiek. Gdyby mój szwagier z Meksyku powiedział mi, że oni tam też znaleźli nowe złoto i więcej ropy, to również bym się ucieszył i gratulował. Bo to przecież dobrze, że się komuś poszczęściło, a nawet dla mnie samego, na dużą odległość, jest lepiej, że będzie więcej ropy na świecie, a w Meksyku powstaną nowe miejsca pracy przy wydobyciu. Ogólnie dobrze dla całego świata, cieszymy się.

A potem dopowiedziałem moim kumplom detale: naukowcy odkryli pokłady złota pod wioską niedaleko Legnicy, przedsiębiorca stara się o możliwość wydobycia, a wioskowy wójt sprawę ROZWAŻA.

– Jak to „rozważa"? A co tu rozważać? Forsa leży na wyciągnięcie ręki, nowe miejsca pracy czekają, trzeba się brać do roboty! Kopnijcie tego wójta w d..ę, bo głupi jest czy co z nim nie tak?

– Wójt „rozważa", bo mieszkańcy z miasta Legnica, którzy się osiedlili na tej wiosce, szukając ciszy, są przeciwni.

Tego już moi kumple kowboje nie umieli zrozumieć i to na kilku poziomach, bo oni są z Ameryki, a ja im opowiadam o układach europejskich. To tak jakbym Indianinowi w Amazonii tłumaczył działanie kibla ze spłuczką. Najpierw musiałbym wyłożyć ideę samego kibla – czemu robimy kupę we własnym domu. … Bo nasze domy stoją gęsto, szczególnie w miastach, i nie da się wyjść na kupę do lasu.

– A co to miasto? – zapyta Indianin. – I po co ono jest, skoro to prowadzi do konieczności robienia kupy w domu?

Zanim wspólnie dojdziemy do idei kibla ze spłuczką, pojawi się cała masa elementów pośrednich, które trzeba Indianinowi wytłumaczyć. Dlatego poddałem się i już nie tłumaczyłem moim kumplom z USA, że w Europie grupa leniuchujących mieszkańców może zablokować wydobycie złota, powstrzymać rozwój ekonomiczny, zablokować powstanie nowych miejsc pracy, bo oni odpoczywają i nie życzą sobie, by ktoś im wydobywał złoto za płotem. Zrezygnowałem z dalszego tłumaczenia, bo mi się zrobiło wstyd.

***

Przeszedłem do tłumaczenia, co z tą ropą:

– Niemcy (chodzi o państwo) chcą zablokować eksploatację największego złoża ropy naftowej w Polsce, 6 km od Świnoujścia.

– Niemożliwe! – zaprotestował prosty kowboj. – A co Niemcy mają do gadania w Polsce?

– Jesteśmy z nimi w Unii Europejskiej.

– I Niemcom, w ramach tej Unii, zależy na tym, aby produkcja ropy na terenie Unii była mniejsza, niż może być?

– Mają rury na dnie Bałtyku, kupują ropę z Rosji itd. Im chyba ogólnie nie pasuje bogata Polska.

– No to wyjdźcie z tej Unii z Niemcami i już.

– Wielu Polaków sądzi, że to byłaby gospodarcza katastrofa…

– No co ty? Zróbcie tak: wychodzicie z Unii, proponujecie przedsiębiorcom unijnym lepsze warunki, niższe podatki na terenie Polski, zero regulacji, żadnych ograniczeń CO_2 itd. Myśmy tak zrobili i teraz cała masa firm z Kanady przenosi się do USA.

***

Blokowaniem wydobycia ropy z największego złoża w Polsce zajmują się nie tylko Niemcy (wróg Polski od tysiąca lat!), lecz także różne partie Zielonych. I to mi przypomniało pewną historię z Ekwadoru. Dawno temu organizacje Zielonych blokowały wydobycie ropy na terenie Amazonii. Protestowali pod hasłami ochrony Indian i dżungli. Prezydent Ekwadoru uciął temat w kilku celnych zdaniach. Powiedział coś takiego: Jeżeli ktoś chce chronić Indian i amazońską puszczę, to niech wykupi od Ekwadoru całe złoża ropy położone pod naszą dżunglą, a potem jak już kupi całą tę naszą ropę, to może jej nie wydobywać. Zapraszam wszystkich zatroskanych o los Indian do wyłożenia forsy na wykup naszej ropy. Bo ja, jako prezydent, mam obowiązek zadbać o dobro mieszkańców całego Ekwadoru, a nie tylko obszaru Amazonii. Połowa populacji mojego kraju to Indianie, a nie tylko ta garstka Indian z Amazonii.

***

Ci moi kumple w USA to proste chłopy. Każdy ma rancho i od urodzenia jest kowbojem. W swoich analizach stosują chłopski rozum, czyli nieokrzesaną LOGIKĘ. Słucham ich z zainteresowaniem. Wyciągają prawidłowe wnioski. Do oceny „złożonej sytuacji międzynarodowej" nie jest potrzebny ani ekspert, ani geniusz. Do oceny „skomplikowanej sytuacji ekonomicznej Polski" lub do oceny budżetu państwa też nie jest potrzebny ani ekspert, ani geniusz. W Sejmie zasiadają w większości średniaczki. Widzisz ich na co dzień w telewizji – to zupełnie zwyczajni ludzie średnio inteligentni. Czasami w Sejmie lub rządzie widujemy też pospolitych durniów. Dureń to dureń. Nie jego wina, że jest durny. Taki się urodził. I na podobnej zasadzie: średniaczek to średniaczek i też nie jego wina. Bycie średniaczkiem stanowi normę, bo jednostek wybitnych jest w każdej populacji niewiele.

Kto w takiej sytuacji konstruuje budżet państwa lub pisze ustawy? Ludzie wybitni? No nie. Tymi wszystkimi ważnymi sprawami zajmują się ludzie przeciętni. Wniosek: moi kumple kowboje nadają się do analizy spraw państwowych tak samo dobrze jak Donald Tusk albo dowolny ekspert rządowy.

PS Przed wojną, w wolnej i niepodległej Polsce, słowo „minister" niosło skojarzenia dostojne i pozytywne. Oni wtedy mieli stosowne ubranie, gęba była ogolona, a jeśli broda lub wąs to zadbane. Dziś, gdy patrzę na fotografie ministrów (no np. Żurka), to mnie zbrzydza niechlujstwo. Ten ich dwudniowy zarost. Fuj. To sprawia wrażenie, że on wstał z wyra na kacu, nie ogolił się i polazł do roboty w stanie, w którym się idzie do łazienki wymiotować. ©℗

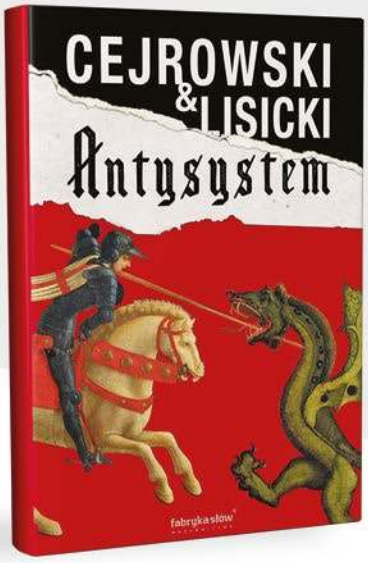
eprasa.pl dd77bf8fed

Oferta promocyjna

TYGODNIK LISICKIEGO DO RZECZY

ROCZNA PRENUMERATA

TYGODNIKA „DO RZECZY" I MIESIĘCZNIKA „HISTORIA DO RZECZY"



W PREZENCIE

KSIĄŻKA

WOJCIECH CEJROWSKI, PAWEŁ LISICKI: „ANTYSYSTEM"

ORAZ DOSTĘP DO E-WYDANIA

~~1343~~ ZŁ

549,00 ZŁ

OSZCZĘDNOŚĆ 794 ZŁ

Oferta prenumeraty z dostawą za pośrednictwem Poczty Polskiej

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:

- Wpłata na konto bankowe: Do Rzeczy S.A., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa, nr konta: 33 1600 1462 1816 5874 1000 0006. W tytule przelewu prosimy o podanie danych adresowych oraz adresu e-mail
- Na stronie: www.subskrypcja.dorzeczy.pl.

TERAZ MOŻLIWOŚĆ ZAMÓWIENIA PRENUMERATY RÓWNIEŻ Z DOSTAWĄ DO PACZKOMATU INPOST

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:
Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy kurierem.

CO ZYSKUJESZ W PRENUMERACIE?

Niższą cenę od ceny w kiosku (nawet o 40%) | Nie przegapisz żadnego wydania | Atrakcyjne oferty z dodatkowymi produktami | W cenie dostęp do e-wydania, dzięki czemu możesz czytać tygodnik już w niedzielę

ZOBACZ NASZE OFERTY: SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: prenumerata@pmpg.pl TELEFON: 508 040 664, 539 953 631 (pon.-pt. od 10:00 do16:00) INTERNET: subskrypcja.dorzeczy.pl

eprasa.pl dd77bf8fed



NAJNOWSZY NUMER OD ŚRODY W SPRZEDAŻY!



„HUBAL": MUNDURU NIE ZDJĄŁ, BRONI NIE ZŁOŻYŁ

NA TROPIE MJR. DOBRZAŃSKIEGO – Nazywano go przeróżnie: watażką, „malowanym chłopcem", „Żelaznym Majorem", sprawcą pacyfikacji wsi, pierwszym partyzantem... Mimo trudnego charakteru „Hubal" dobrze przysłużył się Polsce – pisze Jacek Komuda

WIEM, GDZIE JEST GRÓB „HUBALA" – Dysponuję jednoznacznymi wynikami specjalistycznych badań, a także relacjami, które razem układają się w jeden logiczny obraz. Od „Hubala dzieli" nas jeden metr – mówi w wywiadzie Dariusz Szymanowski, prezes Stowarzyszenia „Wizna 1939"

DUOMO, CZYLI DUSZA FLORENCJI – Każde ze średniowiecznych włoskich państw-miast chciało wykazać swoją wyższość nad sąsiadami, budując najpiękniejszą i największą katedrę. Florencja postanowiła przyćmić w tym względzie całą konkurencję – pisze Sławomir Koper

ZAGADKA ŚMIERCI GORKIEGO – Stalin zamknął swojego ulubionego pisarza w złotej klatce, a na koniec stworzył taką opowieść o jego śmierci, która miała służyć celom Kremla – pisze prof. Mikołaj Iwanow

ŚLADAMI PYRRUSA – Król Epiru zapisał się na kartach historii zwycięstwami okupionymi tak wielkimi stratami, że faktycznie były one porażkami. Później wielu dowódców powtarzało jego błędy, co często pozwalało ich przeciwnikom osiągnąć strategiczne cele – pisze Grzegorz Janiszewski

ZAKOCHANY W PANI BIEDZIE – Nie chciał być kupcem jak ojciec, marzył o karierze rycerskiej i był zafascynowany trubadurami. Giovanni Bernardone, znany jako św. Franciszek z Asyżu, dokonał w Kościele istnej rewolucji – pisze Tomasz Stańczyk

I WIELE, WIELE WIĘCEJ

CZYTAJ TAKŻE NA **HISTORIA.DORZECZY.PL**

eprasa.pl dd77bf8fed